

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/273

1970



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

ŚMIERĆ GENERAŁA ANDERSA

R. BARWICZ :

**UBE A SOWIECKA SŁUŻBA
BEZPIECZEŃSTWA**

M. WYZIEMBŁO :

GENEALOGIA LENINA

◆ **BRACIA ODDALENI** ◆ **SĄSIEDZI**

SPIS RZECZY

—	<i>Śmierć Generała Andersa</i>	3
—	<i>Do Przyjaciół i Czytelników</i>	4
—	<i>Katynia</i>	5
♦		
Jolanta Dworzecka:	<i>Wycieczka</i>	7
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Glupstwa i nieglupstwa</i>	21
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Futurologia Polski</i>	29
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	36
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	46
SĄSIEDZI		
Iwan Koszeliwec:	<i>Paradoksy rzeczywistości ukraińskiej</i> ..	54
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	62
BRACIA ODDALENI		
Paweł Łysek:	<i>Na Zaozniu</i>	68
K R A J		
Romuald Barwicz:	<i>UBE a sowiecka służba bezpieczeństwa</i>	77
LENINIANA		
Marcin Wysiadło:	<i>Genealogia Lenina</i>	101
—	<i>„Kak pachniet Rassijej”</i>	105
SPRAWY I TROSKI		
Alina Grabowska:	<i>Dom Polski w Jerozolimie</i>	111
—	<i>Emigracja do Australii</i>	117
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Gidyński:	<i>Florian Znaniecki — klasykiem socjo-</i> <i>logii</i>	119
Adam Sutkowski:	<i>Śmierć A. Hedley'a</i>	124
Damian S. Wandycz:	<i>O Boy'u Żeleńskim</i>	127
—	<i>Komunikaty</i>	131
	a) <i>Kongres Współczesnej Nauki i</i> <i>Kultury Polskiej na Obezyźnie</i>	
	b) <i>Centrala Bibliotek Ruchomych</i> <i>w Londynie</i>	
	c) <i>Udział Żydów Polskich w życiu</i> <i>Ameryki</i>	
KSIĄŻKI		
Michał K. Pawlikowski:	<i>O ostatniej powieści J. Mackiewicza</i> ..	135
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Polonica Americana (I)</i>	138
Maria Danilewicz:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	139
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	143
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	145
A. Ciołkosz, A. J. Hardy-Mikuc-		
ki, K. Kuś, Zofia Lenc, J. B.		
Rudnycki, Jan Ulatowski,		
D. Morawski (z odpowiedzią		
Redakcji), A. Brudek:	<i>Listy do Redakcji</i>	151

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec-Juin

1970

Numer ufundowany przez
Zygmunta Kicińskiego
z Buenos Aires

DLA UCZCZENIA PAMIĘCI
BOHATERSKICH ŻOŁNIERZY WRZEŚNIA,
JEŃCÓW KOZIELSKA, OSTASZKOWA I STAROBIELSKA
POMORDOWANYCH PRZEZ WŁADZE SOWIECKIE
W KATYNIU I INNYCH NIEZNANYCH MIEJSCACH
ZBIOROWEJ KAŻNI

w trzydziestą rocznicę ich męczeńskiej śmierci.

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Dr Jan Dobrucki, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 62,00
Gabriel Kręzlewicz, Washington	F. 27,50
Księgarnia Polska w Chicago ze sprzedaży znaczków Funduszu „Kultury”	F. 165,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż — po raz szósty	F. 100,00
Witold J. Łukaszewski, Miami, Fla (USA), po raz czwarty	F. 55,00
Ks. Donald Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz ósmy	F. 110,00
W. Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz drugi	F. 16,50

DZIĘKUJEMY!

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA GOMBROWICZA” (Lista Nr 6)

Akademisk Bokhandel, Dania.
A. S. Fabierkiewicz, Alderley (Australia).
Maciej K. Fijałkowski, Toronto.
Eckersteins Universitets Bokh.
Ignacy Fonberg, New Haven.
Ewa Kot.
Adam Szarf, Rzym.
F. K. Ulf Nylén (Szwecja).
Uniwersytet w Alberta (Kanada).
Dr A. Richter, Bahamas.

Śmierć Generała Andersa

Wiadomość o zgonie Generała Andersa nadeszła do nas w chwili łamania numeru czerwcowego. Ta śmierć jest końcem emigracji wojennej, jej „Ostatnim Rozdziałem”, chociaż innym niż ten, o którym Generał myślał i marzył pisząc swoją książkę. Odeszła od nas postać historyczna, człowiek, który od chwili gdy znów powstała Polska niepodległa, od Korpusu Wschodniego w 1917 roku, aż po ostatnie chwile swego życia, walczył o Polskę. Wierny do ostatniego tchu, niezrażony żadną porażką, zwycięzca spod Monte Cassino i spod Ancony. Dowódca, który po walkach 1939 roku — blisko dwa lata przebył w więzieniach sowieckich, wojsko polskie w tejże Rosji na nowo zaczął tworzyć i wyprowadził je wraz z tysiącami kobiet, starców i dzieci, wyrwanych z obozów, więzień i poniewierki. Poprzez Irak, Palestynę, Egipt stworzył to wojsko, ten 2 Korpus, który zwyciężał we Włoszech i był więcej niż wojskiem ze swą prasą, ruchem wydawniczym, szkołami, teatrami, stypendiami uniwersyteckimi. Jego zasługą dowódcy było, że łamiąc nieraz sztywne przepisy i tradycję wojskową stworzył ramy i struktury nowe, w których mieścić się mogło szerzej zakreślone życie kulturalne, tej „małej Polski” na wygnaniu. Stał się symbolem Polski Walczącej, nie tylko dla Polaków w Kraju i na obczyźnie, ale również dla świata. Churchill, Stalin, De Gaulle, Roosevelt znali go i znali jego wartość.

Współpracownicy *Kultury*, wszyscy żołnierze Generała Andersa, zachowaliśmy w pamięci ile Mu zawdzięczamy i zawdzięczaliśmy w trudnych początkach, jeszcze wojskowych, „Instytutu Literackiego” we Włoszech. Choć niejednokrotnie akcja polityczna, która prowadziła *Kulturę* nie pokrywała się z polityką Generała — czuliśmy się zawsze żołnierzami 2 Korpusu, Jego żołnierzami.

Śmierć Generała okryła nas wszystkich serdeczną żałobą: dzielimy ją wraz z ogromną rzeszą Polaków w kraju i Polaków po całym świecie rozsiansych.

Do Przyjaciół i Czytelników

W roku 1968 KULTURA zwróciła się z dwukrotnym apelem do swych przyjaciół i czytelników: po wydarzeniach marcowych w Polsce i po inwazji Czechosłowacji. W obu wypadkach prosiliśmy nie o doraźną pomoc, skoro miesięcznik nasz dzięki rosnącym wciąż prenumeratom ma zapewnioną przyszłość, lecz o poparcie naszych inicjatyw i projektów nadprogramowych. Przez nadprogramowe rozumiemy takie przedsięwzięcia, na które trudno by nam było wykroić fundusze ze skromnego budżetu wydawnictwa emigracyjnego dbającego o swoją niezależność. Istnieje i zawsze na emigracji istniała ogromna dysproporcja między dalekosiężnymi planami i potrzebami, a ograniczonymi środkami na ich realizację. Jest dowodem żywotności pisma, jeśli jego przyjaciele i czytelnicy starają się co pewien czas tę dysproporcję zmniejszyć.

Nasz dwukrotny apel w roku 1968 dał dobre wyniki. Dzięki wzrostowi wpłat na fundusz KULTURY (po raz pierwszy, w tak dużym stopniu, również ze strony naszych przyjaciół i czytelników krajowych i cudzoziemskich) mogliśmy poza normalnym programem wydać dwa tomy dokumentów Polskiego Marca, numer specjalny poświęcony Czechosłowacji po polsku oraz po czesku i słowacku, obszerny wybór dokumentów UKRAINA 1956-1968. Tymi pięcioma ważnymi pozycjami kwitujemy otrzymane poparcie. Wolno nam chyba z czystym sumieniem powiedzieć, że nie został zmarnowany ani jeden grosz z ożywionego przypływu wpłat na fundusz KULTURY.

W apelu z października 1968 roku wspomnieliśmy, że jesteśmy na Zachodzie w naszej walce osamotnieni, że możemy liczyć na sojuszników tylko w Polsce i we Wschodniej Europie łącznie z Rosją. W jakiejś mierze niedawny proces warszawski dowiódł słuszności tego twierdzenia. Czytając sprawozdania z procesu i komentarze o procesie w prasie całego „bloku”, naszet najwięksi sceptycy musieli się przekonać że KULTURA nie działa w próżni. Rzecz jednak w tym by nie tylko działała dalej, lecz stale nasilała swoją działalność. Z różnych przyczyn nie możemy jeszcze ujawnić wszystkich naszych nowych projektów, ale niech trzy posłużą chwilowo za przykład. Chcemy wydać numer specjalny pisma w języku rosyjskim; zamierzamy przygotować obszernie podsumowanie dwudziestu pięciu lat PRL a wreszcie historię Chin współczesnych. Urzeczywistnienie naszych planów zależy od poparcia przyjaciół i czytelników.

Nie jest to więc trzeci apel. Jest to przypomnienie, że dwa poprzednie są ciągle aktualne. Wraz z gwarancją, że jak poprzednio ani jeden grosz z kontynuowanego przypływu wpłat na fundusz KULTURY nie pójdzie na marne.

REDAKCJA

Katyń

W słowie wstępnym do drugiego wydania *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego tłumaczyliśmy niechęć do przedrukowywania w Polsce utworów „literatury rozrachunkowej” z sowieckich *tolstych* *żurnatów* lękiem, że odsłanianie zbrodni przeszłości pogłębi w Polakach „uraz antyrosyjski”. Pisaliśmy wówczas: „Nie da się widm przeszłości wyegzorcyzmować milczeniem. Jeśli cokolwiek może zbliżyć Polaków do Rosjan, to mówienie na głos o krzywdach i świadomość *wspólnego* cierpienia, cierpienia *wszystkich* więźniów stalinowskiego imperium koncentracyjnego. Ze *wspólnego* cierpienia powstaje *wspólna* nadzieja”.

W trzydziestą rocznicę zbrodni katyńskiej nie wolno wciąż o niej mówić w Polsce, naturalnie w imię zasady nie pogłębiania „urazu antyrosyjskiego”. Każdy Polak wie czym dziełem był Katyń, dla każdego Polaka ta nazwa jest symbolicznym skrótem tragedii narodowej. Tylko ci którzy Polakami rządzą, i którzy ostatnio tak zasmakowali we wzajemnej licytacji „polskości” i „patriotyzmu”, uważają Katyń za tabu. Rzecz prosta, *to właśnie* pogłębia „uraz antyrosyjski”. Chruszczow zaproponował w swoim czasie Gomułce ujawnienie zbrodni katyńskiej i zapisanie jej na konto Stalina. Gomułka odmówił. Rana, której obnażenie i napiętnowanie mogło być zadatkiem normalizacji stosunków polsko-rosyjskich, gnoi się dalej. Straszna rana, straszniejsza z każdym nowym rokiem jej zatajania, jak straszna przekonają się kiedyś spadkobiercy Gomułki jeśli nie odważą się wyrzec natychmiast tego spadku. Mało jest w niemej pamięci narodów rzeczy groźniejszych, niż niewybuchłe bomby czekające na dzień swojej eksplozji.

Czego komuniści nie rozumieją i nigdy zapewne w swoim nieuleczalnym paternalizmie nie zrozumieją, to prostego faktu że narody którymi rządzą nie są narodami idiotów. Siłą, terrorem,

monopolem władzy można najbardziej nawet oporny naród zmusić do milczenia i względnej uległości. Nie można go zmusić by przestał pamiętać i myśleć, by zamienił się w zbiorowisko dzieci prowadzonych za rączkę, karmionych papką kłamstwa, trzymanych na przyzwoity dystans od wstydlivej prawdy. W pięćdziesiątą rocznicę rewolucji i setną urodzin Lenina światli Rosjanie typu Sacharowa wypisują na swoich sztandarach jedno hasło: jawność. Jest szaleńcem kto sądzi, że w dwudziestą piątą rocznicę PRL pogodzili się raz na zawsze z brakiem jawności Polacy; kto w bezgranicznym zadufaniu, w ślepotcie i głupocie, łudzi się że zdołał nareszcie swój naród przerobić na posłuszną i grzeczną szkółkę niedzielą.

To my, żądając ogłoszenia prawdy o Katyniu, chcemy z myślą o przyszłości pogrzebać w Polsce „uraz antyrosyjski”. To właściciele Polski Ludowej, milcząc o zbrodni i zakazując mówienia o niej, grzebią w grobach katyńskich autentyczne pojednanie polsko-rosyjskie.



„Przy dużej ilości rocznic narodowych, obchodzonych w latach 1969 i 1970, nie została (jak mi się wydaje) odpowiednio podkreślona trzydziesta rocznica zbrodni katyńskiej, której ofiarą padli nasi towarzysze broni z kampanii wrześniowej. W związku z tym proszę najuprzejmiej Pana Redaktora o wyrażenie zgody na ufundowanie przeze mnie numeru *Kultury*, który uczciłby pamięć tragicznych żołnierzy męczenników”. Tak pisze do nas inżynier Zygmunt Kiciński z Buenos Aires, członek polskiej grupy technicznej która posiada wielki dorobek w dziedzinie elektryfikacji Argentyny. Grupa ta pracowała początkowo jako sekcja elektryfikacyjna w firmie argentyńskiej, a następnie usamodzielniała się organizując własną firmę Adelphia S.A. Po kilku latach stworzono dwie inne firmy polskie, które wchodziły w skład tego samego konsorcjum.

Jednoosobowy dar inżyniera Kicińskiego, który przyjmujemy z wzruszeniem i wdzięcznością, nie jest pierwszym aktem poparcia i pomocy dla naszego miesięcznika ze strony polskiej grupy technicznej w Buenos Aires. Przed dziesięciu laty sześciu członków tej samej grupy ufundowało numer *Kultury*, podając przez skromność tylko swoje inicjały (Z. Kiciński, A. Ostromecki, T. Parczewski, J. Sznarbachowski, D. Szczerbik, A. Żółkowski).

Wycieczka

Na początku wiosny w dziennikach warszawskich zaczynają się pojawiać ogłoszenia reklamowe Orbisu. Przedstawia się w nich rodakom propozycje spędzenia urlopu. Jest Bułgaria, rumuńska Mamaia, *weekend*'y w Leningradzie, pięć dni w Moskwie, kiedyś były nawet Chiny Ludowe.

Orbis jest instytucją operatywną, nastawioną na maksymalny zysk, z tym, że usługi są na ogół na dobrym poziomie. Wiadomo, że korzystają z nich ludzie zarabiający znacznie więcej ponad przeciętną krajową, używa się nawet potocznie określenia „orbisowiec”, w którym to pojęciu mieści się spora doza pogardy przemieszanej z zawiścią. Klasyczny orbisowiec przebywa zimą w hotelu „Giewont” w Zakopanym, wakacje letnie spędza na którejś z wycieczek. Jego status społeczny znajduje się gdzieś między renomowanym kardiologiem, sprytnym technikiem dentystycznym i prywatną inicjatywą z Chmielnej. Orbisowiec jest zazwyczaj istotą apolityczną, świetnie natomiast zorientowaną w szansach przyspieszenia wymiany handlowej w ramach RWPG. Rzecz jasna, w szansach indywidualnych. Co jakiś czas pojawiają się w dziennikach kulturalnych artykuły na temat szkodliwości społecznej jaką niesie za sobą działalność Orbisu, mówi się dużo o odrodzeniu mieszczańskiej mentalności na którą nie ma miejsca w społeczeństwie socjalistycznym, jako oddźwięk artykułów pojawiają się listy czytelników, tych gorzej zarabiających i tych oburzonych, warszawskie radio relacjonuje dyskusję w przeglądzie prasy i cała sprawa się na tym kończy.

Za wiele pieniędzy wpływa do państwowej kieszeni z orbisowskiego drenazu i za wiele intratnych stanowisk w ramach instytucji obsadzonych jest przez żony średnio uposażonych partyjniaków, żeby podjęto jakiekolwiek decyzje o likwidacji Orbisu.

Na szczęście. Istnieją bowiem ludzie, którzy w działalności tej instytucji, pokładają swoje ostatnie nadzieje. Są to ci, którym MSW odmówiło już kilkakrotnie paszportu, i których jedyna szansa polega na tzw. nawianiu z wycieczki.

Orbis bowiem, poza wspomnianymi już propozycjami z obszaru socjalistycznej przyjaźni, szczyci się jeszcze organizowaniem wycieczek morskich, których trasa przebiega przez szereg krajów zachodnich. Wycieczki tego typu są skąpo reklamowane, zarówno ze względu na wygórowaną cenę (25 do 30 tysięcy złotych) jak i na ograniczoną ilość miejsc. Dobór turystów podlega także nieco innemu prawidłu, selekcja jest — przynajmniej w zamierzeniu — dosyć ścisła, i teoretycznie, ludzie bez szans na Koszykowej nie mają szans i tutaj.

Z drugiej strony, przymusowy kandydat na orbisowca, robi także co może. W większości wypadków rzecz się udaje, zwłaszcza, kiedy robiona jest cicho i bez rozgłosu. Zdarzało się, że wysadzano ludzi już z wagonu, byli to jednak ci, którzy uwierzyli w skuteczność odwołań paszportowych i zaudat gorliwie chodzili koło swojej sprawy, dając się zapamiętać, albo ci, którzy nie naoliwili odpowiednich śrubek w orbisowskiej maszynie.

Dowcip polega głównie na tym, że orbisowców holuje się na paszportach zbiorowych, paszporty zbiorowe załatwia zupełnie inny wydział MSW, i należy tylko nieco wesprzeć biurokratyczny bałagan, który opóźnia należytą współpracę między wydziałami.

Potem tylko czeka się w napięciu, czy nie nadejdzie depesza przekreślająca wszystko, pakuje się walizki w sposób możliwie dyskretny i zachowuje się tak, by nikt z otoczenia nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest to po prostu i tylko wyjazd na trzytygodniową wycieczkę.

Na początku października w Warszawie było już zupełnie chłodno. W Odessie wita nas słońce i upał. W porcie czeka na nas bułgarski statek turystyczny o dźwięcznej nazwie „Nessebar”.

Ale zanim się tam dostaniemy, albo raczej, zanim nas tam wpuszczą, mamy w planie parogodzinne zwiedzanie miasta.

Miasto ma charakter wyraźnie prowincjonalny. Mało nowoczesnych budynków, ulice obsadzone gęsto drzewami, niewielki ruch, tempo życia zupełnie nieprzyspieszone. Dużo szkół, w tym słynne konserwatorium odeskie. Młodzież ubrana szarawo, nie widzi się długich włosów, dzinsów czy znaczków z hasłami. Część miasta, która istotnie zostaje w pamięci, to bulwar nadmorski ze schodami wiodącymi nisko, do morza i pomnikiem bohaterów, wokół którego zmieniają się co kwadrans warty komsomołców. Uroda polega tu głównie na kolorycie, morze jest intensywnie

niebieskie, liście drzew lekko zażółcone, pełno akcentów bieli i na tym tle maszerują młodzi w płonąco czerwonych chustach.

Spróbujcie jednak kupić pocztówkę, która by oddawała fragment tego widoku. Są, ale straszne. Zamazane, nieostre, relikty techniki fotograficznej sprzed pięćdziesięciu lat. Mimo woli nasuwa się myśl o charakterystycznym profilu sowieckiej produkcji. Potencjał przemysłowy, potencjał zbrojeniowy, ale nie konsumpcyjny. To się tutaj nie liczy.

I tak samo, na żadnej z tych zalanych słońcem uliczek nie znajdziecie kawiarni w której można by usiąść, odpocząć i poobserwować. Są, ale jadalnie zbiorowe. Wchodzę do jednej. Wewnątrz tłum. Duszna, pozbawiona wentylacji sala. Ludzie czekają cierpliwie w kolejce. Moja prośba o filiżankę kawy wydawałaby się tutaj co najmniej niestosowna. Tutaj przychodzą ludzie głodni, po pracy, albo przed pracą. Jestem jednak uparta. Siadam i czekam. Kelnerka nie reaguje. Jest zmęczona i bez przerwy wypienia jakieś bloczki. Dwóch młodych marynarzyków organizuje mi samorzutnie kawę. Już przedtem, w czasie parokrotnych pobytów w Związku zetknęłam się z tą spontaniczną życzliwością dla gości. Jest ona zwykle tym większa, im dalej od Moskwy. Na głównej ulicy małe zamieszanie. Długi sznur Wołg ozdobionych bibułowymi wstążkami hamuje ruch. To para młodych jedzie do nowootwartego Pałacu Ślubów. Cerkwi w Odessie nie ma. Przewodniczka podkreśla z dumą, że młodzież zaniechała już zupełnie praktyk religijnych.

Za polskie sto pięćdziesiąt złotych dostajemy około sześciu rubli. Powstaje pytanie na co je właściwie wydać? W sklepach jest ścisk, ale zaopatrzenie nędzne. Brak nawet soków owocowych, których pełno było w Soczi. Dla wtajemniczonych z wycieczki problem nie istnieje. Przywozi się z Polski ciuchy i stare lakierki, kupuje kamery. Kamery wiezie się do Turcji. Naiwnym może się wydawać, że dwie godziny wolnego czasu to nieco za mało na rozwinięcie aktywności handlowej. Kiedy jednak wchodzę później do sklepu z przyrządami fotograficznymi, panuje tam niesamowity ruch. Prawie połowa wycieczki. Mówi się wyłącznie po polsku. Nieliczni sowieccy obywatele przyglądają się temu z szeroko otwartymi oczami. Kupując budzik za sześć rubli widzę w spojrzeniu sprzedawczyni niedowierzanie. Czyżbym na pewno była z Polski?

Podobnym niedowierzaniem kwitują potem przed hotelem moją odmowę sprzedania lakierków, które mam na nogach. Zaczepia mnie jedna, druga, trzecia. Czwarta, wyraźnie już poirytowana pyta mnie po co ja tutaj przyjechałam. — Turystka? — powtarza, i to brzmi niemal jak obelga.

Rodacy pozazatwiali już swoje sprawy i hotelowa restauracja

zapełnia się. Jemy obiad, przygrywa orkiestra, roznoszą znakomite rosyjskie lody. Na podium wchodzi pani M., szef całej imprezy z ramienia Orbisu. Następuje uroczyste powitanie. Dużo słońca, wiele wrażeń, bądźmy dla siebie wyrozumiali. *Speech* nie trwa długo i zaraz po nim zabierają nam dowody osobiste.

Kiedy wchodzimy na statek, jesteśmy z punktu widzenia Orbisu, załatwieni organizacyjnie. Podzielono nas na grupy autokarowe, każdy autokar ma odrębny paszport zbiorowy, autokarów nie wolno zmieniać, nie mamy żadnych dowodów tożsamości, nie jesteśmy panią X czy panem Y, jesteśmy z grupy autokarowej A lub B.

I tak wolniutko, sznureczkiem, po dokładnym sprawdzeniu bagaży, wpuszczają nas do raju pod bułgarską flagą. Trwa to parę godzin. Kiedy odbijamy od brzegu, jest już ciemno. Światła nadbrzeża migotają w wodzie, gdzieś ktoś gra na harmonii, napięcie maleje. Na tym statku człowiek czuje się odrobinę pewniejszy. Zawsze to już nie teren sowiecki, a przede wszystkim jutro, już jutro, będziemy w Istambule. Ulga.

Na fali tej przewidywanej ulgi wszystko wydaje się cudowne. Statek, Bułgarzy, brudnawe i ciasne kabiny, nieznani współpasażerowie, wszystko.

Widocznie moje doznania euforii nie były jednostkowe, bo na statku, po paru godzinach panuje rodzaj spokojnej, rodzinnej niemal zażyłości. Wzajemna tolerancja, błyskawiczne zrozumienie, ze strzępków informacji biograficznych buduje się życiorysy na trzytygodniowy użytek. Bardzo szybko wyłania się parę zasadniczo odrębnych grup, które nawzajem sobie nie wadzą, jako, że ich obszary kompetencji i rywalizacji mieszczą się w zupełnie odrębnych płaszczyznach.

Na samym szczycie lokuje się niewielka, ale zwarta i zamknięta dla pozostałych grupka orbisowskich przewodników, oficjeli i osób z nimi współpracujących. Siedzą razem, raczej się nie udzielają. Trasę znają na wylot, turystyczne atrakcje ich nie kuszą, dla nich wycieczka jest wygodnym, nie kosztującym urlopem z możliwością porobienia atrakcyjnych zakupów. Wiedzą, gdzie w Rzymie kupuje się najtaniej buty, dlaczego nie warto wymieniać pieniędzy w Algierze, przyglądają się pobłażliwie tym, którzy szaleją na bazarze w Palermo.

Charakterystyczna jest relacja stosunku przewodnik — turysta na naszej wycieczce. Przewodnik nie zabiega o względy turysty i minimalnie się o niego troszczy. Czasami dochodzi do absurdalnych przejawów władzy, i tak będzie w Rzymie, gdzie jeden z autokarów odjedzie do Civitavecchia i turyści nie zobaczą pa-

pieża, mimo protestów i prośb. Motywacji nie będzie żadnej, chyba że ta, iż Rajmund był głodny i spieszył się na obiad. Konsekwencji służbowych nie obawiał się. Ryzyko? Chyba to, że ktoś napisze list do *Życia Warszawy*, który to list nie zostanie wydrukowany.

Sympatia podopiecznych nie była brana w tym wypadku pod uwagę, jako czynnik nieistotny.

Grupa druga, najliczniej reprezentowana na Nessebarze, to grupa handlarzy. Nie należy pod tym określeniem rozumieć ludzi biednych. Wręcz przeciwnie. Są to ludzie dysponujący odpowiednim kapitałem, najchętniej jadący we dwójkę (małżeństwa, matka z córką), i machający na wszystko ręką, byleby im nie przeszkadzano w wykonywaniu ukochanego sportu. Jest to naprawdę coś w rodzaju sportu, powiedzmy bieg z przeszkodami, bo ciągle trzeba coś omijać i każda minuta stracona liczy się potrójnie. Najpierw omija się celników sowieckich, potem tureckich, algijskich, hiszpańskich i włoskich, żeby wreszcie przed samą metą stanąć oko w oko z najgorszymi: polskimi. Biega się po hurtowniach i bazarach, dysząc wraca się na posiłki, oblicza się w myśli spiesznie wskaźniki korzyści w poszczególnych walutach i patrzy niechętnym okiem na konkurencję z innych kajut. Meczety i za wiele zwiedzania są dla tej grupy taką samą przeszkodą jak przepisy celne.

Tę grupę na statku rozpoznać bardzo łatwo. Po rozmowach, obracających się ciągle wokół tego samego tematu i po rzadkich momentach relaksu wypadających ściśle na okres, kiedy statek nie zawija do portu. I tak na przykład między Istambułem a Algierem będą to najbardziej odprężeni i rozleniwieni na statku ludzie. Słońce, pogodne konwersacje, autentyczny urlop. Ale już Walencja zmobilizuje ich całkowicie. I wreszcie grupa trzecia, przeciętna pod względem liczbowym, ale dosyć rzucająca się w oczy. Wiek mniej więcej od trzydziestu do pięćdziesięciu, w tym sporo kobiet, doskonale ubranych i wielu panów z prywatnej inicjatywy. Są ustabilizowani, trzeźwi, dysponują znacznym luzem finansowym. To kiedyś, między Barceloną a Palermo, w świetle księżycy i na małej fali, zawiązywały się mniej lub bardziej trwale czyjeś życiorysy. Teraz epokę *coup de foudre* mamy już za sobą. Te rzeczy się planuje. Tak więc nikogo na statku nie raziły pary związane po drugim dniu pobytu, nikt się nie wtrącał do wymieniań kabin, raz tylko jakiś nieszczęśnik nie mający gdzie spać zgłosił się z pretensjami do pani M., naszej orbisowskiej szefowej. Opinia publiczna Nessebaru potępiła go doszczętnie. Patrzono na niego jak na dziwaka. Nie mógł się położyć na jednej z tych miękkich kanap w salonie, albo zestawić sobie dwóch foteli? Dlaczego utrudniać innym życie?

Skoro ludzie wybulili ciężką forszę, żeby się puszczać na pełnym morzu, to trzeba mieć dla nich nieco zrozumienia. Zwłaszcza, kiedy robią to w warunkach dla przeciętnego PRL-owca niedostępnych.

Głosy były w tym wypadku całkowicie zgodne, a poparcie kompletne. Konflikty następowały tylko wówczas gdy do gry włączal się bułgarski personel. Wtedy wybuchały emocje i mówiono nieco o godności osobistej. Takim przykładem mógł być tutaj barman z night-clubu, rozpuszczony do niemożliwości. Jego reakcje można by porównać do reakcji sowieckich dam w sprawie lakierków. Zupełnie identycznie reagował na odmowę. Nie rozumiał. Nie mieściło mu się w głowie. Grupa o której mówię, była najprzyjemniejszą na statku. Po wstępnych momentach wyboru brakowało tu całkowicie antagonizmów, panowała pogoda ducha i dobry humor. W wolnych chwilach poszczególne osoby brały udział w drobnych transakcjach handlowych, nikt tego jednak nie traktował serio. Jakiś ekstra sweterek czy tureckie ranne pantofle, drobiazgi, absolutnie nie wystarczające do zakwalifikowania sportowego.

A reszta? Nieliczna, niewinni maniacy, spisujący wrażenia w dziennikach podróży, fotografujący zapamiętale, posiadający tylko urzędową ilość dolarów i nic do wymiany, nie uprawiający rozrywek erotycznych, właściwie idioci, nie wykorzystujący tego co roztoczył przed nimi łaskawy los.

Wieczorem następnego dnia dopływamy do Istambułu. Po kolacji rozdają nam karty lądowania, statek pustoszeje. Każdy trzyma w garści przydziałowe dolary i wyrzywa do miasta. Istambuł to nie Odessa, to już Zachód. W cieśninie Bosforskiej ruch, pełno statków, obok nas stoi jakiś amerykański olbrzym, przez most wiodący do drugiej części miasta przepływa sznur taksówek, neony, reklamy, zachęty sprzedawców, turysta czuje się tutaj panem. Idziemy we czwórkę, Danuta, Roman, ja, na czwartego doczepiony jakiś lekarz. Mamy w planie *night club*, ale najpierw chcemy położyć, powąchać jak pachnie to miasto. Kobiet o tej porze nie widzi się już wcale, młodzi Turcy skupieni na rogach ulic pokrzykują głośno. Mijamy meczet, wchodzimy do małej kawiarni z ogródkiem. Jest ciepło, kawa jest mocna i bardzo tania. Para Anglików siedzących w kącie pyta nas skąd jesteśmy. Mówię, że z Polski. Są zdziwieni. Polskie grosze i rosyjskie kopiejki wprawiają ich w zachwyt. Nie rozdawaj tyle — strofuje Danuta — przydadzą ci się w powrotnej drodze.

Ogarnia mnie fala dzikiej, niepohamowanej radości. Usiłuję wytłumaczyć Anglikom, że to nie takie proste mieszkając w Warszawie znaleźć się nagle w Istambule. Pytają mnie o zawód. Są bardzo młodzi, podróżują już od paru miesięcy, niekiedy autosto-

pem, ale nie sędzę, żeby dotarła do nich w pełni świadomość jak definitywnie podzielony jest świat. Pewne doświadczenia są nieprzekazywalne i może na tym polega dramat zbytnej liberalizacji zachodu. — Słuchaj — krzywi się Roman — spóźnimy się na *strip tease*, to jest w drugiej części miasta.

Roman angielski zna słabo i konwersacje ideologiczno-refleksyjne nie zajmują go zbyt. Do lokalu przyjeżdżamy pierwsi, sala jest jeszcze ciemna, z głośnika pod sufitem wydobywa się erotyczny wrzask. Wybieramy stolik tuż koło sceny. Nasz lekarz się ożywia. Za parę minut wkracza na salę grupka orbisowskich przewodników z panią M. na czele. A zaraz za nimi parę osób z prywatnej inicjatywy, w tym pani, znana powszechnie ze znakomitych toalet. A więc mamy *top people* z Nessebaru. Program jest na zaskakująco dobrym poziomie, zwłaszcza w numerach orientalnych. Tuż za nami siedzi dwóch Turków. Mają tak rozanielone twarze, taką błogość w półśmiechu, że częściej patrzę na nich niż na scenę. Danuta pilnuje Romana. Lekarz wyraża aprobatę widowiska wszystkimi gestami, które się do tego nadają. Sala jest napięta w podnieceniu, ja także, zwłaszcza kiedy myślę o Flannery O'Connor, o Joyce Carol Oates i o tym co mnie czeka. Na amerykańskim uniwersytecie będę na razie niczym. Nieznana pisarka z nieznanego kraju zaplątana między sprawnych intelektualnie i fizycznie szczeniaków. Stanę przed ogromną ścianą konkurencji. Daję sobie rok na doświadczenie do szeregu. Mało czy dużo? Będę miała nas nimi przewagę odrębnych doświadczeń, ale oni będą mieli na mnie bicz języka. Jaki będzie wynik tego starcia? Ile oparcia może dać człowiekowi ambicja a na ile może go zawieść?

— Podoba ci się? — pyta Roman. — Straszna praca — mówię z przekonaniem. Tuż koło sceny śpi dwóch kompletnie pijanych naszych przewodników, tancerki to irytuje, jedna z nich robi taki ruch, jakby ich chciała kopnąć. Pani M. potrząsa nimi w popłochu. Głośnik włącza nam do uszu ekscytujące jęki, sala robi się coraz mniejsza i bardziej duszna, reflektory nie omijają żadnego ruchu na scenie, wybór jest coraz większy, grubsze, tłustsze, wstawki z de Sade'a, ale Justynie daleko jest do naiwności, jest tylko fantastycznie wygimnastykowana, symulowany start rakiety i odpowiednie kostiumy, lądujemy na księżycu i zaraz potem mamy szczęśliwie koniec programu.

Potem tańczymy w Blue Sky na Nessebarze, gdzie główną zaletą jest to, że płaci się bonami za które nie można nic innego kupić i jestem duszą towarzystwa a wszystko dlatego, że widzę przed sobą twarz faceta z MSW, znudzoną, tępą, i słyszę rozmowę, która się wtedy odbywała, a raczej własny monolog, pełen argumentów, które na nic się nie zdały. Nigdy więcej nikt za

mnie nie będzie decydował o mojej biografii. Czy to nie jest wspaniałe?

Wznoszę toast za zdrowie Orbisu. — Tyś przypadkiem nie wypila za dużo dzinu? — pyta Danuta. Ale spełniają toast żeby nie robić mi przykrości.

W kajucie jest szarawo, kiedy wchodzę. Za parę godzin, moja współpasażerka, żona Naczelnego Dyrektora Lasów w PRL, powie tonem przygany moralnej: dla mnie to byłoby za drogie. Mnie by było szkoda pieniędzy.

Jest to zupełnie miła pani, która nie kryjąc swojej uprzywilejowanej sytuacji i faktu, że daje jej to sporo zadowolenia, jest w tym samym czasie bardzo praktyczna. Wieczorem opowiada mi o polowaniach jakie urządza dla niej mąż w Białowieży, o tym jak leśnicy zbierają dla niej grzyby i odstrzeliwiają co ładniejsze sarny na stół, a rano wyjmuję spokojnie kryształ z walizki, przelicza paczki bułgarskich papierosów i idzie na handel. Wraca rozpromieniona i znowu darzy mnie jakimś opowiadaniem z życia wyższych sfer partyjnych. W jej relacji PRL przypomina jakiś koszmarny folwark, bez właściciela, za to ze sforą rządców myślących tylko o grabieniu. Pani Basia nie jest tym przerażona. Jest typową przedstawicielką swego kręgu hierarchicznego. To tak jakby się połączyło fumi przedwojennej wojewodziny z prymitywizmem myślowym właściwym dla elity wychowanej przez partię. Nie ma miejsca na wątpliwości, decyzje spływają ze szczytu, ich trafności się nie dyskutuje, przynajmniej do momentu, w którym nie naruszają przywilejów.

W stosunku do mnie jest szczerą, a nawet macierzyńską. Zdaje się, że to ostatnie od chwili, kiedy jej powiedziałam, ile dostaję za książkę.

Na Istambuł mamy niepełne dwa dni. Niewiele można w takim krótkim czasie zobaczyć, ale to co widzimy oszałamia nas.

Słynny błękitny meczet z jego kosztowną ciszą w środku, puszystość dywanów podzielonych na kręgi do modlitwy, klejnoty w skarbcu, pałac cesarski z dawnymi pomieszczeniami na harem, do tego wszystkiego doczepione jakieś egzotyczne sylwetki starców myjących nogi na ulicy, przed wejściem do domu modlitwy, i wreszcie bazar. Ogromny, pełen zakamarków, nasycony towarami, kolorami, wrzawą, otwierający się imponującą ulicą złotników. Sklep tuż koło sklepu z wystawami pełnymi złota i kamieni. Właściciele siedzą na progu i zapraszają do środka. Biżuteria stara i nowa, autentyczne precjoza i autentyczna tandeta. Nie można oderwać oczu. A dalej kuszą dywany, bibeloty, zbroje, i wreszcie dostępne dla polskiej kieszeni stosy tureckich pantofelków robionych na miejscu przez tutejszych rzemieślników.

Nasz czas ucieka. Już tylko spacer w dół do portu, gdzie stoi

Nessebar. Przez megafon wywołują spóźnialskich. Godzin powrotu przestrzega się ściśle, zabierają nam karty lądowania, koniec.

Brakuje dwóch pań. Zartujemy że zostały porwane. Prawda okazuje się bardzo bliska naszych żartów. Dowiadujemy się potem, że chcąc upłynnić resztki kamer i kryształów dały się namówić szoferowi taksówki na kontakt z właścicielem hurtowni skór. Ceny miały być rewelacyjnie niskie, a płaszcze wyjątkowo piękne. Na miejscu jedno i drugie okazało się fikcją. Płaszcze były marne a za kryształy dawano im mało. Transakcja nie doszła do skutku i szofer zaproponował, że odwiezie je do portu. W rzeczywistości zawiózł je jednak na wzgórze za Istambułem skąd kazał im podziwiać piękny widok, a sam zawrócił. Był pośrednikiem właściciela składu i była to zemsta za to, że nie dały mu nic zarobić.

Dzień na morzu. Cały czas mamy bardzo piękną pogodę i nasz stateczek płynie tak łagodnie, jakby był wyposażony w najnowsze urządzenia przeciwwibracyjne. W barze zaczyna brakować papierosów, wszyscy wykupują je masowo z przeznaczeniem na Włochy. Dla ścisłości trzeba dodać, że w barze poza papierosami i alkoholem nie ma nic. Pani Basia, która z racji stanowiska męża jest pod czułą opieką pani M., informuje mnie, że na statku przebywa osobisty lekarz Gomułki, główny dyrektor Orbisu i pierwszy sekretarz partii z Sofii. Dowiaduję się też, że pani M. wcale nie ufa swoim współpracownikom i kontroluje ich bardzo dokładnie.

Do Algieru wpływamy rano. Port jest zupełnie pusty. Długo czekamy na pilota, potem jeszcze dłużej na karty lądowania. Miasto jest ładne, ale sprawia wrażenie opuszczonego. Szerokie, świetnie zaplanowane ulice, cieniste bulwary, piękne wille z kolumienkami, i brak w tym wszystkim tętna. Tętno miasta to tętno przepływu pieniędzy. Francuzi tu byli, ale odeszli i to się bardzo czuje. Na każdym kroku. Francuskie są nazwy ulic, francuskie wzory w konfekcji, ale wszystko niesamowicie drogie i nie widać kupujących. W kawiarniach siedzą wyłącznie mężczyźni, kobiety noszą voiletki zasłaniające część twarzy i przemykają dyskretnie pod ścianami.

Portowi chłopcy wykrzykują po rosyjsku jakieś prymitywne hasła handlowe, są natrętni i zaczepiają bez litości. Przechodnie na ulicach życzą nam z uśmiechem: *bienvenue en Algerie, madame!*

Kiedy zwiedzamy ogród botaniczny — też założony przez Francuzów i demonstrujący ich sztukę ogrodniczą — gonią za nami stada wyrostków zebranych bez skrępowania. Jeden cukierek zwabia dziesięciu. Przewodnik wygłasza małe przemówienie o prawie bytu ludności. Nikt mu nie przerywa i nikt nie zadaje

pytań, bo za wiele tu się rzuca w oczy. Pokazują nam potem rezydencję Bumedię. Kilkunastu strażników przy bramie, fotografii robić nie wolno. A zaraz za rezydencją najklasyczniejsze *slums'y*. Hotel Hilton na wzgórzu stoi pusty, turyści pouciekali. Z tej wysokości widać dobrze zatokę i jej niezwykle martwą. Po Istambule kontrast jest ostry, jakby zamierzony.

Na poczcie każą mi otworzyć list. Nie wierzę. Urzędnik twarzą sięga po nóż do rozcinania papieru. Zaczynam się śmiać. Tego nie ma nawet w ZSSR. Coś zupełnie nowego. Urzędnik odkłada nóż i przygląda mi się ponuro. — Niech się pani nie śmieje strofuję mnie jakiś starszawy Anglik — oni tego nie lubią. — Ale to jest głupie — mówię. — W tym kraju jest teraz dużo głupich rzeczy — odpowiada z przekonaniem. I lepiej z nimi nie dyskutować.

Zabieram list i szybko wychodzę. Nasi handlowcy ze statku ocenili sytuację błyskawicznie. Nikt nie wymienia pieniędzy i nikt nie handluje. Zdrowy instynkt rodaków przestrzegł ich, że tu nie ma żartów.

Część osób nie schodzi popołudniu ze statku, żar jest niesamowity, zniechęcający. Są jednak w Algierze dwie rzeczy, które warto zobaczyć. Jest to katedra Corbusiera i Casba.

Katedra znajduje się w nowocześnie zabudowanej części miasta, ale trudno o nią dopytać, teraz, kiedy Europejczyków jest tak niewielu. Z zewnątrz wygląda trochę jak muzeum, ale wrażenie wnętrza jest niesamowite. Ogromna przestrzeń wypełniona półmrokiem, ciszą i oczekiwaniem. Witraże są fioletowe, ołtarz bardzo prosty, zupełnie z boku stylizowana na antyczną chrzcielnicę. Po paru sekundach doznaje się uczucia, że ta surowość obnaża. To tak jakby się zostawiło człowieka sam na sam z jego wiarą. Sprosta jej czy ucieknie? Ma coś do przekazania, potrafi stanąć na poziomie tej surowości, czy zrezygnuje? Architektura tego kościoła jest bezlitosna, stworzona albo dla bardzo wrażliwych, albo dla bardzo obojętnych.

Tak samo bezlitosna jest Casba. Widziałam parę lat temu film rejestrujący walkę generała Massu z partyzantami i był to film straszliwy. Rzeczywistość Casby przerasta znacznie klatki filmu, mimo, że walki się już skończyły.

Wchodzimy grupą, bo Europejczyk sam po Casbie chodzić nie może. Uliczki, a właściwie przesmyki między gęsto zabudowanymi kamiennymi budami bez okien, pełne są smrodu, odpadków, wody i dzieci. Czasami w murze widzi się jakieś wgłębienie, chciałoby się powiedzieć norę, i wewnątrz jest piekarnia, szewc albo rzeźnik. Dzieci prześlizgują się popod ścianami niczym szczury. Bystre, drapieżne, głodne. Przesmyki się rozgałęziają, przechodzimy przez jakieś podwórza, pod nogami cieknie brudna woda, dzieci nas szarpia za ręce chcąc zwrócić na siebie uwagę, zapach

nędy jest tak intensywny, a dachy domów tak bliskie, że jest po prostu duszno. Chciałoby się zawrócić wstecz, ale drogę zna tu tylko przewodnik, nie ma planu w tej dżungli, nie drukuje się bedekerów. Niebo, które w Algierze jest tak jaskrawo, bołaco niebieskie, ledwie tu dostrzegamy. W tym stężeniu nędzy żyją setki ludzi. Pod ścianami domów stoją młodzi mężczyźni, twarze są ciemne, oczy bardzo chłodne, spojrzenia krótkie. Nikt nam tu nie życzy: *bienvenue en Algerie!* Myślę, że gdybym się urodziła w Casbie nienawidziłabym Europejczyków.

Casba jest tak stara jak Algier i tutejsi na Casbę nie reagują. Ktoś z kim rozmawiałam powiedział mi: Casba była jeszcze przed Francuzami, Casba będzie zawsze, nikt na to nic nie poradzi.

W każdym razie sowieccy przyjaciele Algieru nie zmienili tej sytuacji, a co najdziwniejsze nie zaprzestano pokazywania turystom dna, na którym mogą żyć jeszcze ludzie. Z Casby wychodzi się z bólem głowy i pokorą. Tak jakby się zostawiało za sobą żywioł. Zostawić tam coś — zniknie w sekundę, zostawić tam kogoś — rozszarpia bez śladu.

I znowu mamy dwa pełne dni na morzu. Handlowcy przeliczają co gdzie najtaniej wypada, grupa erotyczna nabiera pełnego oddechu. Znamy się już mniej więcej z widzenia, w swoich autokarach jesteśmy niczym rodzina. Facet z prywatnej inicjatywy (Chmielna, sweterki, Jaguar) mówi do mnie z czułością, pani to jest taka spokojna naukowczyni, jakby nas zostawić to by się nic nie działo, zgadza się odpowiadając rycząc w duchu z określenia, polszczyzna kwitnie na różnych grządkach, przewodnik mnie unika, bo znam angielski, a on nie lubi czy nie potrafi dokładnie tłumaczyć, starsze panie mają do mnie wiele zaufania, reprezentuję dla nich coś co nazwałabym *young silent majority*, trudno byłoby mnie zdefiniować, ale wiadomo na pewno, że nie rozrabiam, pani Basia zwierza mi się coraz pełniej (to tak jakby się czytało „Trędowatą” w odcinkach, z tym że ordynatem jest pierwszy sekretarz, a spiskującą krewną radą zakładową), tylko Roman mi nie dowierza, cały czas jestem podniecona, a się nie puszczam, więc co się za tym kryje?, specjaliści są najgorsi, doświadczenie ich uczy, że schematy się sprawdzają, to co się nie mieści w jednym, musi się zmieścić w drugim. Ponieważ nie może mnie ulokować w grupie erotycznej, rozumuje nie bez racji, że jestem wśród tych, którzy mają zamiar nawiać. Za każdym razem kiedy oddaję kartę lądowania i wracam na statek w przepisowym terminie widzę w jego wzroku napięcie i niedowierzanie. Z odsieczą przychodzi mi Danuta i bardzo to sobie cenię.

Ponieważ na Nessebarze mamy do czynienia z klasycznym podziałem hierarchicznym, dlatego koktajl który obywa się wieczorem nie obejmuje mas. Jest to ciche, poufne i wystawne zgroma-

dzenie tych, którzy reprezentują sobą coś z punktu widzenia partii. Jest obecny wspomniany już lekarz Gomułki, pierwszy sekretarz z Sofii, kapitan z zastępcą, pani M., i kilku wybranych z grona turystycznego, wśród nich pani Basia. Są przemówienia o przyjaźni polsko-sowieckiej, przyjaźni polsko-bułgarskiej, jest sporo alkoholu i nieskrępowana rozmowa. Sami swoi.

— Jakie są plotki? — pytam Basi po powrocie. Jest rozanielona, bardzo się jej podoba ta kontynuacja prl-owskich obyczajów i przeniesienie atmosfery spotkań na szczeblu tutaj, na ten mały, brudny bułgarski statek.

— Pani M. — mówi Basia — powiedziała, że jesteśmy nadzwyczaj spokojną grupą. Nie było do tej pory żadnych poważnych kłopotów.

— Były jakieś przedtem? — zahaczam obojętnie.

— Oh — odpiiera Basia lekko — uciekali, pili, szukała ich policja, wykrzykiwali jakieś hasła, różnie to bywało. Pani M. twierdzi, że ta grupa dojedzie w całości do kraju.

— Jasne — mówię. — Po co by mieli zostawać? Nie mamy tu przecież na Nessebarze ludzi biednych, prawda?

— No — przeciąga Basia z akcentem wtajemniczenia — mają oko na jednego z panów, ale to nic pewnego.

— Kto? — rzucam się.

— Co za różnica — mówi Basia spokojnie — wiadomo, że nie pani. Przyjedzie pani do mnie na polowanie. Zobaczysz pani jak my to potrafimy zorganizować. A potem już na jednym oddechu anonsuje mi, że prawdziwy handel, ale taki w dobrych wymiarach finansowych, zobaczę dopiero w Wiedniu, gdzie kupuje się maszyny do liczenia, wysyła do kraju i legalnie sprzedaje w komisie. Szefem jest podobno Roman.

Nazajutrz mamy bal kapitański, nie odznaczający się niczym szczególnym poza tym, że rozdają gratis bułgarski koniak. Zabawa kończy się o szarym świcie, a dokładnie spici trzeźwieją gdzieś dopiero koło Walencji. Walencja po algijskim żarze wydaje się prawie chłodna. Port jest niewielki, ale bardzo ruchliwy. W centrum na placu Caudillo, pod koronami drzew rozłożył się targ kwiatowy. Caudillo siedzi na koniu, pod stopami rozpryskuje mu się fontanna i do jakiegokolwiek kawiarni by się nie weszło ma się go ciągle na oku. Jest także obecny na znaczkach, portretach i nazwach ulic. Naszym turystom to specjalnie nie przeszkadza. Rzucają się do magazynów ze skórami. Co druga pani wraca na statek w nowym płaszczu i z botkami na zimę. W sklepach kuszą wachlarze i piękne grzebienie do włosów. Dolar stoi nieźle i Hiszpania wydaje się nam niedroga. Chciałoby się zostać tutaj dłużej, nie ten jeden, śmieszny dzień. W Barcelonie przykra świadomość, że mamy tak mało czasu, nasili się jeszcze. Zwiedzamy

w tempie od którego bolą nogi i oczy. Słynna katedra i hiszpańskie miasteczko ludowe, galeria obrazów i promenada po głównym trakcie spacerowym, nowoczesna hala w której odbywają się walki byków i stylizowana tawerna, gdzie tańczą flamenco, wspaniała avenue pod patronatem *caudillo* i zrekonstruowany statek Columba w porcie. Wracamy zziębnięci na statek, poganiamy wzrokiem kelnera i pędzimy znowu, by zapełnić tę naszą skromną godzinę wolnego czasu czymś sensownym. Wszyscy, nawet ci najobrotniejsi, są zdania, że Hiszpanię w sensie organizacyjnym przegapiło. Nie żałują się tylko przewodnicy. Wrócą tu jeszcze wielokrotnie, zdołają bez trudu zapamiętać widoki i pozatławić interesy. To pierwsze orbisowskie lądowanie w Hiszpanii jest dla nich rekonesansem.

We Włoszech nasze szanse będą już lepsze. We Włoszech opuszczamy Nessebar i będziemy mieszkać w hotelach. Zyskujemy przez to na czasie, bo nie musimy za każdym razem wracać na posiłki do portu, zyskujemy też więcej swobody — na statku pilnowanie jest niezmiernie ułatwione, znaczną część tej roboty wziął na siebie bułgarski personel, zawsze ktoś stoi przy trapie — i pełny dostęp do własnych bagaży.

Między Barceloną a Civitavecchia morze mamy idealnie spokojne, ale ludzie są już nerwowi. Zbliża się koniec wycieczki. Rzym, Florencja, Wenecja i tranzytem przez Wiedeń do Katowic. Zabawa nie może trwać wiecznie. Trzytygodniowe złudzenia wolności za *circa* trzydzieści tysięcy. Każdy ma świadomość, że czegoś nie zdążył zobaczyć, coś go ominęło i każdy wie, że nieprędko tu wróci.

Handlowcy nasilają swoją działalność. W barze papierosów nie ma już zupełnie. W godzinę po dobieciu do Civitavecchia policja włoska aresztuje kilkanaście osób z wycieczki. Handlowali w samym środku miasteczka. Pani M. szaleje. Włosi zarządzają ścisłą rewizję przy schodzeniu ze statku. Polacy reagują swoiście. Po drugiej stronie burty paczki papierosów lecą w morze. Następnego dnia ostra kontrola autokarów. Czekaemy na zezwolenie wyjazdu do Rzymu. Półgodziny, godzina, dwie. Pani M. lata od autokaru do autokaru i na przemian grozi i błaga. Nikt na nią nie zwraca uwagi. Wreszcie Włosi ustępują. Jedziemy do Rzymu. Pod Coloseum rozpuszczają nas. Przewidywany powrót wieczorem.

Zegnam się dyskretnie z Danutą. Napisz — mówi. — Chciałabym wiedzieć ile osób dojedzie — odpowiadam.

— Większość nawieje w Wiedniu — mówi Danuta. Niemcy są lepiej zorganizowani.

Ja jednak wolę czekać na wizę amerykańską w lepszym klimacie. Mam swoje powody. — Zrobiłabym to samo — szepcze

Danuta — ale jestem za stara. Wszystko od początku? Bałabym się.

Ja też mam swoje obawy. Udało mi się wyrwać kartę lądowania i dowód osobisty, nie mam jednak paszportu. Obóz w Trieście wcale mnie nie ęci. Czy Włosi dadzą mi spokojnie poczekać na załatwienie formalności w Neapolu? Mają strajki, bałagan i kupę komunistów. Powinni być wystarczająco zajęci. W kraju przepadnie mi trzecia książka. Niewiele w bilansie zysku, ale trochę szkoda. A sztuka? Jak długo będzie szła?

— Trzymaj się — ściskam Danutę.

Wieczorem dzwonię do Pani M. W pierwszej chwili nie rozumiem mnie. — Jak to nie wracam? — krzyczy. — Normalnie — wyjaśniam. Serdeczne dzięki za opiekę, ale dalej dam sobie już radę sama.

Milczenie w słuchawce. — Dziękuję — mówi wreszcie. Składam jej na zakończenie szczere życzenia dalszego rozwoju Orbisu. Naprawdę szczere.

— Dziękuję — powtarza pani M. sucho.

Kończymy rozmowę. Oni jadą dalej, a na mnie czeka kolacja w pensjonacie. W nocy drży cały dom. Budzę się przerażona. Trzęsienie ziemi, policja, alarm? Ale to tylko watykański pociąg, który przejeżdża przez tunel u stóp wzgórza i od którego dygoczą okna. Za to reakcja lękowa jest nie z Freuda ale z PRL'u. Do wolności trzeba się przyzwyczaić. Trzeba się nią nauczyć oddychać.

Jolanta DWORZECKA

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 22.00 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Głupstwa i niegłupstwa

MIGAWKI Z POLSKI

Oczywiście nie będę pisać o głupstwach. Ale jaka jest różnica między wielkim, a błahym przeżyciem? Czy nie tak samo odwraca się kartkę książki, przesuwa wskazówkę zegarka, odchodzi się dalej na następny przystanek następnego dnia?



Wracałam tam tyle razy — zawsze po coś, po uśmiech, po przeżycia, po rozmowy przy małych czarnych, lub nocą przy wódce.

— Po co tu ciągle wracasz? Jesteś swoja i obca, ani nie zostajesz, ani nie odchodzisz. Tyle trzeba ci tłumaczyć, a jednak tyle rozumiesz. Czytasz między wierszami, chwytasz podtekst, tam gdzie podtekst może być wieloznaczny, domyślasz się znaczenia aluzji, sensu niewymiernego w słowach.



Pierwszy raz przyjechałam zimą i nogi grzęzły w śniegu. Po niepozamiatanych trotuarach ludzie ślizgali się i kłęli. Widziałam kobietę bez nogi, boleśnie ślizgającą się na kulach. Bałam się, że upadnie. Boże, czemu im nie dają protez? Jak można przez całe życie skakać na jednej nodze w śnieg i w deszcz? Ale widocznie można, bo ludzie skaczą. Co właściwie mają robić?

Potem śnieg skrzył się w Zakopanem. Stary góral mówił do mnie:

— Czy czytała pani Kasprowicza?
Czytałam.

— Czy zna pani „Mój świat”?
Znałam.

— Bo tam jest taki wiersz... To właśnie o mojej matce. Ona jemu prała bieliznę.

Na Harendzie pani Marusia Kasprowiczowa czytała mi głośno „Słonecznik”. Tak jej chciałam powiedzieć, że jest coś pięknego w jej dziwnym życiu. Jeszcze ciągle widzę jej błękitne oczy, w których kochał się Kasprowicz.

Pani Marusi już nie ma. Pewnie leży obok Kasprowicza pod drzewami, nad rzeką. Już jej nigdy nic nie powiem. A śnieg znowu pada w Zakopanem.



Następnym razem przyjechałam jesienią. Padały złote liście. Jeszcze ślady po mnie nie wystygły. W sklepie z nabiałem pytali:
— Gdzie pani była, kiedy pani nie było?

Powiedziałam, że byłam na wsi. Chyba mi uwierzyli. Znowu nie było masła, tak jak zimą, i jadłam chleb z margaryną. A najczęściej — ciastka. Warszawa — i ciastka, na Starym Mieście, w Alejach, na Krakowskim Przedmieściu — wszędzie.

— Jak ty możesz żyć tylko ciastkami?
(Całe życie żyję ciastkami, tylko brakuje chleba. Ciastkiem jest luksus rzadkich, bolesnych spotkań, miłości bez nadziei, godzin bez początków i końca. A na codzień brakuje chleba. O tym nigdy nie mówię. Czy warto jest mówić o brakach? Coś jest, a czegoś nie ma).



Siedziałam u starej kobiety pijąc kawę. Mówiliśmy o kryzysie Berlińskim, o możliwości wojny.

— Ja przeżyłam dwie wojny — mówiła cichym, beznamietnym głosem. — Trzeciej już nie przeżyję. Jak ogłoszą wojnę, przysięgam pani, że wyskoczę z okna, z tego okna, tutaj... A pani nie powinna była przyjeżdżać. Takich jak pani pierwszych wsadzą do więzienia. Widzi pani te czerwone mury? To więzienie Mokotowskie. Tam panią właśnie wsadzą.

Następnego dnia meldowałam się w Pałacu Mostowskich. Weszłam w niewłaściwe drzwi i od razu przeczytałam napis na ścianie:

„Paczki można więźniom podawać dwa razy na tydzień”. To jednak było nie tu.



Uczyłam się Polski cierpliwie, jak pacierza. Nie przychodziło mi łatwo. Trzeba było zaczynać od samych początków.

— To jest ulica Chmielna, dzisiaj Rutkowskiego, ale wszyscy mówią — Chmielna. (Tego mi właśnie nikt nie wytłumaczył).

— Kupisz buty na Chmielnej.

Znalazłam Rutkowskiego i pytałam o Chmielną.

— Przecież pani jest na Chmielnej.



Jechałam tramwajem na ulicę Żelazną.

— Może mi pan powie, kiedy będzie ulica Żelazna?

— A to pani nie wie?

— Nie wiem.

— Kiedy to wszyscy wiedzą.

— Ale ja nie wiem.

Pokiwał głową i koniec końców nie powiedział. Pewnie nie uwierzył, że może być ktoś, kto nie wie.



Siedziałam w przedziale, do którego wszedł Holoubek. Ja naturalnie nic o nim nie wiedziałam, ale odczułam z reakcji pasażerów, że to ktoś nieprzeciętny. Kiedy Holoubek wyszedł, zapytałam pasażerów:

— Kto to taki?

— A to pani nie wie? Przecież to Holoubek, jeden z najlepszych aktorów. To pani nigdy nie chodzi do teatru?

— Nie chodzę.

— I na telewizor też pani nie patrzy?

— Nie patrzę.

— Mój Boże, że to w Polsce są jeszcze tacy ludzie, którzy nic nie wiedzą o teatrze!



Więc byłam ignorantem, kimś kto nic nie wiedział, który musiał się uczyć, co znaczy „remanent”, a co „manko”, co znaczy „garnazernia” i gdzie można kupić nożyczki. Wydawałoby się, że to takie proste — nożyczki do paznokci, prawie tak, jak zapalki, można pewnie dostać w każdym kiosku. Ale gdzież tam! Pytałam w drogeriach — nie ma. Chodziłam do sklepów żelaznych — nigdzie nie było nożyczek. Ktoś mi powiedział, żeby spróbować tam, gdzie sprzedają lampy. Lampy rzeczywiście były, ale właściciel był zły.

— Czy pani nie widzi, że tu sprzedajemy lampy, a nie nożyczki?

Ostatecznie nożyczek nie kupiłam. Ktoś mi pożyczył własne.



A sprawy ludzkie? Wpadłam od razu w środek wielkich powikłań, wielkich namiętności i rozgrywek.

— Pamiętaj, że tu każdy czegoś się wstydzi — powiedział mi przyjaciel literat.

Więc chodziłam ostrożnie, starając się nie deptać nikomu po piętach. Już nie pytałam, co kto robił w okresie „błędów i wypażeń”. Nauczyłam się milczeć na temat dalszej i bliższej przeszłości, a w międzyczasie chłonięłam informacje tak jak szły — i te ważne i te nie ważne.

— To jest pani x od pana y (czyli jego kochanka).

— Literat x już jej kupił bilet do Paryża (czyli afera została zakończona).

— Profesor Zet kupił własny doktorat za parę tysięcy złotych. Niech pani da dwieście dolarów, a znajdzie się mnóstwo chętnych do napisania pani doktoratu.

— Te sprawy załatwia się tylko „przez tapczan” (tzn. „łóżkowo”).

Słuchałam i patrzyłam. Byłam w wielkim lesie ludzkich spraw, w samym środku tego lasu. Nikt się mnie nie bał, bo byłam człowiekiem z boku, który posłucha i pójdzie. Tacy ludzie właściwie się nie liczą. I dlatego mówiono mi, kto z kim śpi, kto jest „na wariackich papierach”.

— Jak miło panią spotkać — mówił ktoś na wieczorku literackim. — Ja jestem właśnie agentem U.B.

— Ach, to dobrze się składa — odpowiedziałam z uśmiechem — bo ja jestem agentem F.B.I.

Potem rodzina wzięła się za głowę:

— Jak ty możesz gadać takie głupstwa!

Nocą przychodziły wątpliwości. A może mnie śledzą? A jeżeli mnie nie śledzą, to dlaczego? Czy naprawdę tak mało znaczę?



Chciałabym te sprawy objąć i podsumować. Chciałabym uchwycić ludzi, zamknąć raz na zawsze w paru kreskach, żeby już tacy byli, ani dobrzy ani źli, ale tacy sami, ale do rozpoznania, żebym nie musiała mówić przy każdym spotkaniu: — Nazywam się tak i tak. Poznaliśmy się latem.

W Kanadzie jest wysoki polonijny dostojnik, którego „pozna-

łam” już pewnie cztery razy. W dalszym ciągu mnie nie zna. Przy piątym spotkaniu znowu grzecznie się przedstawię. Co mi to właściwie szkodzi?

Ale tamci ludzie mnie obchodzą, zostają mi w pamięci, śnią mi się po nocach. Czy naprawdę tacy byli, jacy byli, czy ich sobie stworzyłam na swój własny obraz, dostosowałam do własnych wyobrażeń — *my preconceived notions* — jakby powiedzieli Anglicy.

Ty nas zbierasz jak eksponaty — powiedział mi jeden z moich polskich przyjaciół — jeszcze jeden do kolekcji. Rano Zbyszek, a wieczorem Grażyna. Wyciągasz nas na zwierzenia, badasz, a potem zrobisz z tego artykuł, lub powieść. Jesteśmy tylko twoim materiałem, tworzywem. Jesteśmy ci potrzebni, ale tylko w takim sensie.

Długo o tym myślałam, czy to prawda, czy nie. Całe życie jest tworzywem. Z życia można zrobić powieść — z kiepskiego życia dobrą powieść i na odwrót. Ale to jeszcze nie wszystko. Nikt nie jest aparatem do robienia zdjęć, ani maszyną do pisania.



Ocierasz się o parę ludzkich spraw i nagle czujesz, że boli. To już jest nieodwracalne, po prostu boli i już. Wiesz dobrze, że chwytasz tylko strzępy życia, że ta melodia nie będzie miała końca, a przecież jej słuchasz i wynosisz ją ze sobą daleko. Będzie ci się śniła już pod innym niebem. Przy następnym przyjeździe (chciałam powiedzieć „powrocie”) będziesz jej szukać znowu, ale się okaże, że melodie się zmieniły, drzewa wyrosły i ludzie już nie są tacy sami.



Siedzieliśmy znowu przy wódce, jak przed laty w Zakopanem.

— Hłasko dobrze zrobił — mówił. — Cyk — i już. Hłasko dobrze zrobił. Bo właściwie co dalej. Mam już czterdzieści parę lat, nic przed sobą i nic za sobą. Wieszałem się na lampie dwa miesiące temu, ale lampa się zerwała. Tak głupio. Hłasce też nie wyszło od razu, cztery razy próbował, dopiero za piątym...

W hotelu „Warszawa” orkiestra grała modnego „kozaczka”. Usta paliła wódka, już nic nie było widać, tylko dym z papierosów, kilka pijanych par i to klaskanie w ręce — „kozaczok”!

— Hłasko dobrze zrobił — mówił. — Mówiłem ci to przedtem, mówię teraz, za chwilę znowu powiem.

— Proszę przestań.

Szliśmy nocą przez miasto. Przed Pałacem Kultury kilka par tańczyło na jezdni. Na horyzoncie dniało. Była już czwarta rano.

Wczesny warszawski świt.

— Dokąd teraz pójdziemy?

— Nie wiem.

Poszliśmy na Dworzec Główny zjeść zupę w bufecie (bufet otwierali o 5-tej). Z ławek ściągali się leniwie pseudo podróżni, którzy tu podobno podsypiają, a potem włączają się po mieście. W pamięci wstały echa tamtych dawnych lat, tamtych gorących zup, nocy przepędzanych na dworcach. W Rosji, w czasie wojny...



Teraz ci to powiem — Hłasko źle zrobił. Każdy może tyknąć tabletki, to nie żadna sztuka, z lampą byłoby już gorzej. Ale Hłasko źle zrobił, bo są dnie i są noce. Nikt z nas zresztą nie wie ile. Jest smak wódki na ustach i jak gdyby czegoś gorzkiego. Pijanego Murzyna wywlekają z baru za nogi, ktoś wymiotuje w kacie, ktoś jest znowu sam — ale słońce wstaje nad miastem. To brzmi patetycznie, ale to po prostu prawda. Za lat parę spotkam cię, lub nie spotkam. I nie będą już tańczyli „kozaczka”. Ale Warszawa będzie, ktoś postawi mi wódkę i pójdziemy nocą błądzić pod Pałacem Kultury.



Chciałam tych ludzi policzyć, chciałam ich uszeregować, chciałam otrzeć się o nich zostawiając ślady i nie unosząc śladów. Ale stało się inaczej. I właściwie nie wiem, czy mi wolno było tak bezkarnie mieszać się w życie. Życie nie jest książką, nie wolno go otwierać w połowie, nie wolno opuszczać rozdziałów, ani przerzucać stron i nie danym nam będzie przeczytać epilogu.

Teraz już to rozumiem lepiej. Przedtem tylko chciałam brać, wyciągałam przed siebie ręce, jak człowiek głodny. Były słowa na ulicy, były słowa w tramwaju — jak bardzo mnie cieszyły zwyczajne polskie słowa, melodia żywego języka, bez naleciałości, jędrna i wielobarwna. Wobec tej melodii język emigrantów jest jak bezzębny szepot starca:

— Panie prezesie, panie generale, czy nie będzie pan tak łaskaw...



W pociągu podmiejskim jechaliśmy stłoczeni, jak śledzie. Stałam na obu nogach (i to dobrze), ale młody człowiek obok co parę minut trącał mnie łokciem w nos. Koniec końców nie wytrzymałam i powiedziałam mu parę słów.

— Może pani się nie podoba, co? — powiedział dość groźnie.
— To niech się pani odsunie.

Był to oczywiście sarkazm, bo byliśmy w pełni zdani na bliskość naszych ciał aż do końca podróży.

Innym razem *volens nolens* trafiłam do ubikacji z dwoma mężczyznami. Po prostu ani w przedziałach, ani na korytarzach już nie było miejsca, więc musieliśmy jechać w ustępie. Nie było zresztą najgorzej, bo usiadłam na sedesie, ale na nasze nieszczęście jeden z pasażerów miał rozstrój żołądka.

— Proszę się stąd usunąć — błagał zdenerwowany.

— Dobrze panu powiedzieć, kiedy nie ma gdzie.

— Niech mi państwo wybaczą, państwo rozumieją, ale chyba będę musiał... w waszej obecności...

Wobec takiej perspektywy jakoś wpełchnęliśmy się w tłum. Z korytarza wycisnęli nas na platformę, właściwie byliśmy pomiędzy wagonami.

— Niech się pani nie boi — mówił do mnie nieznajomy mężczyzna — niech się pani o mnie oprze.



Na wsi gęgają gęsi, muchy syczą na lepie. Spi się pod pierzyną. Nogi toną w piasku. — To Polska.

W Sopocie jest tłum gapiów. Na plaży tłuste ciała roztapiają się w słońcu. Cyganki mówią: „Powróżyć... Może pani powróżyć. Brunet męska osoba... oj, bardzo panią zainteresowany”. Na molo gra orkiestra — to Polska.

W Polanicy ze szczytów gór widać Czechosłowację. Tu się Polska kończy. Ale łąki i lasy są wszędzie takie same. I aż trudno uwierzyć, że tu się Polska kończy. (Pytałam kiedyś górala nad granicą: — A po jakim oni mówią po tamtej stronie? — A po naszymu — powiedział).



Tylko przyjezdni zdają sobie sprawę, że te „laski i piaski” (tu i ówdzie fabryki), a poza tym senne miasteczka i sylweta Wawelu w pogodną letnią noc — to jest właśnie Polska. Dla miejscowych Polska jest zbyt oczywista, aby ją dostrzegać na codzień. Oczywiście jak chleb, jak dzień dobry przy spotkaniu, jak kaczęce w koszyku. Miejscowi zazdroścą przyjezdnym zagranicznych paszportów — tego okna na świat. Żegnają ich na Okęciu powiewając chustkami. I nie wiedzą jak gorzko smakuje słodka kawa w samolocie.



I to jest właśnie prawda — ani tam powrócić, ani stamtąd odejść na zawsze. Zawsze ciągnie i zawsze odpycha.

Czy naprawdę tutaj, w tej zapadłej wiosce urodził się mój ojciec? Czy na tej grząskiej łące pasał krowy? Jak stąd wyglądał jego świat?

Czy naprawdę to już wszystko. — Nowa Huta, laski i piaski, tłuste ciała na plaży, tłuste ciała na tapczanach. Nikomu się nie chce, jak w „Indyku” Mrożka. Zaspana urzędniczka mówi zbolalym głosem:

— Czy naprawdę pani do mnie? Może pani przyjdzie innym razem?

Może przyjdę innym razem, a może nie. Kto to może wiedzieć? Dzieli nas Atlantyk fizyczny i psychiczny. Tam, gdzie mieszkam, jest noc kiedy słońce wstaje nad Warszawą, a na Dworcu Głównym biedacy jedzą zupę. Życie jest takie dziwne. Nie wiem jak to wyrazić.

„Nawet się kości we mnie odmieniły, a ja zawsze pamiętam”.

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

TRYBUNA

kwartalnik polityczny

Bieżący numer za II-gi kwartał 1970 zawiera m.in. artykuły: R. Piłsudski — *Sprawa polska dziś i wczoraj*; J. Studziński — *Zagadnienie Odry-Nysy na konferencji poczdamskiej według pamiętników jej zachodnich uczestników*; W. Gaworzewski — *Jak młode pokolenie widzi przyszłość emigracji*; J. Pomian — *Polityka amerykańska wobec procesów integracyjnych Europy Zachodniej*; M. Thugutt — *W oczach cudzych i własnych*; N. Bethel — *„Gomułka, his Poland and his Communism”* oraz W. Bieńkowski — *„Motory i Hamulce Socjalizmu”*.

Cena numeru 4 F., 6 szyl., 1 dol.

Do nabycia w księgarniach i kioskach polskich oraz za zamówieniem na adres:

TRYBUNA, 3 Alexandra Road, London W.4.

Archiwum polityczne

Futurologia Polski

Polacy mają na ogół pogardliwy stosunek do polityki. Można tłumaczyć Szekspira — można pisać eseje o kulturze antycznej — lecz pisanie o polityce nie jest zajęciem godnym intelektualisty. Tkwi w tym pewien paradoks. Publicystyka jest dziś dyscypliną tak trudną, że powątpiewam czy w ogóle można być dobrym publicystą. Polityczny pisarz winien być socjologiem, ekonomistą, naukowcem politycznym (*political scientist*), powinien znać sześć głównych języków światowych, czytać około 15-tu książek tygodniowo i około trzydziestu gazet i tygodników dziennie. To wszystko przekracza siły i możliwości jednego człowieka, choćby najbardziej zamiłowanego w swoim zawodzie.

Od polityki zależy wszystko. Wolność osobista, wolność prasy, niezawisłe sądy, służby społeczne, szkolnictwo, kultura. Człowiek, który deklaruje swoją a-polityczność — umywa ręce i *de facto* oświadcza, że to wszystko nie go nie obchodzi. A-polityczność jest więc równoznaczna z postawą antyobywatelską i antyspołeczną.

Przez pokolenia dla Polaków polityka oznaczała politykę zaborczą. Polacy studiowali historię lecz polska *political science* nie miała szansy się urodzić. Podobnie było z dziennikarstwem. Za czasów mojej młodości nie istniały szkoły dziennikarskie. Dziennikarze dzielili się wówczas na dwie kategorie: dziennikarzy z talentu i dziennikarzy z przypadku. Procent dziennikarzy, którzy nie ukończyli wyższych studiów był bardzo znaczny. Żaden inny zawód nie stanowił przytułku dla takich mas dyletantów i nieuków jak dziennikarstwo.

Politycznych pisarzy całą gębą mieliśmy zaledwie kilku. Tych kilku nie zdołało przełamać nieufności do polityki zarówno szeregów mas jak i intelektualistów. Wychodziły w Polsce przed wojną wykwintne pisma literackie jak *Skamander*, lecz periodyków politycznych na poziomie amerykańskiego kwartalnika *pt. Foreign Affairs* — nie było.

Publicystyka była sub-gatunkiem literackim podobnie jak w

XIX wieku. U większości autorów nigdy nie było wiadomo gdzie kończy się literatura a zaczyna się publicystyka i na odwrót. Kłasyk przykładem w tej sprawie jest Józef Mackiewicz. Byliśmy wychowani w tradycyjnym przekonaniu, że narodowi przywodzi wielka literatura a nie pisarze polityczni. Piłsudski cytował Słowackiego a nie Lubeckiego. Istniała dziwaczna przepaść pomiędzy patriotyzmem a polityką. Patriotyzm to był „Karmazynowy Poemat”, „Wolność Tragiczna”, szopenowska muzyka, teatr narodowy z „Weselem” na czele. Polityka natomiast to była „kiełbasa wyborcza”, napaści i wyzwiska oraz brudne interesy prawdziwe i zmyślone. Fakt, że patriotyzm winien wyrażać się poprzez koncepcje polityczne — był obcy dla większości Polaków.

W przeciwieństwie do Anglików i Amerykanów Polacy traktują politykę jeszcze dziś za dyscyplinę podrzędną, którą — o ile można — należy dyskretnie i wstydliwie przemilczać.

Polityków wychowuje ustrój społeczny. Od upadku pierwszej Rzeczypospolitej nie mieliśmy właściwie własnego ustroju społecznego. Po pierwszej wojnie światowej zaadoptowaliśmy francuski wielopartyjny system demokracji. Nie usprawiedliwiając tzw. „zamachu majowego” wypada stwierdzić, że system wielopartyjny nie funkcjonował prawidłowo w naszych ówczesnych warunkach. Stały rząd nie jest równoznaczny z sukcesem. Lecz system, który nie jest w możności wyłonić stałego rządu nie osiąga nigdy sukcesu. Rząd, który nie ma zapewnionych przynajmniej 5-ciu lat istnienia — nie może ani planować gospodarki ani podejmować żadnych długofalowych reform społecznych.

Czy byłoby rzeczą możliwą w sprzyjających warunkach wprowadzić w Polsce system dwupartyjny? Jak wiemy w systemie dwupartyjnym inne partie nie są zakazane lecz alternatywne rządy ograniczają się tylko do dwóch głównych partii. Niedługo w Anglii będziemy mieli powszechne wybory. Jednak jest oczywiste dla każdego, że ani komuniści ani liberałowie nie mają żadnej szansy utworzenia rządu. Alternatywą jest tylko rząd konserwatywny.

Partia Pracy i Partia Konserwatywna to są dwa różne ugrupowania polityczne — lecz to nie są partie antagonistyczne. Tak socjaliści jak i konserwatyści akceptują *welfare state* — tak jedni jak i drudzy akceptują brytyjski tradycyjny system demokracji i różnice pomiędzy obu partiami sprowadzają się właściwie do spraw administracyjno-gospodarczych. Tak zwany „gabinet cieniów” konserwatystów i gabinet Labour Party — to są dwie ekipy ekonomistów, administratorów i ekspertów, którzy walczą o władzę. Ideologia w tej walce odgrywa rolę marginesową a często dekoracyjną. To są konkurenci, może nawet przeciwnicy, lecz nie antagonistyczni wrogowie.

U nas te sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej. Bez względu na to kto nami w danym okresie rządzi — Polaków można podzielić na dwie grupy. Po jednej stronie będziemy mieli ludzi lewicy — zaczynając od rewizjonistów, rewolucjonistów, neo-marksistów i na staroświeckich socjal-demokratach kończąc.

Mówimy o poglądach i postawach a nie o przynależności partyjnej. Podobnie prawica polska składa się nie tylko z endeków, wyznających Dmowskiego, lecz obejmuje również nacjonalistów, konserwatystów, i setki tysięcy ludzi dla których słowo „lewica” jest terminem podejrzanym.

Przyjmijmy, że owe różnorodne elementy prawicowe organizują endecy — a lewicę, bez względu na jej fragmentaryzację, organizują socjaliści. Lecz nawet wówczas układ polityczny w Polsce nie przypominałby w niczym systemu angielskiego. Endecy nie stanowią alternatywy socjalizmowi ponieważ wyznają ideologię, która jest antagonistyczna w stosunku do socjalizmu. Gdyby — powiedzmy dla przykładu — po pięciu latach rządów socjalistów przyszli do steru endecy — rozpoczęliby swe rządy od likwidacji socjalizmu. Socjaliści i endecy to nie są dwie różne administracyjno-technokratyczne ekipy. W gruncie rzeczy to są dwie antagonistyczne ideologie i endecy nie dążą do współpracy z socjalizmem, ale dążą do jego likwidacji. W polskich warunkach olbrzymią rolę w tych sprawach odgrywa kościół, który poparłby raczej katolicką narodową prawicę niż laicki socjalizm.

Gdyby w przyszłej Polsce istniała ortodoksyjna partia komunistyczna — nie wykluczam, że w pewnych sytuacjach mogłoby dojść do porozumienia pomiędzy endekami a komunistami przeciwko socjalistom. Gdyby ówczesna polska partia komunistyczna była nacjonalistyczna i totalistyczna — znalazłaby daleko łatwiej wspólny język z endekami niż z socjal-demokratami.

Owe antagonistyczne postawy prawicy i lewicy polskiej powodują, że problem ustrojowy w naszym kraju jest kwadraturą koła.

Celem systemu demokratycznego nie jest umożliwienie wyborcy głosowania na dziesięć różnych partii. Celem głównym i zasadniczym systemu jest umożliwienie wyłonienia poprzez wybory rządu alternatywnego. Założeniem brytyjskich konserwatystów nie jest likwidacja socjalizmu i Labour Party — tylko zaoferowanie Brytyjczykom innego rządu. Gdyby konserwatyści postawili sobie za cel likwidację Labour Party i socjalizmu — mielibyśmy w Anglii wojnę domową a nie demokrację.

Wielopartyjność nie gwarantuje demokracji. Jeżeli w danym kraju mamy dwie potężne partie o antagonistycznie sprzecznych programach i ideologiach — jest oczywiste, że silniejsza z owych dwu partii dążyć będzie do zagarnięcia całej władzy, której użyje bez wahaniami do zlikwidowania politycznych przeciwników.

Do czego zmierzają powyższe uwagi?

Pragnąłem wykazać, że demokracji nie gwarantuje wielopartyjność. Demokrację gwarantują tylko demokraci. Jeżeli w danym kraju demokratów nie ma — względnie są nieliczni — żadna ustrojowa struktura, choćby pomyślana jak najbardziej demokratycznie — nie zapewnia demokracji.

Rzetelny demokrat gotów jest w dobrej wierze współpracować z każdym — komunistów nie wyłączając — ponieważ swojego programu nie uważa za antagonistycznie sprzeczny z innymi

politycznymi programami. To jest ów „zgniły” i pogardzany liberalizm, bez którego ustrój demokratyczny jest nie do pomyślenia.

Trzeba również z naciskiem podkreślić rzecz następującą. Nikt nie może wymagać od endecka czy socjalisty by programów swoich partii nie uważali za słuszne. Lecz co innego jest program swojego stronnictwa uważać w ogólnym zarysie za słuszny — a co innego jest uważać ów program za wyłączną i jedyną prawdę. Jeżeli bowiem dany program partyjny uznajemy za jedyną i wyłączną prawdę — jest wówczas oczywiste, że programy innych stronnictw muszą być kłamliwe i fałszywe. Tu jesteśmy u źródła owej antagonizycznej sprzeczności o której mówiłem powyżej. Partia, która uważa się za dzierżycielkę wyłącznej i jedynej prawdy — zajmuje antagonistyczne pozycje w stosunku do wszystkich innych partii i programów. Zbędne dodawać, że antagonizm wyłącza jakąkolwiek demokrację.

Na emigracji znaczny procent ludzi jest antyliberalny, antykomunistyczny i w swojej własnej ocenie — demokratyczny. Nie wystarczy nazwać się „Narodową Demokracją” by mieć cokolwiek wspólnego z demokracją. Nie wystarczy również być antykomunistą. Musi się być liberałem jeżeli chce się być demokratą — ponieważ *nie istnieje na świecie antyliberalna demokracja*. Z chwidą kiedy demokracja przestaje być liberalna — przestaje równocześnie być demokracją.

Kto jest liberałem? Liberałem jest człowiek, który podpisuje się pod słowami prof. Toynbee'ego, że nie ma jedynej prawdy i nie ma wybranego narodu. Jestem z przekonania socjalistą. Nie oznacza to jednak bym uważał, że socjalizm demokratyczny jest jedyną i wyłączną społeczną filozofią. Socjalizm z całą pewnością będzie ewoluował i pewne jego tezy zostaną odrzucone a nowe tezy sformułowane. Ponieważ jestem zarówno liberałem jak i socjalistą stać mnie na stwierdzenie, że pewne tezy w programie Stronnictwa Narodowego są słuszne. Jestem przeciwnikiem endecji ponieważ endecy w większości nie są liberałami — co ich reklamowaną demokratyczność stawia pod znakiem zapytania.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że głoszę relatywizm polityczny i ideologiczny. Mieszkam na demokratycznym Zachodzie niemal od 30 lat i gdybym miał zdefiniować demokrację w jednym zdaniu powiedziałbym co następuje: demokracja jest kultem relatywizmu. Kto odrzuca relatywizm — odrzuca liberalizm i tym samym odrzuca demokrację. Ponieważ jak podkreśliłem powyżej — nie ma i nie może być antyliberalnej demokracji. Tak zwane „demokracje ludowe” są antyliberalne i z tej przyczyny nie są demokratyczne.

Mówiąc o liberalizmie nie mam na myśli programu żadnej partii liberalnej. Przez liberalizm w tym kontekście rozumiem postawę kulturalno-społeczną. Polacy są urodzonymi „wolnościowcami”. Można powiedzieć, że wolność jest naszym zawodem. W każdym przemówieniu i w każdym artykule wolność jest wymieniana dziesiątki razy. Równocześnie, w większości nie jeste-

my liberałami. Z tej przyczyny naszego umiłowania wolności nie można identyfikować z umiłowaniem demokracji. Polacy przez wolność rozumieją niepodległość i nic więcej. Sprawa przedstawia się podobnie w innych krajach wschodnioeuropejskich z wyjątkiem Czechosłowacji. Z powyższych przyczyn obawiam się, że nawet przy korzystnej koniunkturze — demokracji w Polsce nie będzie w najbliższym czasie. Nie może być demokracji tam, gdzie nie ma demokratów, względnie tam, gdzie demokraci stanowią mniejszość. Możemy odzyskać niepodległość lecz odzyskanie niepodległości nie jest równoznaczne z demokracją.

Cóż nam więc pozostaje? Wydaje mi się, że w sprzyjającej sytuacji powinniśmy uczynić wszystko, by nie wpaść z deszczu pod rynek. Rozumiem przez to zastąpienie komunizmu taką czy inną formą reakcyjnej dyktatury. W Polsce nie ma endecji jako partii — lecz są setki tysięcy endecków, którzy nawet nie wiedzą, że są endeckami.

Jeżeli na skutek przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych komunizm w Polsce zacznie się walić — pojawi się nie tylko Dubczek lecz i Moczar. Oba tych nazwisk używam jako symboli pewnych określonych postaw. Z jednej strony będziemy mieli nacjonal-komunizm — z drugiej strony socjalizm o ludzkim obliczu. W sytuacji, którą rozpatrujemy — endecy ci z legitymacją partyjną i ci bez legitymacji — mogą poprzeć masowo „Moczara” — głównie z tej przyczyny by nie dopuścić do triumfu socjalizmu w Polsce. Polska przemieniona w Czechosłowację z okresu przed inwazją — byłaby politycznym grobem endecji. Leżałoby we wspólnym interesie tak nacjonal-komunistów jak i endecków nie dopuścić do przekształcenia się Polski w Czechosłowację typu Dubczeka. „Dubczekizm” w polskim wydaniu nie byłby stuprocentową demokracją — lecz byłby ustrojem nie reakcyjnym i w naszych warunkach najbardziej zbliżonym do demokracji. Socjalizm z ludzkim obliczem otwierałby drogę — może długą i mozolną do ustroju demokratycznego. (Pomijam antysemitizm, który łączy wszystkich nacjonalistów bez względu na ich sztyld polityczny — ponieważ w sytuacji którą rozważamy — Żydów w Polsce już zapewne nie będzie).

Endecy uważają się za demokratów. Demokrację można pojmować rozmaicie. Pewne natomiast jest, że endecy są antyliberałami, nacjonalistami i wrogami socjalizmu. Każda rewolucja w Polsce będzie miała nie tylko socjalistyczne lecz i nacjonalistyczne skrzydło. Endecy z całą pewnością poprą tych, którzy będą zwalczać socjalistów.

Każda rewolucja jest w gruncie rzeczy wojną domową. Byłoby naiwnością przypuszczać, że w sprzyjających okolicznościach zjawia się polski Dubczek, który porwie za sobą cały naród. Te same sprzyjające okoliczności, które umożliwią wydobyć się na powierzchnię postępowym socjalistom — stworzą również szanse dla prawicy i reakcji.

Za Dubczkiem stał istotnie cały naród lecz wszyscy Czecho-

słowacy zdawali sobie sprawę z kryzysowej sytuacji i z zagrożenia z zewnątrz. Gdyby w owym czasie Rosja była uwikłana w konflikcie na Dalekim Wschodzie i nie mogła pozwolić sobie na interwencję — Dubczek musiałby przeprowadzić batalię z rodzimą reakcją, ponieważ grupy antysocjalistyczne nie dałyby za wygraną. Również gdyby nie było zagrożenia z zewnątrz — Dubczek nie byłby popularnym bohaterem narodowym tylko jednym z reformistycznych przywódców.

Twierdzenie, że w Czechosłowacji cały naród stał przeciwko Rosji jest nieścisłe. Reakcyjniści byli gotowi do kolaboracji ponieważ uważali, że wszystko jest lepsze od reformizmu Dubczeka.

W ostatecznym jednak obrachunku rewolucję trzeba wygrać nie przeciwko Rosji tylko przeciwko własnej reakcji. Rewolucja tym różni się od powstania, że w pierwszym rządzie jest problemem wewnętrznym. Innymi słowy — jak to podkreśliłem uprzednio — rewolucja jest zawsze wojną domową, krwawą lub bezkrwawą, prowadzoną przez siły postępu i reformy przeciwko zmobilizowanej reakcji.

Zgadzam się z tezą, że stalinizm nadaje się na złom. Lecz celem rewolucji czy przewrotu w sprzyjających okolicznościach — może być tylko socjalizm a nie dyktatura nacjonalistyczna.

W moim przekonaniu rewolucje w krajach wschodnioeuropejskich rozegrane zostaną przez komunistów. W chwili gdy Rosja zostanie zaangażowana w konflikcie dalekowschodnim — w chwili gdy widmo interwencji wydatnie zmaleje — komuniści będą musieli szukać poparcia w masach społeczeństwa. Za postępowcami, nazwijmy ich dla skrótów „dubczekistami” — opowie się klasa robotnicza i inteligencja pracująca. Lecz za „mocarowcami” (podkreślam, że są to tylko symbole rozpoznawcze) — prawdopodobnie opowie się nacjonalistycznie nastrojone wojsko, aparat bezpieczeństwa, urzędnicy a przede wszystkim neo-mieszczanństwo.

Jeszcze raz należy podkreślić punkt następujący. Zakładamy, że rewolucja wybuchnie wówczas gdy widmo interwencji zmaleje. Wówczas przywódcy socjalistycznemu — jeżeli zwycięży tak jak zwyciężył Dubczek — będzie z jednej strony łatwiej realizować program radykalnych reform — z drugiej jednak strony przyjdzie mu znacznie trudniej niż Dubczekowi zjednoczyć za sobą cały naród. Reakcja nacjonalistyczna i prawicowa podniesie głowę usiłując pozbyć się za jednym zamachem socjalizmu i perspektyw demokratyzacji.

Polski Dubczek — jeżeli miałby odnieść pewne zwycięstwo — musiałby uniknąć błędów czechosłowackiego Dubczeka. Są sytuacje, gdzie największym zagrożeniem dla socjalizmu jest... socjalizm. W zapale rewolucyjnym wszyscy równocześnie i zawsze w imię socjalizmu domagają się reform, wolnych wyborów, wielopartyjności i tysiąca innych rzeczy, które realizowane zbyt szybko i bez selekcji prowadzić by musiały do chaosu i bankructwa socjalizmu. Socjalizm ma nie tylko prawo lecz i obowiązek bronięcia swoich pozycji i osiągnięć.

Należałoby uniknąć następującej sytuacji. Reakcyjna prawica domagałaby się od polskiego Dubczeka by rozpiął powszechne wybory i zalegalizował partie prawicowe. Domagano by się tego w imię demokracji, którą identyfikuje się z socjalizmem. Lecz ugrupowaniom prawicowym nic nie zależałoby na demokracji tylko na zlikwidowaniu socjalizmu.

Czy rząd socjalistyczny, który na skutek rewolucji czy przewrotu znalazłby się w Polsce przy władzy miałby obowiązek ulegalizowania partii prawicowych? Oczywiście na emigracji pisało by, że jedynym sprawdzianem demokratyzmu polskiego Dubczeka byłoby gdyby ulegalizował endeków, falangę, ONR czy jakąkolwiek inną partię nacjonalistyczno-prawicową. Rzecz jasna nie chodzi o nazwy tylko o treść. Partie o których mówimy mogłyby mieć zupełnie inne nazwy niż przed wojną.

Trzeba zapytać co jest naszym celem — czy budowa nowego systemu socjalistycznego czy restauracja wielopartyjnej przedwojennej demokracji? Trzeba również zastanowić się, który z tych systemów stanowi pewniejszą drogę do prawdziwej demokracji i lepiej chroni przed dyktaturą.

Partie o antagonistycznych programach nie mogą z sobą współpracować tylko mogą z sobą walczyć. Demokracja nie polega na wielopartyjności — tylko polega na tym by różne partie zrzeszały prawdziwych demokratów. Tylko bowiem demokraci są zdolni do współpracy.

Polski Dubczek — w opisywanej sytuacji — nie powinien ulegalizować żadnej partii, której program byłby antagonistycznie sprzeczny z socjalizmem a tym samym z demokracją. W Polsce demokratów jest bardzo mało i w moim przekonaniu socjalizm z ludzkim obliczem ma daleko większe szanse zdemokratyzowania z czasem Polski niż jakiegokolwiek inny program.

Zagrożenie w postaci sowieckiej interwencji może kiedyś zmaleć a nawet zniknąć. Lecz zagrożenie ze strony polskiej reakcji nie zniknie. Owo zagrożenie zwalczyć mogą tylko polscy socjaliści pod warunkiem, że będą solidarni i zjednoczeni. Akcent spoczywa na słowie „solidarni”. Zjednoczenie nie jest tak istotne. Co to oznacza? Oznacza to, że polscy socjaliści gdziekolwiek by przebywali — powinni solidarnie poprzeć rewolucyjnego polskiego przywódcę gdy się pojawi, pomimo, że na pewno nie wyjdzie on z kół PPS.

Artykuł niniejszy — jak wskazuje tytuł — dotyczy przyszłości. Nie było moim zamiarem uprawiać propagandy na rzecz socjalizmu. Sądzę, że gdybym był konserwatywnym publicystą brytyjskim czy francuskim, zaproszonym przez redakcję *Kultury* do wypowiedzenia się na powyższy temat — ująłbym ten artykuł podobnie.

Nie mam nic przeciwko konserwatystom, pod warunkiem, że są liberałami. Niestety komunizm ureakcyjnił naszych konserwatystów. W polskich kołach prawicowych byłoby trudno znaleźć człowieka o postawie równie otwartej jak powiedzmy — Leszek

Kołodkowski. Nie istnieje nawet pojęcie „otwartej prawicy” w analogii do „otwartego socjalizmu”. Z tych przyczyn socjalizm z ludzkim obliczem wydaje mi się najlepszym „przedszkolem” demokracji dla odrodzonej Polski.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Błąd czy perfidia

„Niewdzięczna, nie będziesz miała moich gości...” powiedział, za afrykańskim Scypionem, hitlerowski generał-gubernator Belgii, von Falkenhausen, opuszczając jej granice, po odsiedzeniu uprzednio 7 lat w więzieniu w Brukseli. Belgia, rzeczywiście, nie dostała jego gości, na których jej zresztą specjalnie nie zależało. Niewiele natomiast brakowało, aby w kościołach, w ciele, i w ogóle żywego, otrzymała jednego z adwokatów Falkenhausena, niejakiego Ernsta Achenbacha.

Ow p. Achenbach, poza obroną Falkenhausena, tym się jeszcze wyróżnia, że w latach okupacji był radcą ambasady III Rzeszy w Paryżu, że jako najbliższy współpracownik popularnego we Francji Otto Abetz, kierował sekcją polityczną tej ambasady, że w tym charakterze lekkomyślnie podpisał kilka dokumentów, z których wynika, że do jego ulubionych hobby należała tzw. kwestia żydowska, w tym sensie jaki jej wówczas nadawano. P. Achenbach przy tym dochował wierności swemu przedwcześnie zgastemu szefowi, pisząc wzruszającą przedmowę do książki Abetz wydanej w r. 1951. W dwa lata później, a więc niejako już po sezonie, p. Achenbach zastąpił jako autor oryginalnej tezy lansującej szeroki dostęp byłych hitlerowców do polityki i głoszącej, że „po kilku tygodniach nikt nie wspomni o denazyfikacji”.

No i się pomyślił. I to mimo, że on sam — w ramach partii dość eufemistycznie zwanej liberalną, czyli FDP — doszedł już do Bundestagu, a nawet do parlamentu europejskiego w Strasburgu, gdzie, jako fachowiec od spraw europejskich i rasowych, naucza aż w dwóch komisjach: politycznej i afrykańskiej.

Ale, jako się rzekło, pomylił się. A zgubił go atrament, niemieckie zamiłowanie do porządku, przesadne ambicje i nieznajomość — mimo długiego stażu — szerokiej europejskiej duszy.

Zgubił go atrament — albowiem pisał a zwłaszcza podpisywał dużo rozmaitych, niekoniecznie dziś popularnych, raportów, depesz, donosów itp. Zgubił go „Ordnung” — bo wszystkie te dokumenty są łatwo dostępne w niemieckich archiwach. Przesadne ambicje — albowiem wraz z wejściem FDP do rządu, p. Achen-

bach, w zamian za poparcie prawicowej frakcji jego partii dla koalicji z socjal-demokratami, zażądał dla siebie wysokich ale zbyt widocznych gołym okiem godności politycznych. I zgubiła go nieznajomość duszy europejskiej — albowiem, wbrew jego przekonaniu, że po kilku tygodniach nikt nie wspomni o denazyfikacji, p. Achenbachowi przypomniano jego przeszłość w 25 lat po kapitulacji 1.000-letniej Rzeszy.

Owa sierota po Abetzu zawieszowała sobie mianowicie stanowiska jednego z niemieckich przedstawicieli w Komisji Wspólnego Rynku. W lipcu br. wygasają mandaty obecnych komisarzy — tak się tu nazywają członkowie wysokiej komisji — i należy sądzić, że przy tej okazji, w wyniku nowej formuły rządu w Bonn, obok przedstawiciela NRF rodem z SPD, zasiądzie w wygodnym i ważnym fotelu Komisji Wspólnego Rynku jakiś przedstawiciel FDP.

Resztę już znamy. To znaczy, przepraszam, nie znamy. Bo oto, odezwała się Bruksela — podwójna stolica: Belgii i Europy. Awantura zaczęła się w nowoczesnych biurach EWG. Jest to ogromny i labiryntowy kompleks gmachów, gdzie na razie jeszcze windy, klimatyzacja itp. nie działają jak trzeba, i gdzie przeciągi i rozmaite nieujarzmione podmuchy uniemożliwiają — ku powszechnemu żalowi reszty personelu — noszenie mini-spódniczek przez urzędniczki wspólnorynkowe. Ale choć ciągnie tam z rozmaitych stron, tym razem powiało jednolicie, twardo i groźnie.

Abetz ante portas — ten numer nie przejdzie! Pierwsze zaprotestowało — bo jest i takie — stowarzyszenie urzędników EWG, byłych deportowanych i ofiar hitlerizmu. Kwieciste sformułowania poparte zostały zapowiedzią wystawienia pikiet, które nieostrożnego aspiranta postanowiły po prostu nie wpuścić do biura.

Zagrzmiało naturalnie w prasie belgijskiej. Wbrew poglądom niektórych publicystów prasy warszawskiej, że jest to prasa zajęta głównie popieraniem NATO, tym razem zajęła się ona ujawnianiem pikantnych szczegółów z bogatej przeszłości Achenbacha. Dobiły go jednak pycha i gadulstwo. Uznał on mianowicie za wskazane podjąć polemikę z przeciwnikami jego intronizacji w Brukseli, powołując się m.in. na pomoc jakiej rzekomo udzielił... partyzantce francuskiej. W odpowiedzi na te figle, dzienniki brukselskie opublikowały co cenniejsze dokumenty z podpisami i „heil-hitlerami” *genosse* Achenbacha, załatwiając najzupełniej odmownie jego szanse na pełny etat w EWG.

Malowniczym i wymownym ukoronowaniem tego pogrzebu I klasy, był przyjazd do Brukseli p. Beaty Klarsfeld, stynnej od czasu gdy w Berlinie spoliczkowała byłego, ale wówczas aktualnego, kanclerza NRF, Kiesingera. I jako że skuteczność prania po pysku nielubianych polityków nie jest jeszcze całkowicie dowiedziona, to trzeba dodać, że tym razem p. Klarsfeld, poza temperamentem, uzbrojona była także w ogromne *dossier* pełne przyczynków do życiorysu jej kolejnego, ulubieńca, p. Achenbacha.

Tym wesołym oberkiem można by całą tę historię zakończyć, gdyby nie narzucające się pytania, co do powodów jakie skłoniły Brandta do wyrażenia zgody i poparcia dla kandydatury Achenbacha. Nie ma przecież wątpliwości co do braku sympatii ze strony kanclerza dla byłych hitlerowców.

Można wysunąć dwie, sprzeczne ze sobą, tezy. Albo, wynikało z presji i targów z FDP, wysunięcie Achenbacha na szalenie drażliwe i ponętne miejsce w Brukseli było po prostu błędem, pierwszym poważnym błędem w karierze socjal-demokratycznego kanclerza w Bonn.

Albo też — wprost przeciwnie — było to pociągnięcie przewrotne. Rozumowanie Brandta mogłoby być następujące: odrzucając kandydaturę Achenbacha kanclerz naraziłby się na kłopoty w łonie chwiejnej, wiszącej na włosku 12 głosów, większości w Bundestagu. Większości, której poparcia może on potrzebować np. w trudnym i pełnym goryczy dla wielu Niemców, ewentualnym finale rokowań z Polską. Lepiej, wobec tego, odpowiedzialność za zrzucenie byłego hitlerowca z fotela w Brukseli przerzucić na nieuchwytną mgłę opinii publicznej niewdzięcznego Zachodu. W ten sposób jednym strzałem Brandt pozbywa się nie-sympatycznego kandydata, udowadnia bezsens lansowania byłych hitlerowców na interesujące posady, a zarazem neutralizuje potrzebnych mu na razie ew. przeciwników z FDP.

W świetle tego rozumowania — *copyright by „Brukselczyk”* — zupełnie inaczej rysuje się sylwetka owego niemieckiego urzędnika EWG, który eksplodował opisaną tu aferę, dokonując uroczystego obchodu swych kolegów i przedstawiając się jako przyszły dyrektor przyszłego gabinetu przyszłego komisarza, jakim miał zostać być nazi, obecny deputowany p. Achenbach. Może ten urzędnik nie był taki zupełny idiota...?

Sposób w jaki kanclerz Brandt rozegrał kolejne „potknięcie” w stosunkach z FDP: nieuprzedzenie — z powodu przeoczenia naturalnie — ministra spraw zagranicznych Scheela o swym liście do Gomułki, skłania nas raczej do sądu o wyrachowaniu aniżeli o przypadkowości w polityce i taktyce szefa rządu w Bonn.

Podobnie jak nie z przypadku, a z wyrachowania wynika fakt nie poinformowania o tym samym liście całej polskiej opinii publicznej. No, ale to jest zrozumiałe. Prasa polska zajęta ostatnio studiami nad życiem kameleonów, nie ma po prostu miejsca na takie głupstwa.

Z pieśnią Teodorakisa na ustach

I znowu: wiadomo — stolica! Bruksela przez kilka dni była nie podwójną, a potrójną już stolicą: Belgii, EWG i Europy w ogóle. Tej burżuazyjnej naturalnie. Mianowicie, przez kilka dni Bruksela najgłośniej w Europie demonstrowała swoje poglądy na rządy pułkowników w Grecji. Do wyzwolenia tych uczuć przyczyniło się pragnienie ambasadora greckiego w Brukseli,

który — ambitny i krótko-wzroczny jak Achenbach — zawinszował sobie uroczystości z okazji trzeciej rocznicy puczu pułkowników. Postanowił on przy tym urządzić swoje bachanalia w szalenie eleganckim i elitarnym „Club des Nations”, usytuowanym dokładnie naprzeciw, oko w oko, gmachów uniwersytetu brukselskiego. W ten sposób głupota — zjawisko w dyplomacji jak wiemy nierzadkie — ambasadora greckiego w Brukseli dorównała okrucieństwu junty ateńskiej.

Rezultat był taki, że wyfraczeni goście wiali tylnymi drzwiami z powodu nadmiernego w wykwinie aurze „Klubu Narodów” stężenia gazu łzawiącego, szczerze rozsiewanego przez policję, stawiającą czoła wściekłości studentów. Nawet najbardziej zrównoważeni politycy w Brukseli wyszli z nerw i próbę fetowania ponurego puczu na oczach studenterii, nazwali „nieodpowiedzialną i bezczelną prowokacją”. Nazwali ją tak słusznie, bo harce trwały przez kilka dni, a poszkodowanymi byli nie pułkownicy greccy, a studenci i policjanci belgijscy. Co prawda, nie weszły, jak w marcu w Warszawie, do akcji oddziały klasy robotniczej, ale policja zdrowo młodzieży przytłoczyła, a nawet nadużyła nieco swych uprawnień i wyposażenia.

Tak rozbudzone zainteresowanie sprawą grecką nie sprowadziło się naturalnie wyłącznie do konfrontacji młodzieży z policją, piosenek Zorby czy filmu „Z”. Przeciwnie — koncertowało się ono raczej w rejonach wielkiej polityki. Przed studentami z Brukseli, pułkowników greckich potępiła, jak wiadomo, Rada Europejska; Komisja Wspólnego Rynku zagroziła, że przedyskutuje (i tak od dawna zamrożone) kontakty handlowe z Grecją. Padły wreszcie propozycje, aby, jak się to po partyjnemu mówi, rozpatrzyć na nowo sprawę członkostwa Grecji w Pakcie Atlantyckim. Ale tu już, jak mawiał mój nauczyciel zawodu, skończyły się żarty, a zaczęły schody. Tu weszły w grę poważne sprawy, a nie jakieś tam prawa człowieka i inne podobne drobiazgi.

Ponieważ jednak główni udziałowcy NATO, to znaczy Amerykanie, zajęci byli właśnie w Kambodży, a siłami tylko studentów i prasy belgijskiej nie da się usunąć dyktatury w Grecji, postanowiono wykorzystać ten czas na przypatrzenie się szerszym, międzynarodowym aspektom czy, jak się mówi w Warszawie, korzeniom tej sprawy.

I tutaj znowu — jak przy Achenbachu — ujawnił się europejsko-stołeczny charakter Brukseli. Oto bowiem ton greckim rozważaniom nadało zebranie wieluset urzędników Wspólnego Rynku, którzy w kilku językach ale unisono, stwierdzili, że trudno stosować sankcje ekonomiczne wobec Grecji, jeżeli równocześnie, a oni wiedzą co mówią, podpisuje się układ z Hiszpanią, nie będącą skądinąd chlubą zachodniej demokracji. Złośliwi dodali, że w dniu kiedy Rada Europy piętnowała juntę grecką, jej (tej junty) przedstawiciel w Paryżu oświadczył niedyskretnie, że „francuskie koła gospodarcze przejawiają duże zainteresowanie dla pokoju i porządku, jakie panują obecnie w Grecji”. Dementi nie było.

Nie będę wymieniać poszczególnych krajów związanych z wspólnorynkową „szóstką”, które przy okazji Grecji wzbudziły pewne wątpliwości co do demokratyczności ich wewnętrznych stosunków. W każdym razie był to spory atlas: i Algieria (też pułkownicy) i Brazylia, i Portugalia, i Kongo-Brazzaville itd., itp.

No i naturalnie, nie obeszło się bez nas, zbiorowo i obozowo oraz indywidualnie, każde państwo oddzielnie. Trzeba jednak od razu powiedzieć, że kraje socjalistyczne ze Związkiem Sowieckim na czele, zostały potraktowane w specjalny sposób, a to z uwagi na powszechny szacunek jakim się tu cieszy doktryna Breżniewa. Jest to procedura myślowa nieco skomplikowana, ale ważna dla zrozumienia całości.

Pretensje do pułkowników greckich mają swe źródło mianowicie w fakcie, że Grecja to kraj zachodni i chrześcijański, to prawdziwa Europa kulturalnie i cywilizacyjnie. Wyrzucając brutalnie króla i prawicowy rząd, junta obraziła więc niejako cały obóz demokracji zachodniej. Jest to w jej tonie takie swoiste odchylenie dogmatyczno-prawicowe. Dlatego oburzenie jest uzasadnione, studenci dostają w skórę, Servan-Schreiber musi latać specjalnym samolotem do Aten i legalnie porywać Teodorakisa, jada obiady z ohydny Onasisem, Melina Mercouri śpiewa greckie czastuszki na Champs-Élysées, a jacyś obserwatorzy bez przerwy odwiedzają przebrzydły Akropol, asystując przy kolejnych procesach „35” itd. Ponieważ Zachodnia Europa nie wymyśliła jeszcze żadnej doktryny Breżniewa, a USA się nie palą, więc też Grecji, ot tak po prostu, najechać nie ma komu.

Co innego pogańska i wchodniobizantyjska, autokratyczna i dzika Czechosłowacja z okresu Dubczeka. Ta podlegała wiadomej doktrynie, dlatego jej święto narodowe można spokojnie obchodzić, studentów na Zachodzie nic nie obchodzi ich koledzy w warszawskiej tiumie, nikt do Warszawy po M. Kozłowskiego i J. Karpińskiego czy do Pragi po Lederera, Pachmana czy Filipa, nie mówiąc już o Danielu, Siniawskim itp. nie poleci. Może to i lepiej, tam się na żartach nie znają, jeszcze takiego JJSS po prostu zestrzela, jak kiedyś Bułgarzy, którzy stracili zabłąkany samolot izraelskiej EL-Al, mordując kilkudziesięciu pasażerów, syjonistów co prawda, ale zawsze...

Co dziwniejsze, pod tym względem, że tak powiem teoretyczno-ideologicznym, nie ma różnic zdań między Zachodem i Wschodem. W Moskwie, Pradze i w Warszawie formułuje się śmiało myśl, tę mianowicie, że ponieważ Grecja rzeczywiście doktrynie tow. Breżniewa (kawalera orderu „Bohaterów Czechosłowacji”) nie podlega, jako że tow. Stalin i Mr. Churchill wymienili w Jałcie Grecję za Polskę, wobec tego nasza, socjalistyczna chata z kraju, my — wiadomo — szanujemy zasadę nieinterwencji i niech się łomoczą sami. A przy okazji zobaczymy czy nie można jeszcze zarobić i zająć miejsca opróżnione przez co bardziej przewrażliwionych kupców zachodnich.

Stąd pierwszym ambasadorem, który — sława mu! — zjechał do Aten po zainstalowaniu się junty, był przedstawiciel pierwsze-

go kraju socjalizmu, tow. Małyszkin. Stąd — sława jej! — Polska powiększa swój pawilon w Salonikach i organizuje wystawę książki (z Dobrowolskim na pewno na czele), stąd — sława im! — Węgrzy organizują monstre-wystawę w ateńskim Hiltonie, masowo odwiedzanym przez miejscowy proletariatus, itd., itp. Nie warto już wspominać o drobiazgach, takich jak wybudowanie przez ZSSR wielkiej elektrowni, fakt, który na równi z dostawami polskiego węgla dla zaprzyjaźnionej Hiszpanii, został niedawno rozślawiony jako znamienity przejaw proletariackiego internacjonalizmu przez francuskiego renegata Rogera Garaudy i innych agentów imperializmu. Przyjazne przekomarzenia grecko-socjalistyczne tak już dalece weszły w zwyczaj, że nikogo nie zdziwiła np. redukcja tariff celnych na niektóre towary sowieckie importowane do Grecji. Wszystko to zaskakuje mniej, gdy się zważy, że sowieckie Politbiuro bardzo dokładnie rozłamało grecką partię komunistyczną, a tow. Husak skutecznie „znormalizował” sporą grecką komunistyczną emigrację polityczną, zlikwidował im gazetę itd., m.in. z powodu ich wyraźnych sympatii dla ludzkiego oblicza socjalizmu z okresu ambasadora Dubczeka. Ledwo wyzwolony Teodorakis dał natychmiast, nie pieśnią co prawda a w mowie wolnej, wyraz wdzięczności Greków dla krajów socjalistycznych za tak pomyślane poparcie dla greckiego ew. ruchu oporu.

Co ciekawsze, niezależnie od podobieństw w zasadniczych koncepcjach ustrojowych, takich jak wolność słowa, prasy, zgromadzeń, sumienia itd., zachodzą między krajami socjalistycznymi a Grecją zadziwiające zbieżności wydarzeń. Jeżeli przypadek jest formą przejawiania się prawidłowości (tak mnie uczono), to taki właśnie przypadek sprawił, że:

a) W tym samym czasie kiedy w Polsce toczył się proces przeciwko paryskiej *Kulturze*, w Grecji na ławie oskarżonych posadzono pismo *Etnos*. Ponieważ Giedroyc był w Paryżu, to 4 i pół roku w Warszawie dostał Kozłowski. Redaktor *Etnosu* jednak był na miejscu i zafasował 5 lat. Za podobne zbrodnie — żądanie wolności — podobne kary.

b) W tym samym czasie w Grecji i w Czechosłowacji ograniczono wydawanie paszportów zagranicznych. Nawet pretekst jest ten sam, dawno zresztą wymyślony przez punkt, zdaje się, czwartą ustawę paszportową PRL, a powołujący się na „ważne względy państwowe”.

c) W tym samym czasie i w Grecji i w krajach socjalistycznych stosuje się karę pozbawienia obywatelstwa. Pierwszeństwo trzeba tu przyznać ZSSR, który odebrał obywatelstwo krnąbrnemu Tarsowski, kiedy zawiodło uznanie go za wariata. Po dojrzałym namyśle postąpiono podobnie wobec córki Stalina. Pan Husak odważnie odebrał obywatelstwo p. Sikowi i innym zdrajcom. Mieli więc na co się zapatrzeć greccy pułkownicy, którzy najpierw trochę potorturowali dziennikarza Starakisa, potem wlepili mu 18 lat, potem — na prośbę rządu francuskiego — ułaskawili, po czym odebrali mu obywatelstwo greckie (miał na szczęście podwójne) i deportowali do Francji, jego drugiej ojczyzny.

Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej postąpił podobnie, ale skuteczniej i bardziej śmiesznie. Za czasów nie pułkownika, co prawda, a generała Moczara postanowiono syjonistów zmieniających ojczyznę masowo pozbawiać paszportów z orłem na okładce. Ale właśnie, żeby było śmieszniej, to odmiennie niż w ZSSR i w Grecji, w Warszawie trzeba było uprzejmie i własnoręcznie prosić Radę Państwa PRL, uosobioną przez zawodowo smutnego oficera MO, o wyrażenie zgody na odebranie sobie obywatelstwa. W ten sposób za jednym zamachem pozbywano się Żydów, a nie produkowano emigrantów, no bo bez obywatelstwa jest się zwyczajnym uchodźcą politycznym. A taki, panie, uchodźca, po pierwsze, nie ma prawa powrotu do ojczyzny, a po drugie — nie trzeba mu płacić żadnych rent, emerytur itp. Mała rzecz, a cieszy i oszczędność jest. Ze cała ta procedura urąga zupełnie elementarnym zasadom praworządności?! No to co? Grecka lepsza?! Taka z torturami?!

d) Identyczne są też reakcje na podobne podniety. I tak prawie równocześnie w dziennikach brukselskich ukazały się listy ambasad Grecji i Czechosłowacji, a nieznanymi ofiarodawcy rozesłali po redakcjach francuskie tłumaczenie pewnego gustownego donosiku, jaki się ukazał w jednym z dzienników związanych z Warszawą. Wszystkie te trzy smutne dokumenty w uderzającym podobnym i równie nieudolnym sposobie dawały wyraz świętemu oburzeniu z powodu rzekomego oczerniania przez prasę belgijską sytuacji w ich krajach i zawierały cenne pouczenia co to takiego ta wolność i na czym polega demokracja. Belgowie, którym, jak wiadomo, pojęcia te są obce, spokojnie ale z morderczą złośliwością skomentowali wydrukowane listy, tłumaczenie z polskiego natomiast — bez komentarzy w druku — wrzucili do kosza.

Festiwal grecki w Brukseli przerwała dopiero premierowa konferencja prasowa premiera Kosygina, skombinowana przemyślnie z wyzwolicielską akcją wojsk amerykańskich w Kambodży. Odnotowano tu szeroko kolejne poważne ostrzeżenia Kosygina pod adresem USA za pogwałcenie prawa narodów, suwerenności państw i za zbrojny najazd cudzych terytoriów. Zauważono wszakże, że już po wypowiedzeniu swych poglądów na rolę USA w historii, premier Kosygin wszedł do samolotu i poleciał do Pragi, aby uczestniczyć w uroczystościach rocznicy wyzwolenia tego kraju wielokrotnie już, a zawsze skutecznie, wyzwalanego przez ZSSR.

Nic dziwnego więc, że rozważając wzajemne zależności sytuacji Grecji i Czechosłowacji, Egiptu i Kambodży, pewien nie dowcipny, a może tylko rozgorączkowany kolega belgijski stwierdził, że „świat ma całkowitą swobodę czynienia tego, co sobie dwa supermocarstwa życzą”.

Komu śpiewa satelita?

Wspomniany kolega belgijski mylił się jednak. W dodawaniu mianowicie. Są bowiem nie dwa, a trzy supermocarstwa. Satelita

chiński powtarzający do znudzenia, że „Wschód jest czerwony”, przypomina co kilka sekund o istnieniu tego trzeciego, tym oczywiście, którzy skłonni byłiby o tym nie pamiętać. Przede wszystkim zaś przedstawicielom ZSSR i USA, spotykającym się co kilka dni nad modrym Dunajem, aby sobie pogwarzyć na temat ograniczenia zbrojeń atomowych itp. Za każdym krzesłem w Wiedniu stoi już dziś jednak pewien Chińczyk i kontynuowanie rozmów we dwójkę traci po woli resztki sensu. Podobnie, jak traci sens zasada, według której Chińczycy z Amerykanami spotykają się w Warszawie, z Rosjanami w Pekinie (jeżeli nie nad Ussuri), Rosjanie z Amerykanami w Helsinkach, Wiedniu i w ogóle wszędzie, tylko razem w trójkę nie mogą niczego załatwić.

Układanie scenariusza przyszłości świata z uwzględnieniem „tego trzeciego” pozwala na bardzo dobre życie wieluset przedstawicielom modnej już dziś nauki zwanej „futurologią”. Odbijają oni interesujące podróże i kongresy, strasząc świat skomplikowanymi horoskopami i hermetycznym słownictwem.

Dlatego z wielkim uznaniem należy się odnieść do dwóch wystąpień, które szczerze i po partyjnemu powiedziały o co chodzi. Odrzucając więc precz sztuczne konstrukcje naukowo-słowne, kolega redaktor Dadianc, przedstawiciel agencji prasowej *Nowosti* w Paryżu, przypomniał światu w dzienniku *Le Monde*, tuż po wymianie pocisków i zabitych nad rzeką Ussuri w marcu 1969, że Rosjanie to biała rasa i że wojska sowieckie w Azji własną pierśią bronią cywilizacji zachodniej. Wystarczy choć pobieżnie znać swobodę słowa korespondentów prasy sowieckiej, żeby dojść do wniosku, że to nie z własnej inicjatywy kol. Dadianc uczynił *tonkij namiok* do wspólnoty losu białego gatunku.

Na czym ta wspólnota losu miałaby polegać, poucza nas inna ciekawa osobistość, też kolega redaktor, niejaki p. Wiktor Louis. Do niedawna jeszcze kol. Louis jako „korespondent własny” zapatrywał poważne gazety zachodnie w komentarze dotyczące m.in. stosunków chińsko-sowieckich. Niedawno kol. Wiktor zyskał dość spory sukces zawodowy, publikując kilka *scoop* czyli światowych sensacji. Uprzedził on mianowicie Zachód o możliwości wojskowej, a nawet atomowej interwencji ZSSR w Chinach, przepowiadając ewentualność zbombardowania Lop Nor, a więc chińskich instalacji nuklearnych, choć wiadomo, że „Chińczycy tego bardzo nie lubią”. P. Louis sformułował przy tym pytanie teoretyczne bez zarzutu, dlaczego to ZSSR nie miałyby zastosować wobec Chin doktryny Breżniewa, skoro bez żadnej wątpliwości, interesy socjalizmu są w Chinach co najmniej w równym stopniu, choć z nieco innych pozycji, zagrożone co przed sierpniem 1968 w Czechosłowacji.

Sława red. Louisa, mówię to bez zawiści, byłaby uzasadniona i naturalna, gdyby nie fakt, iż jest on obywatelem Kraju Rad i stale mieszka w Moskwie. Jak nas poucza jego biografia w 1956 roku, jak miliony jego braci, kol. Wiktor wyszedł z kryminału, gdzie dłuższy czas przebywał, według niego — za niewinność, według innych — za interesy.

Nie ważne, nie on jeden. Ważne natomiast, że red. Louis: a) stale podróżuje po Zachodzie i Wschodzie, odwiedzając nawet Taipei, stolicę Taiwanu czyli Formozy; b) ma konta dewizowe w kilku bankach twardo-dewizowych; c) ma żonę, która jest oficjalną przedstawicielką kilku handlowych firm zachodnich; d) ma dachę i trzy samochody; e) był jedynym dziennikarzem, któremu pozwolono na odwiedzenie i sfotografowanie mieszkania p. Allilujewej, córki Josifa Wissarionowicza i na przeprowadzenie wywiadów z jego wnukami, po jej pozostaniu na Zachodzie.

Nie jest to więc najbardziej typowa sylwetka przedstawiciela przodującej prasy sowieckiej. Ktoś, nawet słabo znający zwyczaje ZSSR, już u początku tej listy mdleje ze śmiechu. U jej końca też mdleje, ale z przerażenia na myśl o tym, kto informuje opinię zachodnią o ważnych aspektach sytuacji światowej.

Nie od takich więc obiektywnych informatorów można się spodziewać głębszej analizy konfliktu między komunistami sowieckimi i chińskimi. Jest to konflikt stary jak socjalizm, a nawet i starszy, a nieomyślny tow. Stalin, jak wiadomo, od samego początku nie miał zaufania do Mao.

Po zwycięstwie komunizmu w Chinach, Stalin starał się przez pewien czas utrzymać Chiny w roli drugorzędnej mocarstwa. Dopóki Chiny, jak to powiedział Mao w 1957 r. „nie miały ani nawet ćwierć satelity”, nie było z tym większych problemów. Jednak pod akompaniament wybuchów atomowych i wodorowych w Sinkiangu, na fali ogromnego ożywienia ruchu narodowo-wyzwoleńczego w byłych koloniach itd., Chiny wystąpiły na scenę świata, z żądaniem przyznania im funkcji i pozycji pod każdym względem odpowiadającej ich znaczeniu i sile.

Jest to streszczenie ubogie, ale nie tu miejsce na przypomnienie poszczególnych etapów wchodzenia ludzi w „maotsetungówkach” na salony wielkiego świata. Warto jedynie przypomnieć pewien zapomniany już może szczegół z historii strategii politycznej Chin, szczególnie tym bardziej interesujący, że wywołał w swoim czasie spore poruszenie w Warszawie.

1 lipca 1964 tow. Mao przyjął na pekińskim Kremlu delegację Japońskiej Partii Socjalistycznej. Poseł Tetsue Ara grzecznie poprosił przewodniczącego Mao o wyrażenie opinii na temat jańskiego decyzji przyznania Wysp Kurylskich Związkowi Sowieckiemu. Przewodniczący Mao pomyślał, po czym oświadczył:

„Zbyt wiele terytoriów okupowanych jest przez ZSSR. Na mocy decyzji z Jałty, pod pretekstem zabezpieczenia niepodległości Mongolii, ZSSR w istocie narzucił swe panowanie temu krajowi. A przecież Mongolia stanowi terytorium znacznie większe od Wysp Kurylskich. W 1954 roku kiedy Chruszczow z Bułganinem przybyli do Chin, poruszyliśmy ten problem, ale oni odmówili dyskusji. Przywłaszczyli sobie część Rumunii. Okupując część Niemiec wschodnich, odrzucili miejscową ludność w kierunku Niemiec zachodnich. Odciepli część Polski i włączyli ją do ZSSR, a jako odszkodowanie dali Polsce część Niemiec wschodnich. To samo dotyczy Finlandii. Rabują co się da zrabować... Niektórzy powiedzieli nawet, że i prowincja Sinkiang i terytorium na północ od rzeki Amur powinno zostać przyłączone do ZSSR... Zwią-

zek Sowiecki zajmuje obszar 22 milionów km. kw. a ma tylko 200 milionów mieszkańców. Japonia mieści się na 370.000 km. kw. a ma 100 milionów mieszkańców. Czas skończyć z takim podziałem. Przed 100 laty rejon na wschód od Bajkalu stał się rosyjski, podobnie jak Władywostok, Chabarowsk i Kamczatka. Jeszcze nie przedstawiliśmy za to wszystko rachunku. W odniesieniu do Wysp Kurylskich, dla nas sprawa jest jasna — powinny one być zwrócone Japonii”.

Jesteśmy już w domu. Jest to język być może pozbawiony tradycyjnych kwiecistości stylu przewodniczącego Mao, no i moje tłumaczenie z angielskiego, a więc z trzeciej już po chińskim i japońskim, ręki, też być może zatraciło urodę sformułowań oryginalnych. Brak też w spisie republik bałtyckich, Rusi Zakarpackiej itd. Całość oddaje jednak niewątpliwie wiernie intencje przewodniczącego. Tu już nie chodzi o określone terytoria, o małe rzeczki czy bezludne szczyty Pamiru. Tu chodzi o całą powojenną konstrukcję świata.

Po pierwsze więc — Chiny odrzucają Jałtę, cały związany z nią podział stref wpływów na świecie, świętą zasadę dwugłowej dominacji globu i kosmosu. Powinna — zdaniem Mao — nastąpić redystrybucja świata, a Chiny muszą być uznane za siłę współdecydującą o jego losach.

Po drugie — realizacja takiego założenia i zgoda pozostałych dwóch na dopuszczenie tego trzeciego, zakłada również inną redystrybucję, gospodarczą mianowicie. Za cenę zgody na pokój, Chiny muszą uzyskać możliwość przyspieszania swego rozwoju, zmniejszenia dystansu dzielącego je od krajów wysoko rozwiniętych. Oczywiście, wymaga to przyhamowania rozwoju pozostałych krajów, tych bogatych, białych, czy też, jak je określa myśl Mao — „miast”.

Po trzecie wreszcie — zanim powstaną warunki realizacji dwóch pierwszych punktów, co może potrwać i co może kosztować — według obliczeń Mao — „do trzystu milionów ludzi”, Chiny proponują Japonii coś w rodzaju azjatyckiego Rapallo. Oba kraje w rozmaity, w ich odczuciu, sposób pokrzywdzone przez rezultaty II wojny światowej i Jałtę (jak w 1922 r. Rosja i Niemcy po Wersalu), powinny się w Azji dogadać i zamiast marnować siły na wzajemne osłabianie się — skojarzyć interesy, pracowitość, inwencję no i cierpliwość żółtej rasy...

Te trzy punkty stanowią naturalnie tylko wyciąg z bogactwa pomysłów sztabu pekińskiego. Ale są dostatecznie wymowne, aby zwrócić uwagę jak dalece niebezpieczna jest mała czerwona książeczka, zawierająca instrukcje jak do celów wymienionych wyżej skutecznie dojść.

Wielka liczba megaton, zamknięta w amerykańskich i sowieckich arsenałach, na razie skutecznie uniemożliwia szybką realizację pomysłów Mao. Nie należy jednak przypuszczać aby komiksy z jednej strony, a coraz to nowe i poprawione wydanie Krótkiego Kursu WKP(b) z drugiej, mogły długo konkurować z tą książeczką, zwłaszcz na terenach, gdzie jeszcze „białej masy bardzo nie kochać...”.

Dlatego i hasła o wspólnocie białej rasy i przedmurzu cywilizacji chrześcijańskiej w Kazachstanie, są mało popularne i mogą się okazać mało skuteczne.

Zdają sobie chyba z tego sprawę w Moskwie. Podpisany bowiem świeżo traktat o wieczystej — na 20 lat — przyjaźni czechosłowacko-sowieckiej proklamuje, między innymi gustownymi zobowiązaniami, że jedna wysoka strona udzieli automatycznie pomocy wojskowej w wypadku zaatakowania drugiej wysokiej strony. Ponieważ wiadomo, że wysoka strona czechosłowacka nie jest zagrożona żadnym atakiem (z wyjątkiem przypadków braterskiej pomocy), jedyną aktualnie wystawioną na niebezpieczeństwo ataku jest druga wysoka strona. W Azji mianowicie.

W ten sposób apel o udział w przedmurzu, przyjęty przez Zachód bez specjalnego entuzjazmu, zastąpiono doraźnie przez zwyczajne wymuszenie entuzjazmu na bratnich krajach o ograniczonej traktatowo suwerenności.

Ponury dowcip Breżniewa, który tuż po inwazji zaproponował przywiezionemu w kajdankach do Moskwy Dubczekowi rewanż za inwazję i okupację, w postaci wystania wojsk czechosłowackich do Azji i okupowania odcinka granicy sowiecko-chińskiej, zamienił się więc w ciałę.

Amen!

BRUKSELCHYK

Pisane 8 maja 1970.

Kronika angielska

O CHINACH

Niniejsza nota jest fragmentem dyskusji z Czytelnikami, którą prowadzę z wielką przyjemnością w każdym niemal odcinku Kroniki angielskiej.

W sprawie Chin otrzymałem więcej listów niż w jakiegokolwiek innej sprawie. Może najcharakterystyczniejszą z tych wypowiedzi stanowi list p. W. Stawuckiego (U.S.), który pisze między innymi: „... możemy w przyszłości być z Rosją przeciwko Chinom albo z Chinami przeciwko Rosji — trudno jednak chwalić Chiny i rzekomo szukać porozumienia z Rosją”.

Polacy dylemat polsko-chiński rozpatrują według klasycznego wzoru: albo z Rosją albo z Niemcami. Dla nas wszystko sprowadza się do: albo albo. W rzeczywistości polityka tylko w wyjątkowych wypadkach redukuje się do prostego wyboru „albo-albo”.

Weźmy następujący przykład. Francuzi i Niemcy wykrwawili się w dwóch wojnach światowych. Dwóch wybitnych mężów stanu — gen. de Gaulle i Konrad Adenauer — postanowili stworzyć w Europie warunki, które prowadziłyby do wyrównania stosunków francusko-niemieckich. Można powie-

dzieć, że powyższa inicjatywa wytrzymała próbę czasu i okazała się wielkim sukcesem. Równocześnie Francuzi są przeciwnikami zjednoczenia Niemiec. Zdają sobie bowiem sprawę, że daleko łatwiej przyjdzie im utrzymać poprawne, czy przyjazne stosunki z podzielonymi Niemcami niż z wielkimi, zjednoczonymi Niemcami.

W pewnej mierze podobnie układa się nasz stosunek do Rosji. Celem, który postulujemy jest rzetelne wyrównanie stosunków pomiędzy przyszłą Polską a przyszłą Rosją. Wszystko co piszemy na temat Chin stanowi fragment naszej polityki rosyjskiej i nie należy tego inaczej odczytywać.

Uważamy, że przekształcenie się Chin w potężne mocarstwo leży w polskim interesie, ponieważ wnioskujemy, że z Rosją, która będzie musiała stale skupiać swoją uwagę na potężnym wschodnim sąsiedzie — łatwiej dojdziemy do porozumienia niż z Rosją, której od wschodu nic by nie zagrażało.

Nuklearne Chiny zmieniły *balance of power* na Dalekim Wschodzie. Ta zmiana w każdych warunkach — nawet w okresie ewentualnej przyjaźni rosyjsko-chińskiej — gra na niekorzyść Rosji, ponieważ oznacza utratę dominującej pozycji Moskwy na Dalekim Wschodzie. Sprawa jest prosta. Dawniej była tylko Rosja — dziś są Rosja i Chiny. Im Chiny są mocniejsze tym automatycznie — Rosja jest słabsza, ponieważ w polityce siła jest pojęciem relatywnym. Mierzy się ową siłę zawsze stosunkiem do potencjalnego przeciwnika. Potencjalnym przeciwnikiem może być dzisiejszy przyjaciel.

Zaczerpnijmy przykładu z *science fiction*. Załóżmy, że na ziemi wyładowała flota statków kosmicznych z innej planety. Przyjmijmy, że owe statki byłyby wyposażone w nieznane nam bronie, które redukowałyby nasze ziemskie bronie atomowe i rakiety do poziomu dziecinnych zabawek. Zakładamy dalej, że przybysze z Kosmosu zachowywaliby się w stosunku do nas życzliwie i przyjaźnie. Co to niezwykle wydarzenie oznaczałoby w sensie politycznym? Oznaczałoby, że Rosja i Ameryka jednego dnia przestałyby być supermocarstwami. Ponieważ nawet łącznie nie dysponowałyby dostateczną siłą by przeciwstawić się obecnej kosmicznej flocie.

Siła w polityce nigdy nie jest elementem samoistnym lecz zawsze wyraża proporcję. Jest się silnym lub słabym w stosunku do sąsiadów, wrogów, czy przyjaciół.

Pozycja Rosji sąsiadującej z potężnymi Chinami musi ulec zmianie na niekorzyść Rosji. Warto również dodać, że Chiny jako sojusznik mogłyby być bardziej kłopotliwe niż jako otwarty wróg. Jako sojusznik potężne nuklearne Chiny żądałyby rewizji granic, koncesji na Syberii, korzystnych układów handlowych i kredytów, a przede wszystkim w takiej sytuacji Chińczycy szpiegowaliby Sowiety daleko wydatniej niż czynią to dziś. Wiadomo, że właśnie w okresie „przyjaźni i pomocy” Chińczycy ukradli mnóstwo części składowych sowieckich samolotów i innych skomplikowanych technologicznych aparatów, które skopiovali z właściwym sobie geniuszem. Chińskie kopie „Iliuszynów” są znacznie lepsze od sowieckich oryginałów. W sumie wydaje mi się, że gdyby nastąpił nowy okres „przyjaźni i pomocy” Rosja nie — chcąc czy nie chcąc — musieliby się podzielić z Chinami swoją technologią, którą Chińczycy któregoś dnia obróciliby przeciwko Rosji.

Chińczycy postąpili identycznie z Amerykanami. Uczeń chiński — wychowanek uniwersytetów amerykańskich, z których wielu miało dostęp do tajnych technologicznych projektów — to są ci panowie, którzy zbudowali

chiński potencjał nuklearny i wystrzelili w orbitę chińskiego „Sputnika”. Pewni specjaliści chińscy byli w czasie ubiegłej wojny pułkownikami amerykańskich sił lotniczych. Bez większej przesady można powiedzieć, że współczesne nuklearne Chiny „zrodzili” wspólnymi siłami Amerykanie i Rosjanie. Jedno jest pewne, amerykańska i rosyjska nauka nie posłała w las.

Na Zachodzie ukazuje się tygodniowo od trzech do pięciu książek o Chinach. Z punktu widzenia wydawniczego Chiny stanowią jeden z najbardziej kasowych tematów jaki istnieje. Dlaczego? Gdyby Rosjanie bili się z Chińczykami lub gdyby w Chinach toczyła się wojna domowa — wówczas owo olbrzymie zainteresowanie Chinami byłoby zrozumiałe. Lecz jak wiemy nie podobnego się nie dzieje.

Specjaliści amerykańscy i angielscy obliczają, że rakieta która pełnęła chińskiego sputnika w orbitę — posiadała siłę odrzutową (*thrust*) około 250.000 funtów, co przy pewnych modyfikacjach wystarczyłoby, aby chińskiej bombie wodorowej nadać zasięg obejmujący pół świata. Specjaliści zachodni są zgodni w opinii, że Chińczycy będą mieli stosunkowo niedługo ICBM o zasięgu 6 tysięcy mil. Oznacza to, że w polu obstrzału chińskich międzykontynentalnych pocisków nuklearnych znajdzie się połowa Stanów Zjednoczonych i Kanady, cała Rosja sowiecka, Indie i Australia.

Mamy wszelkie powody by interesować się Chinami, ponieważ w tym dalekim kraju wykuwa się nowy rozdział, a może nawet nowa epoka, historii świata. Do tej pory światem rządili biali ludzie. Ukoronowaniem tego systemu była „podwójna hegemonia” rosyjsko-amerykańska, hegemonia dwóch najpotężniejszych i najliczniejszych narodów białej rasy.

Przekształcenie się Chin w wielkie nuklearne mocarstwo zmieni obraz świata nie do poznania. System podwójnej hegemonii pójdzie na złom, Europa zmaleje w cieniu Azji, biali ludzie przestaną być z urodzenia gubernatorami i żandarmami globu.

Jesteśmy tak nieprzywykli do tego typu wizji, że staramy się Chińczyków na każdym kroku ośmieszać, co ze strony białych ludzi stanowi gest samoobrony. Gdyby jutro pojawił się w Polsce przywódca typu Dubczeka — co w dalszej konsekwencji spowodowałoby zbrojną interwencję sowiecką — Chiny potępiłyby polskiego Dubczeka za rewizjonizm a Sowiety za zbrojną interwencję. Lecz być może za 10 czy 15 lat Dubczeków wschodnioeuropejskich Pekin nie będzie uważał za rewizjonistów. Być może również, że za 10 czy 15 lat Chiny będą tak potężne, że w sytuacji kryzysowej, jak w Czechosłowacji w roku 1968, Pekin będzie mógł twardo powiedzieć, że nie życzy sobie jakiegokolwiek interwencji sowieckiej we Wschodniej Europie. Rosjanie — w przeciwieństwie do Amerykanów nie będą nigdy lekceżyli ostrzeżeń nuklearnych Chin.

O NIE ZAUWAŻANIU

Przysłałem Panu moją broszurę, której Pan nawet nie zauważył... Nie zauważa Pan działalności PPS po 1939 r.... Nie zauważa Pan *Tygodnia Polskiego*... Nie zauważa Pan działalności Kongresu Nauki i Kultury Polskiej, *Merkuriuma Polskiego*... itp., itd.

W wielu wypadkach owe pretensje są uzasadnione, choć nie zawsze. W ostatnim numerze *Robotnika* ukazał się artykuł p. Henryka Moszczyńskiego, który stanowi swoisty rejestr tego wszystkiego czego nie zauważyłem,

pominałem, źle oceniłem, itd. Równocześnie p. Moszczyński odmawia jakiegokolwiek wartości zarówno moim książkom jak i publicystyce. Wystarczy przytoczyć tytuł tego kilometrowego artykułu: „Nicowanie poglądów politycznych pojedynczego acz niewyborowego strzelca”.

Ten typ zarzutów jest sprzeczny z logiką. Można mieć pretensje do dobrego skrzypka jeżeli fałszuje. Marny skrzypek fałszuje, bo jest marnym skrzypkiem i trudno mieć do niego pretensje, że nie jest wirtuozem.

Punkt drugi. Jest rzeczą bez znaczenia czy marny publicysta coś zauważa czy nie zauważa. Jest natomiast rzeczą istotną by dobry publicysta zauważał problemy, sprawy, zagadnienia.

Weźmy tytułem przykładu dwa następujące sądy:

I. Szkoda, że p. Mieroszewski, który jest dobrym publicystą przeoczył sprawę „X”.

II. Szkoda, że p. Mieroszewski, który jest marnym publicystą przeoczył sprawę „X”.

Pierwszy sąd jest logiczny i poprawny. Natomiast drugi sąd jest bez sensu, ponieważ nie ma żadnej szkody jeżeli cokolwiek przeoczy marny publicysta, który z tytułu swojej miernoty nie może mieć żadnego wpływu na opinię publiczną.

Oczywiście nawet i ja mógłbym zostać „wyborowym strzelcem” — gdybym się zapisał do PPS. Partia bardzo nie lubi socjalistów niezrzeszonych i nie zdyscyplinowanych. Lecz może nie zostanie to poczytane za szczyt zarozumiałości gdy powiem, że przez ubiegłe lata moimi artykułami oddałem większą usługę Socjalizmowi niż pewni członkowie PPS z panem Wiktorem Moszczyńskim włącznie.

Z ZAPISKÓW OFICERA CZASU WOJNY (III)

Rewolucja w Czechosłowacji, inwazja sowiecka, wydarzenia w Polsce — spowodowały, że przerwałem druk moich wspomnień. Po prostu nie było na nie miejsca. Obecnie wznowiam publikowanie tych wspomnień, które ukazywać się będą w *Kronice angielskiej* — oczywiście nie w miesiącach „nabrzmiałych” aktualnym materiałem.

Moim celem jest dać jak najwięcej drobnych lecz charakterystycznych epizodów i obrazków — pomijanych przez pamiętnikarzy, którzy przeżywali ten okres historyczny na wysokim szczeblu — względnie na szczeblu, który wydawał im się wysokim.

J. M.

„... Odpocznijmy po swych trudach w ojczystej zagrodzie” — śpiewała nostalgicznie Kompania Gospodarcza wracając z porannego marszu na szlaku Emmaus-Latrun. Losy postanowiły inaczej. Kompania Gospodarcza odpocząła dziś — w znakomitej większości — na obcych cmentarzach.

Mieliśmy ułanów, dragonów, komandosów — myślę jednak, że drugiej takiej jednostki jak kompania gospodarcza w Latrun nie było nigdy w Wojsku Polskim i już chyba nigdy nie będzie.

Jak wspominałem — na Środkowym Wschodzie mieliśmy nadmiar oficerów, natomiast szeregowi byli na wagę złota. Na Cyprze, tego samego popo-

ładnia w ciepły kwietniowy dzień, stanęliśmy przed komisją poborową — mój przyjaciel Wacek Sikorski i ja. Wacek dostał „A” kolonialne, mnie potwierdzono kategorię „D”. Sikorski był porucznikiem rezerwy, niżej podpisany — szeregowym. W rezultacie w kilka dni później ja znalazłem się w Brygadzie a Wacek Sikorski wraz ze swoim „A” kolonialnym — został na Cyprze.

Kompania gospodarcza składała się z wojewodów, sędziów, dyplomatów, wysokich urzędników w wieku pomiędzy 45 a 60 lat. Z czysto wojskowego punktu widzenia ci panowie reprezentowali materiał wręcz katastrofalny — mieli jednak jedną olbrzymią zaletę — byli szeregowymi. Wojewoda Malicki z kompanii gospodarczej wstawał, biedak, o 4-tej rano i odbijał na powielacz „Biuletyn Obozowy”. Kompania gospodarcza — wprawdzie z gospodarką nie miała nic wspólnego — dostarczała jednak pracowników do licznych biur, magazynów itd.

Nie byłem nigdy w życiu urzędnikiem co się na mnie fatalnie pomściło. Celebrowana biurokracja uprawiana w wojsku stanowiła dla mnie liturgię egzotycznej i nieznanej religii.

Nim przeszliśmy do redakcji brygadowego pisma *Ku Wolnej Polsce*, które redagował drogi i niezapomniany pułkownik (wówczas major) Dr Mieczysław Młotek — pracowałem z Ryszardem Piestrzyńskim, późniejszym wieloletnim redaktorem *Orla Białego* — w redakcji *Gazety Obozowej*. Naszym szefem w Latrun był pułkownik Rueger, saper, człowiek wielkiej dobroci i uczynności lecz nieublagany służbista. To co nazwałbym „wychowaniem wojskowym” zawdzięczam jemu. Po latach — gdy sam zostałem oficerem, nie ukończywszy żadnej szkoły podchorążych, to „wychowanie wojskowe” zdobyte w Latrun bardzo mi się przydało.

Etykieta wojskowa jest znacznie bardziej skomplikowana niż teoria grzeczności w wykładzie sędziego w „Panu Tadeuszu”. Pierwszego dnia rano gdy zobaczyłem naszego szefa uśmiechnąłem się życzliwie i powiedziałem: „Dzień dobry Panu Pułkownikowi”. Dowiedziałem się, że powinienem stanąć w postawie zasadniczej i czekać. Dopiero gdy pułkownik powie: „czolem” wolno i należy odpowiedzieć „czolem, panie Pułkowniku”.

Następnego dnia w biuletynie była jakaś interesująca wiadomość. Położyłem biuletyn na biurku płka Ruegera i powiedziałem: „chciałem zwrócić uwagę pana pułkownika na...”. Pułkownik Rueger nie dał mi dokończyć zdania. Świat się może walić, ale strzelec nie może zwracać uwagi pułkownikowi. Oświadczyłem, że nie chciałem mu zwracać uwagi, tylko pragnąłem skierować uwagę na pewną wiadomość. Nic nie pomogło. Zwrot jakiego użyłem jest niedopuszczalny.

Ileć omawialiśmy specjalne wydanie poświęcone jakiejś rocznicy i w konferencji redakcyjnej brali udział inni oficerowie — musiałem używać sakramentalnej formy: „proszę pana pułkownika o pozwolenie zwrócenia się do pana kapitana X czy Y”. Ta hiszpańska etykieta przedłużała konferencję w nieskończoność, lecz czas w wojsku jest najmniej cenionym elementem.

Gdy wraz z Piestrzyńskim zostałem awansowany na starszego strzelca — wybuchły dwa skandale. Naszyliśmy sobie z Ryszardem natychmiast po jednej belce na naramiennikach co okazało się sprzeczne z regulaminem. Płk Rueger oświadczył nam, że dystynkcje wolno nosić dopiero po raporcie awansowym. Musieliśmy stanąć do raportu awansowego przed płk. Ruegerem i dopiero po tej ceremonii mogliśmy naszyć nasze uprzednio odprute „belki”.

Tegoż wieczoru szef naszej kancelarii, starszy sierżant Ratoft — poczęstował nas przed kolacją latruńskim koniakiem, którego posiadał raczej większe zapasy. Po drugiej czy trzeciej kolejce szef zauważył: „no teraz już nie jesteście rekrutami tylko zaprzysięzonymi starszymi strzelcami”. Uśmiechnąłem się i nieświadom co za bombę detonuje powiedziałem: „niewątpliwie jestem starszym strzelcem, lecz zaprzysiężony nigdy nie byłem”.

Przez następne dwa dni byłem najślawniejszym starszym strzelcem w Ośrodku Zapasowym. Pułkownik Rueger zapewnił mnie, że odkąd istnieje wojsko polskie nie zdarzyło się by niezaprzysiężonego rekruta awansowano na starszego strzelca. Lecz najwięcej bolał go fakt, że niezaprzysiężonemu rekrutowi (czyli mnie) on, pułkownik służby stałej, powierzył pieczę nad rozkazami OZ. Otrzymałem rozkaz zdać starszemu sierż. Ratoftowi wszystkie rozkazy w kolejności dat i numerów.

Na szczęście st. sierż. Ratoft był tak przejęty organizowaniem mojego zaprzysiężenia, że zapomniał o tych rozkazach — co pozwoliło mi uniknąć poważnych konsekwencji a może nawet degradacji.

Na moim biurku w Redakcji *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* w Krakowie piętrzyły się stosy biuletynów różnych agencji prasowych. Rzeczy interesujące zakreślałem czerwonym ołówkiem i wkładałem do teczek. Wszystko inne bezapelacyjnie rzucałem do kosza. Z rozkazami OZ — siłą nawyku wielu lat — postępowałem identycznie jak z biuletynami agencyjnymi. Rzeczy ciekawe wkładałem do teczek a wszystko inne darłem w strzępy i wrzucałem do kosza. Rzeczy ciekawych było niezmiernie mało, ponieważ rozkazy OZ były jedną z najnudniejszych lektur pod słońcem.

Miałem znajomego kaprała w dowództwie, który odbijał rozkazy z wosków. Ów kapral pochodził z Krakowa i poczuwał się do regionalnej solidarności z rodakiem w nieszczęściu, czyli ze mną. Pocziwiec odbił w noce wszystkie brakujące rozkazy — tak, że jeszcze przed przysięgą mogłem przekazać st. sierż. Ratoftowi zbiór owych cennych dokumentów w idealnym porządku. Ludziom pomysłowym zawsze jest leż na świecie.

Latrun był patetyczny i „przed-wrzesniowy”. Dopiero w Afryce Brygada nabrała własnego wyrazu i kolorytu. Taki obrazek: wiosenny poranek palestyński. Powietrze przezroczyste jak w Zakopanem, tylko drgające regularną falą na horyzontach. To była zapowiedź upału, który szedł ku nam jak przypływ słoneczny od wschodu.

Kompania maszeruje dwójkami wąską kamienistą ścieżką. Uzbrojenie każdego z nas składa się z butelki, w której jest woda a w tej wodzie mokną białe tasiemki. Woda udaje benzynę, względnie naftę. Przed sobą mamy trzy potężne skały, które imitują nieprzyjacielskie czołgi.

Ponieważ dzieciństwo i młodość spędziłem na Podhalu, celowałem w trudnej sztuce rzucać kamieniami. Na Podhalu kamieni jest wbród i młodzi górale rzucają kamieniami z mistrzostwem niespotykanym w innych dzielnicach Polski. Toteż rzuciłem moją butelkę z rekordowej odległości celnie — co zostało pokwitowane przychylną uwagą naszego instruktora st. sierż. Jeziernego.

Niemniej było coś komicznego w tym rodzajowym obrazku. W walkach ulicznych butelki z naftą są dobrym i wypróbowanym środkiem obrony przeciw czołgom. Na pustyni równej jak stół ich przydatność równa jest zeru. Lecz kto z nas wiedział co to jest pustynia? W przeciwieństwie do Anglików

nie mieliśmy tradycji kolonialnej i wszystkiego musieliśmy się uczyć od podstaw.

Śmieszyło nas i bawiło, że dostawcy arabscy dosypywali pomarańcze do worków z kartoflami. Słodkawe kartofle palestyńskie były zawsze bardzo drogie, podczas gdy pomarańcze nie kosztowały nic. Wojna zdławiła wywóz pomarańczę z Palestyny — wielu właścicieli tzw. padesów, czyli plantacji drzew pomarańczowych, zwracało się do dowództwa OZ oferując darmo pomarańcze dla wojska. Drzewa pomarańczowe muszą być odciążone z owoców i plantatorom lepiej opłacało się zaprosić na pomarańczo-branie kompanię wojska niż najmować robotników, którym trzeba było płacić. Z chwilą gdy ustał eksport — Palestyna tonęła w pomarańczach, z którymi nie wiadomo było co robić. Piliśmy litrami „mitz” — czyli sok wyciśnięty ze świeżych pomarańczę i po pewnym czasie wielu z nas cierpiało na tzw. „pomarańczówkę” wywołaną nadmiarem pewnej grupy witamin.

Nad Latrun wisiała chmura — o czym mowa będzie jeszcze później, choć na pozór wszystko w naszym obozie wyglądało tak jak w przedwrześniowej Polsce. Któregoś dnia w chwili gdy wybierałem się pod przysniz — do mojego namiotu weszło dwóch generałów. Byłem sam, ponieważ moi koledzy stali już w kolejce przed kuchnią. Panami o których mowa byli gen. Kordian Zamorski i gen. Sławoj Składkowski. Trudno o bardziej przedwrześniowy generalski zespół. Stałem w postawie zasadniczej i złożyłem meldunek generałowi Zamorskiemu jako dowódcy OZ: „panie generale starszy strzelec Mieroszewski melduje się w drodze pod przysniz”.

Generał Kordian Zamorski przyjął mój meldunek ze śmiertelną powagą — natomiast generał Składkowski opukał mnie i osłuchał tak jakby był moim prywatnym lekarzem. W owych czasach generał Składkowski był szefem służb sanitarnych Ośrodka Zapasowego Brygady. Różne rzeczy mogą mi się jeszcze w życiu przydarzyć, ale na pewno już nigdy nie będę rozmawiał z dwoma polskimi generałami — będąc kompletnie nagi.

Gen. Sławoj Składkowski był premierem rządu wrześniowego a gen. Kordian Zamorski był Głównym Komendantem Policji Państwowej. Ci dwaj generałowie reprezentowali rząd, który poniósł największą klęskę w naszych dziejach. I znowu byli na szczycie i komenderowali. Żołnierze jednak godzili się z tym bez szemrania. Natomiast nie było przekleństwa, którego nie rzucano by na głowę marszałka Smigłego-Rydz. Myślę, że nie było w polskiej historii wodza, który byłby tak przeklinany i pogardzany przez żołnierzy. W rozmowach starałem się dociec o co właściwie chodzi. Nawet najmniej inteligentni nie winili Marszałka za klęskę, bo przeciwko Niemcom i Sowietom nie mogliśmy wygrać i każdy to rozumiał. Wszystkie zarzuty dotyczyły jednego epizodu. Marszałek Smigły-Rydz wyjechał wygodną limuzyną za granicę — jak cywilny polityk a nie jak żołnierz, wówczas, kiedy walka jeszcze trwała.

W mojej ocenie Marszałek mógł stosunkowo łatwo ocalić swoje dobre imię. Powinien był przekroczyć Czeremosz w bród na czele choćby niewielkiego oddziału liniowego — ostrzeliwując się z pistoletu bolszewikom. Gdyby mu szczęście dopisało odniósłby lekką ranę w czasie tej operacji. Wówczas wyładowałby po drugiej stronie jako wódz nieszczęśny lecz mężny. Ale to rozumiał i domagał się bezskutecznie jedynie B. Miedziński.

Pomiędzy świeżym jeszcze napisem nagrobnym na wileńskim cmentarzu,

który mówił o „gnieździe na skłach orla” a ową uciekinierską limuzyną była zbyt wielka przepaść by Polacy mogli to przełknąć.

Szpargaly, notatki, stare fotografie — paraferalia wspomnień. W pudełku z tytoniu fajkowego moje wojskowe odznaczenia, które są więcej niż skromne. Lecz jedno z nich — bynajmniej nie najwyższe — bardzo lubię. Mam na myśli „Africa Star” — Gwiazdę Afryki. To nawet nie jest odznaczenie tylko *campaign star* a jednak jest w tej gwiazdce coś — czego innym, znacznie wyższym odznaczeniom nie dostaje. Polacy w przyszłości — może bliskiej — może dalekiej — będą nadal zdobywali *Virtuti Militari*, *Krzyże Walecznych* i wiele innych odznaczeń. Lecz gwiazdy Afryki nie dostanie już nigdy nikt. To jest symbol zamkniętego i wymierającego klubu. Za 15 czy 20 lat nie będzie już nikogo, który miałby prawo do tej baretki. Dlatego „Africa Star” jest już dziś jakby „napoleońskim” odznaczeniem, które już nikomu nie może być nadane. To jest przeszłość nie tylko dokonana lecz i dokonana, ponieważ wykluczone jest odrodzenie. „Africa Star” góruje nad innymi odznaczeniami swoją niepowtarzalnością.

Wydało mi się, że zamknięte wspomnienia stanowią idealną formę rzeczywistości. Nie może być idealnie rzeczywiste to, co podlega ustawicznym zmianom, fluktuacjom, ewolucji — jak teraźniejszość. Dlatego, wiercie mi — nie nie jest bardziej realne niż wspomnienia.

(c.d.n.)

LONDYŃCZYK

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowo-europejskich, wychodzą regularnie od 8-miu lat, dwa razy do roku. Napływ materiałów oraz zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby przekształcić *Zeszyty Historyczne* z początkiem 1971 roku na kwartalnik. Ażeby to zrealizować trzeba nam 1500 nowych prenumeratorów.

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* jako kwartalnika wynosiłaby: F. 60 (dol. 12; £. 5.00.00). Prenumeratorzy *Kultury* nadal będą korzystali z 25 % zniżki.

O tym czy projekt nasz będzie mógł być zrealizowany i czy *Zeszyty Historyczne* od przyszłego roku ukazywać się będą jako kwartalnik — poinformujemy Czytelników na łamach *Kultury* w numerze grudniowym.

Sąsiedzi

Paradoksy rzeczywistości ukraińskiej

Jedną z ostatnich publikacji biblioteki ukraińskiego „Samizdatu” jest ogłoszona drukiem w *Suczasnosti* (Monachium, nr 2, 1970, str. 81-109) korespondencja kijowskiego inżyniera Wasyla Łobka z Maksymem Rylskim na temat walki z dyskryminacją języka ukraińskiego. Inicjatorem wymiany listów był Łobko, który po śmierci Rylskiego zebrał po siedem listów każdej ze stron, poprzedził je zwięzłą przedmową i wręczył komuś z bliskich przyjaciół — zwyczajna droga, jaką rękopis trafia na łamy „Samizdatu”, by dotrzeć później za granicę.

Pamięć o Rylskim otaczamy głębokim szacunkiem, jako do człowieka, który wiele zdziałał w obronie kultury ukraińskiej przed naciskiem rusyfikacji. Ale z korespondencji odnosi się wrażenie, jak gdyby poeta został w nią wciągnięty wbrew swojej woli, co pozwala nam nieco skorygować ukształtowany już obraz Rylskiego. Właściwie wiedzieliśmy już poprzednio, że Rylski, jako człowiek miękki i dobrotliwy, nie umiał się zdobyć na ryzykowny i ostry protest, że wołał wpływać dobrym słowem, a ponieważ cieszył się olbrzymim autorytetem w literaturze ukraińskiej, to samą swoją obecnością hamował zapędy nawet najbrutalniejszych rusyfikatorów. Odnosnie korekty jego obrazu, to wspomniana korespondencja nie wnosi nic nowego, najwyżej podkreśla beznadziejność człowieka, który został wciągnięty na listę uprzywilejowanych, przez co izolował się od społeczeństwa i zawiązał sobie ręce przynależnością do kasty wybranych, której niepisane prawa nie pozwalają zboczyć nawet na krok pod groźbą najsurowszej kary ze strony samej kasty.

W czym zaznacza się różnica tonu obu korespondujących: Łobko, wolny od więzów kastowych, głośno krzyczy o niesprawiedliwości; Rylski tylko się broni i osadza agresywnego Łobka. W listach tego ostatniego nie ma bezpośredniego zarzutu przeciw Rylskiemu, ale wyczuwa się w nich cierpką wymówkę za niezdecydowanie i bezczynność. Ale za to innych, należących wraz

z Rylskim do grona uprzywilejowanych, Łobko strofuje niemiłosiernie: „A czy chociaż jeden raz otworzyli usta Honczar, Zbanacki, Kornijczuk (nie mówiąc już o Tyczynie)...”. Rzecz w tym, że żaden z wymienionych nie tylko nigdy nie wystąpił osobiście w obronie języka ukraińskiego, ale wszyscy oni „nawet się nie odezwali” na propozycję podpisania apelu do najwyższych instancji partyjnych w tej sprawie.

Korespondencja Łobka z Rylskim jest pretekstem, żeby dobrać się do owej listy osób, która umożliwi wysnuć wnioski ogólne o przesunięciu się sił, jakie nastąpiło w ruchu ukraińskim i trwa od lat dwudziestych do naszych dni. Rokosz narodowy szedł wówczas z góry, od ludzi na stanowiskach ministerialnych (Aleksander Szumski, Mykoła Skrypnyk) albo też od tak eksponowanych literatów, jak Mykoła Chwyłowy. A dzisiaj ci wszyscy, którzy wspięli się w górę, stworzyli kasty, będące trwałą epoką partii w walce z ruchem narodowo-obronnym, płynącym z dołu — od inteligencji z mas. Tkwi w tym siła i słabość ruchu: siła w masowości, słabość — w braku poparcia z góry (w przeciwieństwie do Czechosłowacji), w możliwości dławienia go pod pozorem, że buntują się tylko nieznani pechowcy, którym nie udało się zrobić kariery.

Wyżej wymienieni przez Łobka: Honczar, Kornijczuk, Bażan, Tyczyna należą do kasty literackiej. Proces selekcji kastowej powstawał w ciągu dziesięcioleci, jest długotrwały i odznacza się surową reglamentacją. Zainicjował go jeszcze Stalin w latach trzydziestych, przeplatając represję z przywilejami (Rylski na początku lat trzydziestych siedział w więzieniu, a w 1943 roku został zwierzbowany do partii).

Aby się dostać do kasty literackiej, nie wystarczy być członkiem Związku Pisarzy. Potrzebne są jeszcze takie akcesoria, jak mandat poselski, ordery i stalinowskie (czy też obecnie leninowskie) nagrody (krajowe nagrody ukraińskie niewiele znaczą). Niepoślednią rolę wśród przywilejów kastowych odgrywają też bodźce materialne. W historii ukraińskiej znane są one jako „łakomości”. Za czasów kozackich o przeniewiercy mówiono: „Sturczył się gwoli marnej łakomości”. Wówczas jednak szło się na „łakomości”, rzecz można, indywidualnie, podczas gdy obecnie zorganizowano ich wydawanie w ściśle określonych realiach: wysokie honoraria, podróże zagraniczne, wille wokół Kijowa i samochody (czasem wraz z szoferem). Są to kuszące rzeczy na tym poziomie życia, ale musi się za to płacić oddaniem partii, niezależnie od tego, czy odpowiada to wewnętrznemu przekonaniu, czy też nie. Ołes Honczar, wieloletni przewodniczący Związku Pisarzy Ukraińskich, jest typowym przedstawicielem owych łasych na „łakomości”. Drogę do kasty literackiej utorowała mu trylogia „Chorągowie” (1947-1948). Jako utalentowany pisarz, Honczar doskonale wie, że czystą twórczością oficjalną nie można zdobyć sławy w literaturze. Wybrał inną drogę, bardziej niebezpieczną, chociaż również dopuszczalną przez reglamentację socjalistycznego realizmu: owszem, można krytykować poszczególne niedociągnięcia,

ale pod warunkiem, że ogólny wydźwięk utworu będzie optymistyczny, z zagwarantowanym triumfem partyjnej linii w finale. To stwarza szersze możliwości: można łechtać krytykę nerwy czytelnika, który jest na nią wrażliwy, ale czyha też niebezpieczeństwo, jak przy balansowaniu na ostrzu noża. Będziesz zbyt oficjalny — pójdziesz w niestawne ślady Kornijczuka, zaakcentujesz zbyt mocno usterki — możesz stracić nie tylko wilgę. Honczar okazał się zręcznym linokoczkim i napisał szereg powieści według tej recepty, a za „Tronkę” (1963) został uwieczniony laurem nagrody leninowskiej. Pośliznął się jednak na powieści „Sobór”, opublikowanej z początkiem 1968 roku. Szereg siurpryz, wywołanych przez tę powieść, będzie dalszą treścią tego artykułu.

W centrum akcji sobór kozacki w najprostszym tego słowa znaczeniu. Stoi on w przemysłowym mieście nad Dnieprem. Ale z biegiem akcji sobór nabiera znaczenia symbolu: staje się wcieleniem narodowych tradycji Ukrainy i jej spuścizny kulturalnej. Kiedy doszło do świętowania 300-lecia Ugody Perejaśławskiej, należało sobór na pokaz odremontować, ale zabrakło na to funduszy, postanowiono więc obwieść go rusztowaniem stwarzając pozory remontu. I tak stał on sobie, aż zapomniano, z jakiego powodu wzniesiono rusztowanie. Na ten wspaniały pomysł wpadł skromny pracownik partyjny Wołod'ka Łoboda. Ale sobór dalej stał mu na zawadzie, strzeliło więc Łobodzie do głowy, że jeśli się ukradnie tablicę ochronną, przymocowaną na soborze, to można będzie całkowicie go zburzyć, aby uniknąć zaś narzekania z powodu niszczenia zabytków kultury ukraińskiej, można w rekompensatę zbudować na tym miejscu kawiarnię w modnym stylu i nazwać ją „Kozak-Mamaj”.

Było to nierozważne posunięcie Honczara, dotknął bowiem bolesnego miejsca: kolonizator nie lubi, kiedy go się przylapuje na niszczeniu, bo przecież on nie gnębi, ale „uszcześliwia”. Bywa widocznie „łakomość” o gorzkim posmaku i nie zawsze usypia sumienie. Popełnił również Honczar jeszcze inną nieostrożność. Pozwala, na przykład, swoim bohaterom mówić o tym, że okrutna eksploatacja bogactw naturalnych przynosi Ukrainie olbrzymie szkody, „... jak tam — mówi jeden z nich — w kachowskim, gdzie pół Ukrainy zatopiono, chciiano stworzyć morze, a powstało bagno. Kwitnie pleśń i cuchnie na całą Ukrainę!” I na domiar złego przeciwieństwo Łobody — student Mykoła Bahdaj otwarcie lubuje się w tradycjach przeszłości i marzy o „wolnościach kozackich”.

Honczar widocznie przekroczył możliwości swego uprzywilejowanego stanowiska i nabrał przeświadczenia, że można o wszystkim mówić, byle tylko posłużyć się odpowiednią formą rzekomej krytyki poszczególnych niedociągnięć, które przecież partia sama wykrywa. Przy jej pomocy miejscowy proletariatus demaskuje dewastatora Łobodę i ratuje sobór. W finale Honczar splótł wszystkie optymistyczne węzły w jeden supeł i wprowadził nawet sekretarza obwodowego komitetu partii, który miał powiedzieć: niechaj sobór sobie stoi, jeszcze go kiedyś odremontujemy.

Zdawałoby się, że Honczar splodził swoją powieść według

wszelkich recept socjalistycznego realizmu. Przeliczył się tylko w jednym: w naddnieprzańskim przemysłowym mieście wszyscy łatwo rozpoznali Dniepropietrowsk, miasto bliskie autorowi. Tam studiował na uniwersytecie, tam jeździł zbierać materiały do swojej nowej powieści, i miasto to stało się w ostatnich latach jednym z głównych ognisk rusyfikacji Ukrainy. Miejscowi działacze partyjni, którzy już nie jako bohaterowie powieści, ale konkretnie, nie mało w życiu natrudzili się, aby zniszczyć wszystkie cechy Dniepropietrowska jako miasta ukraińskiego, łatwo rozpoznali siebie w wyrażeniu nakreślonej postaci Wołod'ki Łobody, obrazili się na autora i podnieśli krzyk w miejscowej prasie. Zbiegiem niefortunnych dla Honczara okoliczności znaleźli się również w Kijowie ludzie i to nie byle jacy, ale członkowie Akademii Nauk: O. Mazurkiewicz i M. Szamota, którzy dostrzegli pewne podobieństwo ze sobą w portrecie Łobody i przyszli w sukurs swoim jednomyślnym braciom na łamach prasy centralnej. Prawdę mówiąc, prof. Szamota miał dostateczne podstawy do obrazy, bo wybrany do Akademii jako spec od socrealizmu odgrywa w literaturze tak szkodliwą rolę, jak Łoboda w powieści Honczara.

Ten fatalny dla Honczara zbieg okoliczności, skutkiem którego pojawiły się przeciw niemu aż dwa z rzędu artykuły w centralnym organie partyjnym *Radianska Ukrajina*, groził mu nie tylko utratą willi, ale i losiem strąconego anioła.

Reakcja Ukraińców na emigracji była zupełnie normalna w tej sytuacji: nie interesując się zbyt literaturą sowiecką (na nic lepszego ona nie zasługuje), chwytają się tych utworów, które zostały zaatakowane przez oficjalną krytykę sowiecką; jeśli się je krytykuje, to musi w nich coś być. Można było zresztą wiele znaleźć: oprócz spraw już omówionych, są jeszcze w powieści Honczara nieprzyjemne spostrzeżenia o bezprawnym położeniu kołchoźników (los skrzywdzonej w kołchozie dziewczyny Jelki, która ucieka do miasta i mieszka tam nielegalnie bez dowodu osobistego) i inne stwierdzenia, o których oficjalnie nie wolno mówić. Zachęciło to krytyków emigracyjnych do wyolbrzymienia wartości artystycznej „Soboru”. Nieliterackie (polityczne) kryteria są nieuniknione, gdy literatura nie żyje, ale wegetuje w warunkach terroru.

Należy przypuszczać, że podobna reakcja była również na Ukrainie. Gdy po pierwszych sygnałach krytyki rozchwymano miesięcznik z powieścią i jej pierwsze oddzielne wydanie, zaplanowano natychmiast drugie, aby zaspokoić popyt czytelników. Wątpliwa rzecz, czy zostało ono zrealizowane do końca, ale trafiały za granicę poszczególne egzemplarze z notką: „Nakład 100.000”.

Co się tyczy krytyki, to jej oficjalną ocenę już znamy. Główny jej zarzut skierowany był przeciw nadmiernej „gloryfikacji przeszłości” i oczernianiu rzeczywistości sowieckiej. M. Szamota, wskazując palcem na Honczara, nazwał „demoralizatorami dusz” tych, którzy „nie dostrzegają przewagi dobra nad złem, blasków nad cieniami”.

Problem sowieckiej krytyki ukraińskiej wymaga dodatkowego

wyjaśnienia. Zszedłszy na sztywną oficjalność, podupadła ona zupełnie w ciągu ostatniego dziesięciolecia, i nawet władze Związku Pisarzy otwarcie na nią narzekają, chociaż same najlepiej znają przyczynę owego zjawiska: w ciągu pierwszej połowy lat sześćdziesiątych skreślono z literatury czterech najbardziej utalentowanych krytyków młodszego pokolenia: Iwana Dziubę, Iwana Switłyčnego, Iwana Bojczaka i Jewhena Swerstiuka. A zupełnie niedawno poszła w ich ślady i najmłodsza — Marharyta Malinowska (ur. w 1941 r.). Jeśli wszystkich poprzednio wymienionych pozbawiono prawa pisania za „odchylenia ideologiczne”, tę ostatnią ukarano zgola nie za własną twórczość, ale za to, że będąc zastępcą redaktora gazety *Literaturna Ukrajina* zakwalifikowała do druku kilka artykułów, które strażnikom czystości ideowej wydały się nacjonalistycznymi.

Jest rzeczą oczywistą, że nawet dla bogatszej literatury, niż ukraińska, usunięcie pięciu krytyków byłoby dotkliwym ciosem. Z drugiej strony — ten, któremu nie wolno publikować w oficjalnych wydaniach, niekoniecznie przestaje pisać, i wtedy jego prace stają się zdobyczą „Samizdatu”. Tutaj przeniosła się więc część prawdziwej krytyki. Na powieść Honczara zareagowała ona esejem jednego z wyżej wymienionych, Jewhena Swerstiuka: „Sobór w rusztowaniu”. Nie do pomyślenia było, żeby rzecz tę gdzieś wydrukowano, poszła więc kanałami „Samizdatu”, które wyniosły ją za granicę: w pierwszym kwartale bieżącego roku ukazała się w wydaniu Pierwszej Drukarni Ukraińskiej w Paryżu¹. Tak więc Honczarowi zawdzięczamy pośrednio ten mistrzowski wzorzec krytyki literackiej.

Wypowiadając się na ogół pozytywnie o powieści, Swerstiuk nie wykazuje jednak takiego zachwytu, jak krytycy emigracyjni. Posługuje się nią jedynie jako odskocznią do rozwiązywania ciekawego problemu: a jeśli zdjąć rusztowanie nie tylko z soboru, opisanego w powieści, ale i z samej powieści również, czyli całkowicie obnażyć rzeczywistość — jaki będzie obraz współczesnego świata ukraińskiego? I wykonując tę operację budowlaną, autor pokazuje nam panoramę strasznego spustoszenia duchowego. Jeśli chodzi o symbolikę, to esejowi Swerstiuka bardziej odpowiadałby tytuł — „Sobór bez rusztowania”.

Po części w zgodzie z autorem, po części go poprawiając, Swerstiuk rozszerza pole widzenia i stwierdza, że Honczar nie opisuje jakiegoś odrębnego zjawiska, bo jest to typowy krajobraz dla całej Ukrainy, i uzupełnia go przykładem: „W Czernihowie w 1968 roku na miejscu zburzonej dzwonnicy cerkwi Piatnickiej rada miejska postanowiła zbudować szalek publiczny...”.

I mały dewastator (według terminologii Honczara — „khususnik”) Wołod’ka Łoboda nie jest zjawiskiem przypadkowym, dzi-

1. Wydanie to zawiera kilka artykułów Swerstiuka, pisanych w tym samym duchu, ale opublikowanych w kijowskiej *Literaturnij Ukrajinie* z początkiem lat sześćdziesiątych, kiedy było mniej rygorystyczne.

wologiem, którego (według Honczara) „partia i lud” zdemaskowały, a potem wszystko działo się idealnie. Nie.

„Łoboda nie należy do wymierającego pokolenia dogmatyków, on rośnie jako bezbożnik...”. To typ, wyhodowany przez społeczeństwo sowieckie. Z zapałem wykonuje on dyrektywy *naczelstwa* — niszczyć kulturę ukraińską, gdziekolwiek wypadnie mu pracować: czy w prowincjonalnym mieście, gdzie burzy starożytny sobór, czy gdy jako członek rzeczywisty Akademii Nauk — niszczy literaturę (M. Szamota) albo język ukraiński (Iwan Biłodid, dyrektor Instytutu Językoznawstwa). W ten sposób wyprowadzony z powieści na teren życia Łoboda okazuje się w doskonale zorganizowanym towarzystwie ludzi, których despotyzm wychował sobie jako niezawodną ostoję”.

„Krótko mówiąc — rozumuje logicznie Swerstiuk — dla pewnego poziomu moralnych i etycznych pojęć Łoboda jest bohaterem całkowicie pozytywnym, i gdyby obraz jego naświetlali na przykład Pawło Oroweckij lub Wadym Sobko (pisarze oficjalni — I.K.), to można byłoby nie dostrzec tego charakteru z drugiej, czysto ludzkiej strony, i krytycy mogliby jego danymi wypełnić swój „pozytywny blankiet”.

Ów typ, który obecnie opanował całe życie kraju, od kołchozu do ministerstwa oświaty, i kształtuje go na swoje podobieństwo, powstał, mówią słowami O. Dowżenki, na negatywnych impulsach: najpierw zburzyć, a później budować. Bodaj to: zburzyć sobór, zbudować wychodek! Na więcej go nie stać. Dlatego też cechuje go podejrzliwość i nienawiść do wszystkiego, co jest autentyczne i zostało zbudowane przed nim. To musi ulec zapomnieniu i dlatego typ ten wyłazi ze skóry, żeby naród zapomniał przede wszystkim o swojej historii. Oszkalował już pracę wszystkich historyków z prawdziwego zdarzenia i najbardziej zniechęcony jest przezeń imię M. Hruszewskiego. Pustkę, jaka powstała na miejscu historii, osłania rusztowaniem z czczych frazesów. Warto prześledzić, jak monumentalne jest owe rusztowanie: dwadzieścia pięć (według liczby obwodów) kilkukilogramowych tomów „Historii miast i wsi Ukrainy”, w których historia kołchozu zaczyna się... „od jego aktualnego przewodniczącego — kiedy zbudowano obór, chlew, kiedy przekroczone wykonanie jakiegoś planu, kiedy była wzmianka w gazecie...”.

Rozumie się, że historia kłuje oczy budowniczym socjalizmu nie tylko sama przez się; chodzi mu o to, żeby nowy człowiek wyrósł nie tylko bez historycznej pamięci, ale i bez „ideałów humanitarnych, wierzeń, altruistycznego umiłowania prawdy i poważania dla Boga swoich przodków”.

Swerstiuk widział na własne oczy następstwa owego spustoszenia duchowego i nie pragnie ani siebie, ani czytelnika uspokajać bezpodstawnym optymizmem. Jeśli spojrzeć optymistycznie na zagadnienie, człowiek nosi w sobie niezniszczalność wszystkiego co ludzkie, i odrodzenie tego oglądamy zawsze, kiedy po okrutnym ucisku następuje chociażby najmniejsze odprężenie. Ale z drugiej strony: postawcie najuczciwszą wieśniaczkę „w warunki, kiedy kradzież staje się formą zarobku” — i jej kodeks moralny niechybnie się zachwieje.

Otóż, jeśli zdjąć ostatecznie rusztowanie z wychwalanego budowniczego socjalizmu, który swoją świadomością i szlachetnością góruje rzekomo nad wszystkimi narodami świata, jak wygląda proces jego kształtowania: „...ogólna tendencja (podkreślenie Swerstiuka — I.K.) była taka, że przetrwać mógł tylko oportunist, który demonstrował zainteresowanie bliźnim i na poczekaniu kombinował, jak wspiąć się w górę kosztem bliźniego.

W społeczeństwie odbywał się sztuczny dobór według najgorszych oznak... powstawał typ człowieka nieodpowiedzialnego, obojętnego koniunkturalisty, który nie gasił, ale podsyczał wznieconą odgórnie historię".

Przypuszczalnie coś podobnego daje się zaobserwować, jeśli chodzi o kształtowanie się owego typu człowieka, aspirującego ni mniej ni więcej jak do przebudowy świata na swój obraz, w Polsce, Czechosłowacji i innych państwach-satelitach, jak musi się dostrzec analogię między losem zlikwidowanych w latach trzydziestych O. Szumskiego, M. Skrypnika, H. Hryńka i innych a losem Dubczeka w latach sześćdziesiątych. Ale tutaj proces ten nie jest tak długotrwały i, co najważniejsze, nie jest związany (na razie) z takim uciskiem narodowym jak na Ukrainie. Typ, na którym opiera się władza na Ukrainie, jest szczególnie ohydny przez to, że zanim zdobył zaufanie *naczalstwa*, musiał wprzód podeptać swoje świętości narodowe. Jeszcze jeden cytat:

"Kompleks chamstwa to twór społeczny. Dlaczego jednak występuje on jako zjawisko tak wyraźnie wśród narodowo wykastrowanych, duchowo zdegradowanych Ukraińców? Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć, jak tym, że pozbawieni godności narodowej i odpowiedzialności za duchową spuściznę narodu, nie mają bazy dla wyrobienia w sobie poczucia godności ludzkiej. Od swego odeszli, do cudzego nie dotężyli, ni pies, ni wydra, jeśli zbyszczeszili swoje, jakże mogą szanować cudze? Są tylko płaszczem — tanim, wygodnym i przede wszystkim — gotowym. Kiedy zachodzi potrzeba — to i z etykietką narodową".

Na tym można by krąg zamknąć i dać odpowiedź na pełne oburzenia pytanie Wasyla Łobka, od którego zaczyna się nasz artykuł. I równocześnie wyjaśnić to, co z daleka wydaje się nam zupełnie niezrozumiałe: dlaczego, kiedy żywiołowo wzrastał się z dołu ruch samoobrony narodowej, ci, którzy na wierzchu kręcą się przy KC (a często sami bywają jego członkami) — Honczar, Kornijczuk, Bażan, Zbanacki — ani jednym słowem go nie poparli? To jest jasne: żeby wdrapać się tam na górę, musieli właśnie „zbyszczeszcić swoje”. A kiedy stało się ono tylko „etykietką narodową”, czy warto było gwozi tego ryzykować willą?

I na zakończenie, jak według tradycji starych powieści, epilog: co się stało z głównymi bohaterami tej historii. W tytule artykułu zapowiedziałem paradoksy i jest ich pod dostatkiem we współczesnej rzeczywistości ukraińskiej: sobór obstawia się rusztowaniem, nie po to żeby go odnowić, ale by go zburzyć; ogłasza się dekret o ochronie zabytków przeszłości nie tyle dla ich zachowania, jak w celu zniszczenia pozostałych, które nie zostały objęte spisem, i wiele temu podobnych faktów. A oto kulminacyjny paradoks: powieścią „Sobór” Honczar zaktywizował uwagę społeczeństwa wokół tak bardzo nieprzyjemnych dla władz problemów

narodowych, i pierwszy powinienby ponieść karę, ale wyszedł na sucho i bez szwanku, podczas gdy Jewhen Swerstiuk — „pracuje w Akademii”².

Wracając do Honczara, to w fakcie, że wyszedł sucho z wody, jest żelazna logika: oszczędzono go ze względów humanitarnych. Albowiem w wypadku ukarania go, oznaczałoby to dodanie pierwszego wybitnego nazwiska żywiołowemu ruchowi samoobrony, jego konsolidację i podrzucenie katalizatora. Na domiar (co jest równie niebezpieczne) stworzono by precedens zdrady kastowej. Nie, lepiej złapano go nad przepaścią i zatknano mu pysk: korzystaj ze swojej willi, ale pamiętaj, do czego to zobowiązuje. Wywnął się małą tylko operacją plastyczną w biografii: po dwóch-trzech miesiącach wszystko zamilkło, rozmowy zeszyły do podziemia, a oficjalnie nikt nie śmie wspomnieć o „Soborze”, jak gdyby Honczar nigdy go nie napisał. Można się spodziewać, że winowajca łaskę należyście oceni — już wiadomo, że napisał nową powieść „Cyklon”, poświęconą jubileuszowi Lenina. I że nie będzie w niej żadnej obstrukcji, o czym świadczy fakt drukowania fragmentów w *Prawdzie*.

W ten sposób historia Honczara okazała się jakby utrwalaczem, który wyraźniej określił fronty ukraińskiej samoobrony narodowej: opór rośnie z dołu, a ci, którzy wybili się i są u góry, muszą go dławzić. Píše o tym Swerstiuk:

„Jesteśmy pokoleniem szczęśliwszym od naszych rodziców. Jesteśmy świadkami narodzin myśli społecznej, która ma odwagę różnić się od oficjalnej. Rośnie ona i rozszerza się (dawniej tliła się w luźnych indywiduach i gasła przy pierwszym groźnym okrzyku)... Można się z tego tylko radować: w społeczeństwie zachodzi proces demokratyzacji według właściwych mu praw — z dołu” (podkreślenie moje — I.K.).

Ton całego eseju Swerstiuka tragiczny, na granicy rozpacz, co wynika ze świadomości słabego jeszcze ruchu oporu przeciw tak doskonale skonstruowanej machinie terroru. I jeśli czasem

2. Tego terminu używa się ironicznie od pewnego czasu dla określenia sytuacji tych, których dotknęły represje za udział w oporze narodowym i którzy zostali albo całkowicie pozbawieni pracy, albo otrzymali taką, z której ani żyć, ani umrzeć nie można. Właśnie Iwan Dziuba po długotrwałym bezrobociu otrzymał pracę redaktora-adjutanta w cieniutkim dwumiesięczniku, wydawanym przez Ukraińską Akademię Nauk, po to, aby można mu było kiedyś wytknąć: pracujesz w Akademii Nauk i jeszcze narzekasz, że się ciebie prześladowuje. Podechwycił ten termin Władysław Czornowil, podpisawszy z grupą towarzyszy protest przeciw prześladowaniu Dziuby, dodając uwagę przy podpisach: „Pracujemy obecnie w Akademii”. Pracował wówczas rzeczywiście przy ekspedycji meteorologicznej Akademii Nauk w Karpatach. Cóż innego mógł tam robić literat, jak nie pomagać nosić instrumenty, czy też w lepszym wypadku — wykonywać obliczenia techniczne? I Jewhen Swerstiuk również otrzymał dosłownie „pracę w Akademii”: był adjutantem, podobnie jak Dziuba, w innym piśmie Akademii. Najgorszy wariant pracy „akademickiej” przypadł w udziale Łobkowi: długo był bezrobotny, a potem znikł bez śladu z Kijowa. Czasem Akademia może być pierwszym krokiem do łagrów mordwińskich.

przebija się żdziebełko optymizmu na widok dojrzewania myśli społecznej i demokratyzacji z dołu, to tym bardziej należy cenić takie słowa w ustach autora, który nie ciska czczymi frazesami. Nam jednak nie godzi się tego komentować: jesteśmy zbyt zainteresowaną stroną, aby zachować bezstronność.

Iwan KOSZELIWEĆ

(Przełożył z ukraińskiego I.S.)

W sowieckiej prasie

Koniec kwietnia - początek maja przeszedł w Kraju Rad jak jedno nieprzerwane święto. Najpierw jubileusz leninowski, który wydawało się, że nigdy się nie skończy (jubileusz ten wzbogacił język rosyjski nowym określeniem: zamiast „jak mi to wszystko zbrzydło” mówi się: „jak mi to wszystko ostuletniało”). Wszystkie miasta i wsie obwieszone były czerwonymi flagami i portretami wodza. Potem pierwszy maja: stare flagi i portrety zdjęto, a na drugi dzień powieszono nowe. Następnie nadszedł Dzień Zwycięstwa. Cały proceder jeszcze raz powtórzono: wszystko zdjęto i wszystko znów powieszono.

Z okazji jubileuszu leninowskiego rozdano nagrody leninowskie. Trzy z czternastu nagród — w dziedzinie nauki i techniki — otrzymali geolodzy i naftnicy za odkrycie ropy i gazu ziemnego na Syberii.

Nagrody w dziedzinie literatury i sztuki doskonale ilustrują do jakiego umysłowego ubóstwa doprowadzona została w ostatnim czasie kultura rosyjska. Spośród kandydatów wykreśla się tych, których twórczość nosi choćby ślad oryginalności i żywej myśli. Nagrody otrzymują przeciętność i nicość. W uroczystym roku jubileuszu nagrodę Wodza wręczono uzbeckistańskiemu poecie Gafur Guliam (pośmiertnie), rosyjskiemu pisarzowi (byłemu) Mikołajowi Tichonowowi i autorowi słów (których się nie wymawia) do sowieckiego hymnu — Sergiuszowi Michajłowowi.

Nie bojąc się być złym prorokiem, można przepowiedzieć rosyjskiej literaturze na najbliższy rok — dwa (jeżeli nie więcej) całkowite królestwo przeciętności. Trzeci zjazd pisarzy rosyjskich, który odbył się w kwietniu, dobitnie o tym świadczy. Z trybuny zjazdowej przedstawiono program dla pisarzy. Najważniejsze zadanie — dać pozytywnego bohatera, bohatera, którego mogłaby naśladować młodzież. Bohater ten powinien być człowiekiem twardym, iść do celu bez wahań i wątpliwości, nie znać litości dla wrogów (sekretarz zarządu Związku Aliksiejew czynił zarzuty tym pisarzom książek o Leninie, którzy przedstawiali Wodza

jako „liberała”, człowieka dobrego, przebaczącego swoim nieprzyjaciołom). Ten nowy pozytywny bohater powinien kochać wojnę. „Bądźmy szczerzy” — przyznaje Aliksiejew — „lada dzień pojawią się książki, głoszące jakiś ogólnoludzki humanizm, mówiące nam, że każda wojna jest niesprawiedliwa i nie do przyjęcia”.

Z wystąpienia na zjeździe pisarza Willi Lipatowa wynika, że wzór takiego pozytywnego bohatera, potrzebnego dzisiaj przewodnikom partii i rządu, już mamy. Bohaterami lat dwudziestych i trzydziestych w sowieckiej literaturze — powiedział Lipatow — były dojarki, nauczyciele, traktorzyści, robotnicy; w latach 40-tych — bohaterami były sowieckie wojny. Bohater lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych — to czekista-wywiadowca, pracujący na tyłach wroga.

I rzeczywiście — po odkryciu bohaterskiej działalności Ry-szarda Sorge rynek księgarski zalała fala powieści (zwykle wielotomowych) przedstawiających życie agentów Stalina, pracujących w sztabie Hitlera, w sztabie Własowa, itd., itp. Z powieści Kożewnikowa „Tarcza i miecz”, Wasiliewa „O pierwszej, wasza wielmożność”, Worobiewa i wielu, wielu innych wynika, że jeśli nawet hitlerowskie wojska odnosiły jakieś zwycięstwa, to tylko dlatego, że Stalin, dla jemu tylko wiadomych powodów, do tego dopuszczał, choć o wszystkim dobrze wiedział od swoich agentów.

Ważne jest jednak co innego — czekista-wywiadowca stał się wzorem pozytywnego bohatera. To człowiek bez sprzeciwu wykonujący polecenia centrali, bezwzględnie oddany, nie zadający żadnych pytań, pozbawiony jakichkolwiek wątpliwości. Krótko — takich ludzi nam potrzeba!

Ale jest jeszcze jeden pozytywny bohater, o którym w ostatnich czasach zaczęto więcej pisać niż dawniej, choć — według zdania prowodyrów związku pisarzy — za mało. „Należy uczciwie przyznać — oświadczył poeta Wassilij Fiedorow — że znaczna część inteligencji, zajmującej się wychowaniem młodzieży, w pewnej chwili zagubiła się. Była zanadto pochłonięta własnymi bólami i dorastające wtedy pokolenie często pozostawało bez kierunku. Właśnie w tym czasie burżuazyjnej propagandzie coś niecoś się udało”. Trzeba walczyć z burżuazyjną propagandą — twierdzi W. Fiedorow; trzeba, tak jak to np. czyni inny znakomity poeta — S. W. Smirnow — niedawno wyróżniony nagrodą Gorkiego, autor poematu „Świadcę sam”. Oto jak przedstawiał ten poeta Stalina:

*To on w godzinie doświadczeń
Nie schodził ze stanowiska dowódcy.
To my, po swojemu, prawomysłnie,
Czciliśmy w nim naszą moc.
Z żywego zrobiliśmy ikonę
I modliliśmy się patrząc na nią.
A kiedy pod śmiertelnym ciosem*

*On upadł, na szczycie samotny,
My jednak musieliśmy przyznać,
Że grunt usuwa się spod nóg.*



Świętowanie dwudziestopięciolecia zwycięstwa nad Niemcami dało znowu okazję do mówienia o Stalinie. Ostatecznie zabroniono wspominać o jego błędach czy zaniedbaniach. W kwietniu *Prawda* wydrukowała artykuł zastępcy przewodniczącego oddziału propagandy KC KPZS, Dmitriuka, zawierający dokładne wytyczne dla wszystkich sowieckich periodyków i gazet. „Do niedawnych czasów w oświeclaniu naszej przedwojennej historii i przebiegu Wielkiej Ojczyźnianej Wojny dopuszczano subiektywne i jednostronne poglądy. Wśród ważniejszych dokumentów partyjnych znajdują się głębokie, historycznie prawdziwe wytyczne dla oceny tego problemu i nimi powinni kierować się pracownicy naszej prasy”. Dalej Dmitriuk cytuje Breżniewa: „Nasza partia przewidziała możliwość wojennego konfliktu z siłami imperializmu i przygotowała kraj i naród do obrony”. Partia — to znaczy Stalin. Partia przewidziała — to znaczy przewidział Stalin. Starszy marszałkowie, ostatni świadkowie „mądrości wodza” opowiedzieli na łamach gazet o swoich spotkaniach z Generałissimusem. Udzielił wywiadu marszałek Bagramian — potwierdzając, że Stalin kierował działaniami wojennymi, udzielił wywiadu i marszałek Żukow, jedyny może spośród sowieckich wojskowych, który miał ambicje polityczne. Zarówno wspomnienia Żukowa, jak i jego wywiad dla *Komsomolskiej Prawdy* sprawiają dwójakie wrażenie. Marszałek chce powiedzieć prawdę, a nie może. Opisuje więc: pierwsze niepowodzenia na froncie sowieckim tłumaczy się tym, że Stalin do wybuchu wojny nie chciał rozbudowywać produkcji zbrojeniowej, obawiając się, że może to być dla Hitlera pretekstem do napaści”. (Oczywista sprzeczność z wyżej cytowaną wypowiedzią Breżniewa, że partia przygotowywała kraj do obrony).

Dalej marszałek mówi o współpracy ze Stalinem. „Prawie zawsze widziałem Stalina spokojnym i rozsądnym. Czasem wpadał w złość i wtedy tracił obiektywizm. Znam niewielu ludzi, którzy byli w stanie znieść jego gniew i przeciwstawiać się jemu. Ale na podstawie wieloletniego doświadczenia jestem przekonany, że można z nim było dyskutować, zachowując swój punkt widzenia”.

Ze wspomnień Żukowa wiemy, że i jemu samemu nigdy się to nie udało.



Wielokrotnie pisaliśmy na tych łamach o staraniach w kierunku odrodzenia kultu Stalina, o sprzeciwianiu się tym próbom, i o tym, że to się jednak udało. Wypadki ostatnich miesięcy pozwalają spojrzeć na tę walkę o wyniesienie Stalina na piedestał, z innego niż przedtem punktu widzenia: — z punktu widzenia

kultu jednostki. Rozwój tych wydarzeń — walka w szeregach politbiura — jest nam nieznana. Lecz ich rezultat odbija się jak w lustrze na stronicach sowieckich gazet i periodyków. Czytając prasę sowiecką z kwietnia-maja 1970 roku można dojść do wniosku, że powtarzają się wypadki początku lat sześćdziesiątych. Wtedy zaczął powstawać kult Chruszczowa, a teraz kult Breżniewa. Przyzwyczajone oko sowieckiego czytelnika odkryło w ostatnich numerach gazet żelazną formułę: zwycięstwa narodu sowieckiego są zasługą „KC KPZS, Politbiura i towarzysza L. I. Breżniewa”. Pierwszy sekretarz jest wydzielony spośród kierowniczych organów partii i rządu. W końcu kwietnia zaczęło się wysuwanie kandydatur do Rady Najwyższej ZSSR, do której wybory odbędą się 14 czerwca. We wszystkich okręgach wyborczych w kraju wysuwana jest kandydatura Breżniewa. Tylko jego się wszędzie lansuje. Inni członkowie Politbiura pozostali daleko w tyle. Dzieje się to, co już się wielokrotnie powtarzało. Najpierw kolektywne kierownictwo, następnie *primus inter pares*, a potem po prostu *primus*.

Od dawna wiadomo jak to się robi, recepty są wypróbowane. Niedawno ukazał się „Kalendarz sowieckiego żołnierza” na rok 1970. Cztery stronicie zajmują w nim cytaty z wypowiedzi Breżniewa o sztuce wojennej. W zeszłym roku w tymże „Kalendarzu” były tylko trzy cytaty z Breżniewa.

Kommunist opublikował entuzjastyczną recenzję o dwóch tomach przemówień i artykułów Breżniewa, mających „ogromne znaczenia dla wszystkich, którzy interesują się marksizmem-leninizmem”. Breżniew, jak należało oczekiwać, „głęboko analizuje strategię i taktykę sowieckiej rewolucji”, „znakomicie i przekonująco opisuje zdobycze narodu sowieckiego”. Należy co prawda dodać, że jak dotąd ten dwutomowy zbiór ukazał się tylko w Bułgarii i że *Kommunist* jedynie przedrukował recenzję z sofijskiej gazety *Robotnicza sprawa*. Nie należy oczywiście wątpić w to, że niebawem zbiór dzieł L. I. Breżniewa ukaże się również w języku rosyjskim. Wtedy będzie można powiedzieć — narodził się wódz.



Na Zachodzie stał się niedawno głośny manifest trzech sowieckich uczonych: A. Sacharowa, B. Turczyna i R. Miedwiediewa. W ich „Programie demokratyzacji”, składającym się z piętnastu punktów, na drugim miejscu znajduje się „postulat... upowszechnienia informacji o sytuacji kraju...”. Odwaga autorów równa jest ich naiwności. Upowszechnienie prawdziwych informacji o sytuacji w kraju równałoby się — dla kierowników partii — samobójstwu. Okrucy tych informacji, cudem dostające się do prasy, świadczą o takim skostnieniu biurokratycznego aparatu, że nie nadaje się już on do wyleczenia.

4 kwietnia w *Litieraturnoj Gazecie* ukazał się duży artykuł, z którego wynika, że od 20 do 80 % czasu pracy administracji państwowej poświęca się służbowej korespondencji, zupełnie bez-

myślnej i nikomu niepotrzebnej. Jeden z wybitniejszych sowieckich ekonomistów, akademik W. Trapieznikow, analizując pracę jednego z ministerstw stwierdził, że zakres niepotrzebnych informacji, rozprawdzanych przez to ministerstwo, sięga 90 %.

Autor artykułu nieśmiało nadmienia, że przyczyna tego morza papierów, zalewającego cały kraj leży w niechęci urzędników do ponoszenia odpowiedzialności i w przeczuciu odpowiedzialności na innych.

W tych warunkach każda informacja czy uczciwa statystyka nie tylko nie pomaga, ale przeszkadza lub nawet szkodzi spokojnemu życiu biurokratów.

Po raz pierwszy *Ekonomičeskaja Gazieta* opublikowała dane o ilości nieszczęśliwych wypadków, samochodowych dotyczące tylko RSFSR. W 1969 w wypadkach samochodowych zginęło 16 tysięcy osób, zaś powyżej 66 tysięcy było rannych. Tyleż zginęło w tym czasie w Niemczech Zachodnich. W USA ginie rocznie przeciętnie 50 tysięcy osób. Ale w USA jeden samochód przypada na dwóch ludzi, w Niemczech Zachodnich na pięciu ludzi, zaś w ZSSR na ponad 200 osób. Jeśliby w krajach zachodnich procent ofiar wypadków samochodowych osiągnął poziom sowiecki, to zwycięstwo socjalizmu byłoby zapewnione w ciągu dwóch trzech lat.

Gdzie leży przyczyna tej ogromnej ilości ofiar w RSFSR? Odpowiedź jest prosta: zły stan dróg i niski poziom obsługi. Drogi są złe, a oprócz tego brak jest na nich prawie zupełnie znaków drogowych. Średnia szybkość samochodów w RSFSR — w sercu Związku Sowieckiego — równała się w 1969 roku 28 kilometrom na godzinę. Autor artykułu zaznacza, że „z taką samą prawie szybkością jeździli dwieście lat temu nasi przodkowie końmi z Petersburga do Moskwy”. Przy drogach zwykle widać znaki ograniczające szybkość do 50-30 kilometrów. Autor twierdzi, że przy jednej drodze widział nawet znak: „Szybkość — 5 km.”.

Prawie jednocześnie z tym artykułem w sowieckich gazetach ukazała się wzmianka o przyjeździe do Moskwy Henry Forda w celu podpisania umowy na budowę na rzece Kamie jednej z największych w świecie fabryk samochodów ciężarowych.

Z jaką szybkością będą się te samochody poruszać — tego w komunikacie nie powiedziano.



Jeśli istnieją sceptycy, wątpiący w to że grzech w końcu zawsze jest ukarany, to trzeba aby zapoznali się z przypadkiem, który przytrafił się sowieckiemu pisarzowi Lwu Ginsburgowi. Ginsburg, jeden z lepszych znawców współczesnej literatury niemieckiej, tłumacz wielu niemieckich poetów i prozaików, w artykule w *Litieraturnoj Gaziecie* zdemaskował przestępczą działalność Peter Weiss, autora nowej sztuki: „Trocki na wygnaniu”. Ginsburg, tłumacz wszystkich poprzednich sztuk Weiss, nie oszczędza niemieckiego dramaturga. Nazywa tę sztukę: „ordynar-

ną dywersją polityczną, zniewagą dla ludzi radzieckich i wszystkich prawdziwych komunistów”. Oburza się że Weiss śmiał przedstawić „ciemną postać renegata Trockiego” gdy należało pisać o Leninie.

Ale, nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy w *Prawdzie* ukazała się ostra krytyka esejów Lwa Ginsburga „Na marginesie spotkań”, opublikowanych w *Nowom Mirie*, w których L. Ginsburg opisuje swoje spotkania w Niemczech z byłymi hitlerowcami: Baldurem von Schirach, Hjalmarem Schachtem, Albertem Speerem i innymi. *Prawda* podkreśla, że uwagi Ginsburga „wykazują poważne braki”, że „pisać o faszystowskich wrogach ludzkości i duchach ciemności należy z innych pozycji...”.

Jak widać więc, artykułu o Weissie „nie zaliczono” Ginsburgowi, który też okazał się „nie na tych pozycjach”.

Adam KRUCZEK

Bracia oddaleni

Na Zaolziu

Niewielka pod względem liczebnym ludność narodowości polskiej zamieszkująca ziemie Zaolziańskie może poszczycić się wielkimi stosunkowo osiągnięciami w dziedzinie kultury twórczej.

Już w XIX wieku Śląsk Cieszyński, poczynając od okresu Wiosny Ludów, daje o sobie znać twórczością literacko-publicystyczną Pawła Stalmacha, utworami dramatycznymi Farnika, Szuścika czy później Karola Bergera, dalej twórczością poetycką Sikory, Jana Łyska, Jana Kubisza i innych. Na tych tradycjach buduje kultura twórcza polskich artystów w okresie międzywojennym.

Chcąc mówić o dorobku literackim w okresie powojennym trzeba powrócić do czasów dwudziestolecia, kiedy to na tle skomplikowanego rozwoju ówczesnych stosunków społeczno-politycznych kształtowała się twórczość polskich literatów w Czechosłowacji.

Pomijając autorów mniejszych utworów literackich chodzi tutaj właściwie o trzy nazwiska. Są to: *Gustaw Morcinek*, *Paweł Kubisz* i *Adolf Fierla*. Nazwisko pierwszego z nich symbolizuje przedostanie się regionalnej literatury śląskiej poza ciasne tereny ramy.

Gustaw Morcinek, urodzony w roku 1891 w Karwinie, zaczyna tworzyć swoje pierwsze utwory powieściowe pod wpływem bezpośredniej autopsji życia górniczego. Ten czynnik, jak również wybitny talent gawędziarski, połączony ze zdolnością wyczuwania zainteresowań czytelnika, bystrą obserwacją oraz malowniczością narracji spowodował, iż powieści tego autora cieszyły się popularnością.

Karierę literacką rozpoczął Morcinek uzyskując pierwsze miejsce na konkursie literackim w Poznaniu w roku 1928. Jego utwór

* Artykuł oparto na sprawozdaniu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji 1947-1962.

„Byli dwa bracia” uzyskał nagrodę pierwszą (na 200 nadesłanych). Była to powieść z życia górników karwińskich. W roku 1929 ukazała się nowa powieść Morcinka „Serce za tamę”, w roku 1930 powieść „O dwóch braciach”; zaś w roku 1931 dwa duże tomy „Wyrąbanego chodnika”. W tym czasie Morcinek współpracował też żywo z czasopismem literackim „Zaranie Śląskie”. (Morcinek w tym czasie przeniósł się ze Zaolzia do Skoczowa pod Cieszynem, gdzie był nauczycielem w tamtejszej szkole). Wiele opowiadań z życia tej szkoły i młodzieży wprowadził Morcinek do swych prac literackich, które potem zamieścił w tomach: „W najmłodszym lesie”, „Gołębie na dachu” i „Miasteczko nad rzeką”. Wszystkie te trzy pozycje to ubeletryzowana kronika owych lat tej właśnie szkoły, która dziś nosi jego imię.



Paweł Kubisz, urodzony w 1907 roku w Trzyńcu-Końskiej, a zmarły w roku 1968, to w okresie międzywojennym autor *unius libri*. Jest to „Przednówek” wydany w roku 1937 w Czeskim Cieszynie. Tomik ten wzbudził wielkie zainteresowanie, zwłaszcza w kołach polskich poetów ludowych, z dwóch powodów. Była to specyficzna forma polegająca na stosowaniu gwary cieszyńskiej i to w sposób świadczący o jej znastwie oraz o opanowaniu kunsztu poetyckiego oraz mocny wydźwięk społeczno-ideowy, zwracający uwagę na prostych ludzi, ich troski i bóle — ich biedę. O Pawle Kubiszu napisałem już artykuł, który paryska *Kultura* zamieściła w numerze majowym 1969 roku, pozwolę sobie tu przytoczyć tylko jeden z jego wierszy pisanych gwarą, który to wiersz jest niejako wyznaniem jego idei poetyckiej:

*Kolanami miesiąc kopie —
W pończocnym gwieździec snopie...
Dziwajóm sie gwiozdy kołóm,
Smierć sie chichrze nad padołóm.*

*A hań idzie se od boru
jakisi zwidzisko moru —
A hań żynie se przez pola
przeklinano ludzko dola.*

*Trówały mi tam nie ciosejcie —
ani krzyża nie strugejcie —
ani mi kadzidłym kadźcie,
ani o pogrzebie radźcie...*

*Tako dzisiaj noc straszeczno,
potympiynczo, ostateczno —
Charczy mi już krew po krtani,
idzie do mje umiyrani...*

*Nic wóm herbowoł nie bedym —
jyny smutek, jyny biyde —
Jyny nasze pomiatani,
jyny to żywe kónani...*

*Twarde skały na Bskidzie —
dusza moja usz precz idzie;
Szumiom po gróniach smerczyska —
cosi ku mje idzie zbliśka...*

*Poszło serce w smutku polym —
poszło wielkim ludzkim bołym,
zapłakało w chałupiskach
przy obitych próżnych miskach!*

Po wojnie Kubisz staje się jednym z organizatorów polskiego życia kulturalnego na Śląsku. Jest przewodniczącym Sekcji Literacko-Artystycznej powstałej w Czeskim Cieszynie. Jest redaktorem *Zwrotu*, czasopisma literackiego. W r. 1953 wydaje poemat o przywódcy polonijnym z okresu Wiosny Ludów, pt. „Rapsod o Oszeldzie”. Drukowana przez niego na łamach *Zwrotu* powieść-gawęda „Czas ludzkiej krzywdy” nie ukazuje się już w wydaniu książkowym. Bo autor sławnego „Przednówka” naraził się władzom komunistycznym czeskim i usuwa się w cień życia tak pisarskiego jak i społeczno-politycznego. Zapomniany umiera na skutek wypadku drogowego w Trzyńcu.

Trzeci z autorów międzywojennych to *Adolf Fierla*, urodzony w roku 1908 w Orłowej. W jego twórczości dopatrzeć się można wielu różnorodnych wpływów. Podobnie jak Morcinek posiadał specjalną łatwość pisania. Jego wiersze jednak mają mniej aspektów społecznych. Oprócz swoich utworów prozą „Hałdy”, „Kamień w polu” i „Ondraszek”, wydaje kilka poetyckich tomików, jak: „Przydrożne kwiaty”, „Dziwy na gróniach”, „Kopalnia słoneczna” i „Kołądy beskidzkie”. Równocześnie jest czynny jako korespondent prasowy i tłumacz z Czeskiego. W czasie drugiej wojny światowej znalazł się we Francji, potem w Anglii, skąd już nie wrócił i gdzie niedawno umarł.

W pierwszym okresie powojennym pisarze zaolziańscy skupili się wokół organu *Głos Ludu* i wokół „Szyndziółów”. Oprócz prozy publicystycznej dochodzi głównie do głosu poezja. Jej przedstawicielami oprócz omówionego już Pawła Kubisza są *Gustaw Przeczek* i *Henryk Jasiczek*. Pierwszy z nich (ur. w Orłowej w 1913 r.), zwrócił na siebie uwagę już utworem pt. „Bohaterom”, wyróżnionym na konkursie poetyckim dla uczczenia pamięci Zwirki i Wigury. Oprócz wierszy pisał Przeczek w tym okresie sztuki sceniczne, które wydał dopiero po wojnie. Z górą 5 lat spędził w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen. W roku 1945 ukazuje się parę wierszy Przeczka w *Głosie Ludu*, których tematyką jest życie obozowe. W r. 1946 wydaje on tomik wierszy pt. „Serce na kołczastych drutach”. W dwa lata później pojawia się jako osobna odbitka, publikowany w *Głosie Ludu*, cykl wspo-

mnień o tematyce obozowej pt. „Kamienna Golgota”, „Ondraszek” i „Powiew wolności”. Te utwory dramatyczne Przeczka zdobywają II-gą i III-cią nagrodę w konkursach w Polsce.



Henryk Jasiczek urodził się w roku 1919 w Kottingbrunn pod Wiedniem. Debiutował w roku 1948 tomem poezji pt. „Rozmowy z ciszą”. Tomik ten zawiera wiersze pisane w latach wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu. Liryka refleksyjna i osobista, wrażliwość na smutek i troski dnia, to charakterystyczne cechy tego zbioru. Za to następnie opublikowany przez Jasiczka tomik poezji naśladowany jest już treściami społecznymi. Nosi ten tomik tytuł „Pochwała życia”. Ukazuje się w roku 1952. Już w roku następnym pojawia się lirycko-epicki poemat pt. „Gwiazdy nad Beskidem”. Wyrazem stale rozwijającego się talentu poetyckiego Jasiczka jest następny z kolei tomik poezji pt. „Obuszkiem ciosane” (1955). Oprócz „Śpiewek zbójnickich” tomik ten zawiera kilkanaście utworów lirycznych, pełnych nastrojowych obrazów. Utwory te zainteresowały wielu muzyków, dając im temat do opracowań scenicznych. Pod tym samym tytułem ukazał się w Polsce w roku 1960 nakładem wydawnictwa „Śląsk” jego wybór wierszy.

W roku 1959 pojawia się nowy tomik wierszy zatytułowany „Jaśminowe noce”. Są to liryki miłosne, refleksyjne, krajobrazowe.

Ale Jasiczek to nie tylko liryk i poeta. Nakładem wydawnictwa „Śląsk” w Katowicach pojawia się w roku 1959 zbiór opowiadań satyrycznych „Humoreski beskidzkie”. Jasiczek pokazał się jako znawca humoru ludowego, zbieracz jego motywów oraz autor umiejętnie wyzyskujący gwarę cieszyńską dla spotęgowania bezpośredniości oddziaływania i ciętości stylu.

Jasiczek, który w latach 1945-58 pełnił funkcję naczelnego redaktora *Głosu Ludu*, jest obecnie redaktorem Wydawnictwa Okręgowego w Ostrawie, gdzie od r. 1960 wydawane są wszystkie polskie publikacje. Jest on członkiem Związku Pisarzy Śląskich i Związku Pisarzy Czechosłowackich. Należy również do zespołu redakcyjnego czasopisma literackiego *Zwrot*, wydawanego w Czeskim Cieszynie.

Oprócz wspomnianych gatunków literackich, pisze audycje radiowe dla dzieci i słuchowiska, opowiadania i felietony, szkice literackie i historyczne, prace naukowe i publicystyczne, recenzje, libretta widowisk scenicznych oraz komentarze polityczne. Niektóre z jego utworów były tłumaczone na język czeski.

Henryk Jasiczek, po śmierci Pawła Kubisza, uchodzi dziś niewątpliwie za największego poetę Zaolziańskiego. A oto jego wiersze:

NASZ ŚLĄSK

*U nas na Śląsku
piękno nie miało*

skąpych dłoni.
Patrz! Kraj jak ogród —
kominów, świerków i jabłoni.

Nasza to ziemia...
gdzie nad rzekami
wiosna warkocze splata,
a na ścieżkach gór,
pod koniec lata
tak pięknie i smętnie,
że byś zapłakał.

Nasza to ziemia...
gdzie prochy naszych dziadów
rozwił wiatr
na łopacie grabarza,
gdy nowe mogiły kopał
na starych cmentarzach.

Nasza to ziemia...
gdzie niebo nocą
jest jak krew czerwone,
kiedy na hałdach
przechyla żużel
hutnicze dłonie.

Nasza to ziemia...
gdzie lud długo milczał,
śpiewał po kryjomu,
i walczył tak długo,
by pieśń nasza, ojczysta,
brzmiała jak dźwięk dzwonów.

Nasza to ziemia...
gdzie bogactwo
przystało być przekleństwem.
Tu jest nasz Śląsk —
któremu służyć trzeba
kółkiem, traktorem i wierszem.

Oraz wiersz napisany w czasie okupowania Czechosłowacji
przez wojska rosyjskie i, niestety, nasze. Wiersz nosi znamieny
tytuł:

ZOSTAŃ CZŁOWIEKIEM

Kiedy ci gorycz ściśnie krtani,
kiedy zdradzony zostaniesz sam,
zostań człowiekiem.

Gdy z piasku wyjrzą głowy trusie,
krzycząc obłudnie: I ty, Brutusie!
zostań człowiekiem.

Gdy ci przyjaciel napluje w twarz,
przy twoich myślach postawi straż,
zostań człowiekiem.

Kiedy zostaniesz straszliwie sam,
a wokół przemoc, fałsz i kłam,
gdy leż zabraknie opuchłym powiekom,
zostań człowiekiem.

Prócz Kubisza i Jasiczka, osobne tomiki wierszy wydało dwu autorów Zaolziańskich: Józef Krzywoń i Gustaw Przeczek. Krzywoń opublikował „Śpiewającą jutrenkę” w roku 1958, a Przeczek „Drogi i ścieżki”. Generacja Krzywonia i młodszy zaznaczyła się w polskiej twórczości poetyckiej Zaolzia różnorodnymi próbami artystycznymi, pojawiającymi się zwłaszcza w ostatnich latach na łamach prasy. Chodzi o kilkanaście nowych nazwisk, z których najlepsi stają się autorami wspólnego tomiku-debiutu 9-ciu młodych autorów pt. „Pierwszy lot”. Tomik ten ukazał się w roku 1960 jako ostatni z serii edycji wydawniczej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie. Reprezentowani są tam następujący autorzy: Bronisław Bielan, Adolf Dostał, Janusz Gaudyn, Wanda Pribula, Wilhelm Przeczek, Gustaw Pysko, Józef Raszyk, Władysław Sikora i Danuta Siwkówna. Różnorodność mentalności, wieku, środowiska i zapatrywań, różnorodność stylu, środków formalnych i poziomu artystycznego daje w sumie ciekawą i wymowną obraz środowiska literackiego tzw. młodych, obraz, na podstawie którego można, w połączeniu z doświadczeniami twórczymi autorów reprezentowanymi poza ramami tomiku, wysunąć odpowiednie uogólniające wnioski i charakterystykę profilu twórczego debutantów.

Najciekawiej z wymienionej grupy reprezentuje się twórczość Władysława Sikory. Poezję jego charakteryzuje mocny ładunek uczuciowy i intelektualny, oszczędność słowa i stosowanie obrazów poetyckich. W roku 1961 wydaje Sikora w Ostrawie tomik poezji zatytułowany „Próg”.

Oprócz wyżej wymienionych autorów zaolziańskich trzeba jeszcze wymienić nazwiska takie jak: Ernest Korpak, Wanda Berger, Władysław Kopp, Gustaw Sajdok, Adam Berger, Józef Mrozek, Józef Raszyk, Henryk Szmeja, Józef Palowski i Tadeusz Chrzyszcz. Są to przeważnie młodzi ludzie, którzy ogłaszają swe wiersze na łamach prasy polskiej zaolziańskiej.

Cały Dział Prozy podzielić można na pion gwarowo-folklorystyczny i prozę artystyczną, pisaną językiem literackim.

Adam Wawrosz (ur. 1913 w Końskiej) w nielicznych tylko wypadkach używa języka literackiego, a to jeszcze w ścisłych związkach z motywami ludowymi. Świadczą o tym jego „Niezapominajki” wydane w Trzyńcu, w roku 1946. Tematyka obozowa idzie tu w parze z gawędą poetycką. W gwarze cieszyńskiej pisze Wawrosz dramat pt. „Zbrodniarze”, następnie publikuje komedię „Co po nagle” i sztukę „Nowi ludzie”. Wszystkie te rzeczy są często wystawiane na lokalnych scenach. W twórczości Wawrosza czołowe miejsce zajmuje też gawęda ludowa oraz satyra. W roku 1959 wydał on tom opowiadań humorystycznych „Na śmiewku”, który to tomik staje się wielce popularny.

Karol Piezga (ur. w Łazach), a żyjący obecnie w Jabłonkowie, jest zarówno pisarzem jak i malarzem. W roku 1958 wydaje we wspólnym zbiorze trzech autorów „Opowiadania i Wspomnienia” dłuższe opowiadanie pt. „Gajdosz z Kurajki”. A w roku 1960 ukazuje się jego własny tomik opowiadań gwarowych, gawęd i humoresek pt. „Sękaci ludzie”. Piezga pisze również utwory gwarowe wierszem w oparciu o motyw ludowy.

Trzecim z kolei autorem jest Józef Ondrusz (ur. w 1918). W roku 1954 wydał pokątny zbiór „Przysłowia ludowe ze Śląska Cieszyńskiego”, a w roku 1957 pojawił się tom jego opowiadań, podań i legend pt. „Godki śląskie”. Zbiór ten pomyślany był przeważnie dla młodzieży. Ondrusz przez długie lata prowadził w czasopiśmie *Zwrot* dział „Żywe teksty”, gdzie publikował swoje teksty ludowo-gwarowe i pieśni.

Do autorów wyzyskujących autentyczne teksty ludowe należy i Maria Węglarzy, która opracowała i wydała wspomnienia swojego ojca pt. „Wspomnienia spod słomianych strzech”.

Tematykę górniczą uwzględnia Paweł Sarganek z Lutyni i jego brat Józef.

W dziale prozy artystycznej współcześni pisarze zaolziańscy, niestety, nie mogą się poszczycić specjalnymi osiągnięciami. Poza marginesowo traktowanymi przez Jasieczka, Kubisza czy Przeczka gatunkami literackimi w prozie, wyszła właściwie tylko jedna pozycja książkowa. Jest to powieść-reportaż *Anny Zawadzkiej* wydana w roku 1954 pt. „Ku nowym dniom”. Ta niby powieść jest typowym „produkcyjniakiem”.

Dalszą próbą prozatorską jest szkic wspomnieniowy *Bogumiła Goja* „Niedziela w Rawensbrück” oparty na osobistych przeżyciach obozowych. *Bronisław Procter* z Dolnej Łomnej drukuje swoje prace w *Zwrocie*, *Głosie Ludu* i *Panoramie*.

W dziale prozy próbują swoich sił A. Berger, Przeczek, Ruszówna, Dr Mazurek, Wacławczyk, Mamoi, Pasz i Karol Ciecicha.

Żeby poszerzyć obraz życia kulturalno-twórczego na dzisiejszym Zaolziu, należałoby wspomnieć i o *twórczości plastycznej*. Pomijając różnorodne przejawy rzeźby i malarstwa ludowego, o początkach tej tradycji możemy mówić dopiero bezpośrednio przed I wojną światową. Zaczęli ją nauczyciele rysunków w Orłowskim gimnazjum. Praca tych pionierów sztuki plastycznej nabiera szerszego rozpędu po pierwszej wojnie światowej. Poja-

wiają się nazwiska Karola Piezgy i Gustawa Fierli, malarzy, którzy swym zamiłowaniem pozostali wierni do dziś. Twórczość plastyczna Zaolzia ujęta w organizacyjne ramy Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego może się już poszczycić konkretnymi osiągnięciami. Odbywają się pierwsze wystawy, spotkania malarzy, szkolenia, poszukiwania nowych talentów. W związku z tym pojawiają się nowe nazwiska: Henryk Nitra, Paweł Zabysztan, Józef Berger, Dominik Figurny, Franciszek Świder, Władysław Pasz i inni.

Młodsza generacja skupia się w małych grupkach, a jej przedstawicielem jest *Władysław Cejnar*, absolwent Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, długoletni scenograf teatru Cieszyńskiego i teatru w Żylinie. Znany jest jako ilustrator *Zwrotu* i czasopism młodzieżowych.

Bronisław Firla, inżynier architekt, łączy swoje umiejętności zawodowe ze zdolnościami malarskimi. Stąd pełne polotu pejzaże miejskie oraz liczne akwarele i linoryty.

Obok Cejnara i Fierli zwracają na siebie uwagę trzynieccy plastycy: Stanisław Kraus, Bronisław Liberda oraz Rudolf Kobiela. Wymienieni dają do nowoczesnego wypowiedzenia się w plastyce, ale talenty ich dopiero co się rozwijają. Z orłowskiego ośrodka plastycznego wysuwają się na pierwszy plan Alicja Bartulcowa, Tadeusz Berger, Tadeusz Wratny i Rudolf Wójcik.

Ostatnią formą życia kulturalnego na Zaolziu jest *twórczość muzyczna*.

Choć rola odtwórcza śpiewu i muzyki jest na Zaolziu bardzo bogata i sięga ona odległych czasów, to większych kompozytorów dziś posiada Zaolzie zaledwie kilku, a właściwie tylko dwa nazwiska będą przedstawiały i reprezentowały tutaj muzykę tworzącą. Są nimi: Eugeniusz Fierla i Paweł Kaleta.

Eugeniusz Fierla ur. w Łazach w roku 1910. Studiował muzykę w Ostrawie, Katowicach, Bernie i Warszawie. Jego praca kompozytorska przynosi mu nagrody nie tylko w Czechosłowacji, ale i Polsce. Jest autorem wielu opracowań muzycznych sztuk teatralnych oraz audycji radiowych. Jest założycielem i kierownikiem zespołu artystycznego „Górniki” i długoletnim dyrygentem różnych chórów oraz organizacji śpiewaczo-muzycznych na Zaolziu.

Paweł Kaleta ur. w 1912, to utalentowany kompozytor, poświęcający się głównie twórczości instrumentalnej. Oprócz utworów na orkiestrę, jak „Walc koncertowy A-dur”, obraz symfoniczny „Beskidy” i szeregu innych utworów kameralnych, jest autorem dwóch kwartetów smyczkowych. W roku 1959 na konkursie kompozytorskim zdobywa Kaleta 3-cie miejsce za pieśń na chór męski „Chłopska góra” oraz wyróżnienie za utwór na chór żeński i męski „Bijatyka”. Poza tym Kaleta komponuje szereg drobniejszych prac oryginalnych.

Z innych nazwisk wiążących się pośrednio lub bezpośrednio z działem śpiewaczo-muzycznym należy wymienić Franciszka Chowańca, Karola Heczkę, Władysława Młynka, Brunona Rygla, Alfonsa Brzuskę i Edwarda Kaima. Chodzi tutaj głównie o opra-

cowania muzyczne dla zespołów szkolnych, orkiestralne opracowania dla chórów, względnie adaptacje muzyczne sztuk teatralnych.

Kilka oryginalnych pozycji ma do odnotowania dyrygent Józef Firla i młody muzyk i malarz Bronisław Liberda.

W miarę stale rozwijającego się życia kulturalnego ludności polskiej w Czechosłowacji rosło zapotrzebowanie na twórczość związaną z terenem, narastała potrzeba organizacyjnego uchwycenia tego życia i jego rozwoju.

Oparto się na doświadczeniach Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, działającego już przed wojną, bo większość członków włączyła się czynnie do pracy przy założeniu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

W roku 1948 powstała więc Sekcja Literacko-Artystyczna PZKO, obejmująca trzy działy: literacki, malarski i muzyczny. Pierwszym prezesem SLA był Paweł Kubisz, potem Józef Mrózek, a obecnie funkcję tę pełni Eugeniusz Sucharek. Poszczególne działy prowadzą: dział literacki — Henryk Jasiczek, dział malarski — Gustaw Fierla, dział muzyczny — Eugeniusz Fierla.

Związek ma swe własne wydawnictwa i publikacje. Urządza wystawy, konkursy, organizuje wieczory autorskie i spotkania z autorami.

Biorąc pod uwagę trudne warunki, w jakich nieraz praca SLA się rozwija — bo natrafia ona jeszcze na dodatkowe przeszkody ze względu na cenzurę i szykany władz — trzeba dodatnio ocenić dorobek naszych ziomków za Olzą, tym więcej że element polski jest stosunkowo nieliczny (obecnie wg. czeskich statystyk na Zaolziu ma się znajdować około 70 tys.).

Paweł LYSEK

Kraj

UBE a sowiecka służba bezpieczeństwa

I

Formalnie UBE powstało w 1944 roku, kiedy w Lublinie powołano do życia Resort Bezpieczeństwa Publicznego. Faktycznie jednak prace przygotowawcze datują się z okresu wcześniejszego, mniej więcej od roku 1942, to znaczy od chwili, gdy NKGB przystąpiło do przygotowania planu taktyki, jaką miano zastosować w Polsce. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, plan ten zawierał, w jednej części, wytyczne i zasady działania w Polsce okupowanej przez wojska hitlerowskie, w drugiej zaś cele oraz zasady działania po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Zakładając, iż w miarę postępów militarnych Armii Czerwonej, konkretyzowała się koncepcja Stalina przyszłych losów Polski, NKGB musiało się liczyć z określonymi realiami i uwzględnić je w swoich planach.

A na realia te składały się następujące fakty: mimo okupacji hitlerowskiej społeczeństwo polskie było nadal tradycyjnie nastawione antysowiecko i antykomunistycznie; rząd dusz sprawował przebywający na emigracji rząd polski, którego delegatura faktycznie kontrolowała podstawowe dziedziny życia; antyniemiecki ruch oporu, stanowiący pokaźną siłę zbrojną, w większości swej podporządkowany był rządowi emigracyjnemu; liczebność i wpływ polskich komunistów były nieproporcjonalnie małe. Sytuację komplikowało to, iż Polska, w przeciwieństwie do innych państw, które w przyszłości stać się miały satelitami Związku Sowieckiego, jak np. Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria — nie tylko nie współpracowała z III Rzeszą, ale prowadziła szeroko zakrojoną walkę z hitlerowskim okupantem. Wszystkie te czynniki łącznie winne były prowadzić do wniosku, iż Polskę trzeba będzie potraktować w sposób odmienny, niż państwa będące sojusznikami Niemiec. Stalin był jednak innego zdania, jeszcze raz zatriumfowało antypolskie stanowisko Kremla. Tak zrodziła się koncepcja „drugiego

wyzwolenia Polski" — po oswobodzeniu spod okupacji hitlerowskiej. Była to koncepcja spacyfikowania Polski przy użyciu siły. I to właśnie założenie legło u podstaw planu NKGB, według którego rozpoczęły się przygotowania kadr dla przyszłej polskiej służby bezpieczeństwa. Z perspektywy minionego ćwierćwiecza można dziś stwierdzić, iż autorzy planu wykazali dużą dalekowzroczność. Powstałe pod ich auspicjami UBE stało się jednym z głównych czynników zapewniających Kremlowi trwałą kontrolę nad Polską.

II

Na temat składu osobowego UBE panowały i po dziś jeszcze głoszone są różne sprzeczne wersje. W myśl jednej, kadra UBE do roku 1956 składała się z Rosjan, Żydów i Polaków. Był to więc podział narodowościowy. Według innej wersji, kadra ta rekrutowała się z trzech różnych źródeł: z Wojska Polskiego utworzonego w Związku Sowieckim, z peperowskich partyzantów oraz z powojennego aparatu PPR. Była to z kolei próba podziału w pewnym sensie według kryteriów politycznych. Od końca lat pięćdziesiątych usiłowano wywołać wrażenie, jakoby UBE zostało już definitywnie „spolszczone” — „odżydzone” i „odsowietywane”, stało się suwerennie polskie. Ani jedna z przytoczonych wersji nie odpowiada prawdzie i jeśli są jeszcze kolportowane, to albo przez ludzi nie znających faktycznego stanu, albo przez tych, którym zależy na ukryciu prawdy.

W latach 1944-1956 skład osobowy UBE stanowił jak gdyby mozaikę złożoną z kilku różniących się między sobą elementów, z których każdy wydawał się być dziełem innego twórcy. Pomiędzy na razie specyficzną grupę „doradców” sowieckich, wrócimy do niej później. Z jakich elementów, ściślej grup, powstała kadra UBE? Prawdopodobna odpowiedź mieć będzie zasadnicze znaczenie dla oceny oblicza UBE u schyłku lat sześćdziesiątych. Oto krótka charakterystyka kilku głównych grup:

Obywatele sowieccy różnych narodowości

Znajdowali się wśród nich Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy (urodzeni w Związku Sowieckim), Żydzi (sowieccy), Ormianie i in. W okresie wojny, jeszcze w Rosji, skierowano ich do powstałego tam Wojska Polskiego, z którego następnie przeniesiono do UBE. Wielu z nich jeszcze po 1950 roku posiadało obywatelstwo sowieckie, względnie dodatkowo nabyli także obywatelstwo polskie. O tym, że traktowano ich jako obywateli sowieckich, znajdujących się w pewnym sensie na wieloletniej „delegacji służbowej w innym kraju” świadczy wymownie fakt, iż w przypadku popełnienia poważnego wykroczenia czy przestępstwa, byli odsyłani czy odwoływani do Związku Sowieckiego. Podobnie rzecz się miała, gdy ktoś z nich z jakichś względów

przerywał pracę w UBE, wówczas powracał do swojej ojczyzny. Nieliczni tylko po wyjściu z UBE pozostali w Polsce przyjmując obywatelstwo PRL, utrzymując jednak nadal różne więzi ze Związkiem Sowieckim. W czasie pracy w UBE starali się oni uchodzić za „rosyjskich Polaków”, co miało uzasadniać ich obecność w Polsce i w UBE. „Rosyjscy Polacy” obsadzili najbardziej newralgiczne komórki UBE zarówno w centrali, jak i w miastach wojewódzkich oraz w ważniejszych powiatach. Np. szefem departamentu kadr był płk Orechwa (powrócił do Związku Sowieckiego); szefem departamentu kontr-wywiadowczego był płk Sielicki (powrócił do ojczyzny); w późniejszych latach funkcję tę objął wieloletni „doradca” sowiecki — płk Gajewski; szefem wojewódzkiego UBE we Wrocławiu był płk Grzybowski (przypuszczalnie pozostał w Polsce) itd. „Rosyjscy Polacy” obsadzili kierownicze stanowiska w takich komórkach, jak komendantura, łączność, ochrona rządu, biuro zajmujące się wykroczeniami funkcjonariuszy UBE, itd. Po 1956 roku najbardziej skompromitowani „rosyjscy Polacy” zostali zwolnieni z UBE, jednakże znakomita ich większość pracuje tam po dzień dzisiejszy. Trzeba jednak dodać, że rozpoznanie ich utrudniał fakt, iż do UBE weszło w okresie 1944-1946 bardzo wielu Polaków i również Ukraińców oraz Białorusinów pochodzących z dawnej Polski wschodniej, mówiących ze wschodnim akcentem, co z kolei ułatwiało maskowanie się „rosyjskich Polaków”. Faktem jest, iż wielu z nich pełni obecnie w UBE wysokie funkcje kierownicze.

Obywatele polscy narodowości żydowskiej

W późniejszym okresie przyłgnie do tej grupy przydomek „żydo-komuny”, a jeszcze później — „kosmopolitów-syjonistów”... Byli to w przeważającej mierze ludzie związani w latach przedwojennych z ruchem komunistycznym, którzy po 1939 roku znaleźli się w Związku Sowieckim, gdzie zostali zmobilizowani do Wojska Polskiego i z jego szeregów trafili w okresie 1944-1946 do UBE. Był to na ogół element ideowy (w stalinowskim sensie), w owym okresie często nastawiony serwilistycznie wobec Związku Sowieckiego. Wielu z nich zajęło w UBE eksponowane stanowiska, jak generał Romkowski, płk. Różański, Fejgin, Świątko, Czaplicki i inni. Fałszywy jest jednak pogląd, celowo zresztą kolportowany przez ludzi sowieckiej służby bezpieczeństwa, jakoby polscy Żydzi zawładnęli większością kierowniczych stanowisk w UBE. Zresztą, z bardziej ogólnego punktu widzenia nie miało to większego znaczenia ponieważ każdy szef departamentu, urzędu wojewódzkiego i powiatowego faktycznie był podporządkowany „doradcy sowieckiemu”, sprawującemu rzeczywistą kontrolę. Mylny jest również pogląd, jakoby stosunkowo liczny udział Żydów w UBE wiązał się z brakiem kadr autentycznie polskich, do których „partia miałaby zaufanie”. Nad doborem kadr czuwała NKGB, a więc służba od lat wychowywana w duchu antysemic-

kim i nastawiona wrogo do syjonizmu, traktująca z najwyższą podejrzliwością Żydów, nie tylko polskich, również sowieckich, nawet pełniących wysokie stanowiska we władzach sowieckich. Przez pół wieku Czecha, NKGB, MGB, KGB w sposób bezwzględny rozprawiały się z Żydami. W tej sytuacji i przy znanej, chorobliwej wprost, podejrzliwości sowieckiej służby bezpieczeństwa, tolerancyjny i ufny stosunek do Żydów w UBE nasuwa wniosek; iż był to miachiavelistyczny pomysł, którego efekty zdyskontowano w latach późniejszych i nie tylko w Polsce.

Od 1956 roku poczynając, UBE przystąpiło do zwalniania Żydów i obecnie prawdopodobnie nikt z nich już nie pozostał. O ile jednak „rosyjscy Polacy” opuszczali UBE po cichu, podobnie zresztą jak „doradcy”, wydalaniu Żydów towarzyszyła głośna i szeroko zakrojona reklama, przypisująca im całą winę za zbrodnie i łamanie praworządności. Wiele lat później, w 1968 roku, w organie ministerstwa obrony *Żołnierzu Wolności* ukazał się znamienity artykuł, piętnujący z imienia i nazwiska wielu byłych wysokich oficerów UBE narodowości żydowskiej, zarzucający im „antypolską postawę w czasie pracy w MBP”...

Obywatele polscy pochodzenia niemieckiego

Była to grupa stosunkowo nieliczna, ale interesująca z wielu względów. O ich niemieckim pochodzeniu na ogół mało się mówiło, jeszcze mniej zaś o działalności w latach okupacji. Jeden z bardziej znanych „Niemców”, Artur Jastrzębski vel Ritter pracował w warszawskim SD (*Sonder Komando*), dokąd przedostał się na polecenie sowieckiej służby bezpieczeństwa. Po wojnie był szefem departamentu kontrwywiadowczego, następnie pełnił funkcję bodaj dowódcy wojskowego okręgu warszawskiego, potem był attaché wojskowym w Rzymie. Inny „Niemiec”, Kubica, służył w Wehrmachcie, w UBE zaś był na stanowisku zastępcy szefa kadr departamentu i szkolenia. Wśród pracowników UBE krążyły plotki, jakoby wielu innych wysokich oficerów UBE w latach młodości było członkami *Hitlerjugend*, NSDP, jednakże sprawy te uchodziły za tajne, tajemnicze. Interesujące, że w okresie Października, kiedy na zebraniach w UBE ujawniano wiele pikantnych spraw o niektórych wyższych oficerach, na temat „Niemców” panowało zastanawiające milczenie.

Francuzi polskiego pochodzenia

Była to bardzo liczna grupa przybyła do Polski z Francji po wojnie, bądź to w szeregach batalionu płk. Jelenia, bądź indywidualnie w ramach repatriacji. Byli to ludzie na ogół wówczas młodzi, wielu pochodziło z rodzin francuskich komunistów polskiego pochodzenia. W przeciwieństwie do ogółu posiadaczy UBE, władali zachodnim językiem (francuskim), posiadali dobrą

znajomość mentalności zachodnioeuropejskiej. Walory te wykorzystywano w pierwszych latach do różnych prac wymagających znajomości języków zachodnich, jednakże w tym pierwszym okresie „Francuzi” pełnili funkcje na ogół podrzędne. Zaczęli oni masowo robić karierę dopiero po 1956 roku, szybko awansując na wysokie stanowiska w komórkach krajowych i zagranicznych, oficjalnych i zamaskowanych (MSZ, MHZ itd.). „Francuzi” w okresie Października odegrali w UBE niezwykle aktywną rolę w interesie moczarowców, o czym będzie jeszcze mowa. Na uwagę zasługuje okoliczność, iż tak bardzo podejrzliwa wobec Zachodu sowiecka służba bezpieczeństwa z zaskazującą wydawałoby się niekonsekwencją włączyła grupę francuską do UBE...

Obywatele polscy przybyli z obozów niemieckich

Dość liczna grupa Polaków wywiezionych przez hitlerowców do obozów. Wielu z nich, jak to wynikało z życiorysów, wyzwoliły wojska amerykańskie i angielskie, przez dłuższy czas przebywali w zachodnich strefach okupacyjnych. Jest to o tyle dziwne, że tuż po wojnie setki tysięcy ludzi zapełniły sowieckie łagry tylko z jednego powodu, ponieważ znaleźli się, jak mówiono, „pod Niemcem”. Nawet w „Historii KPZS”, wydanej już w 1959 roku, władze sowieckie nie kryły swego podejrzliwego stosunku do tej kategorii obywateli. „Dziesiątki milionów ludzi — czytamy — żyło podczas wojny na terenach zajętych chwilowo przez wroga. Miliony ludzi deportowano do Niemiec... Hitlerowcy poddali ich ideologicznej presji... część sowieckich sił zbrojnych przebywała na terytorium państw kapitalistycznych, a reakcja usiłowała wywrzeć wpływ na żołnierzy sowieckich... Tymi oraz innymi kanałami przedostawały się szkodliwe wpływy ideologiczne”. W świetle tych faktów tolerancyjny stosunek sowieckiej służby bezpieczeństwa do ludzi „spod Niemca” i „spod Zachodu” zatrudnionych w UBE, każe przypuszczać, iż działo się to nie na skutek ślepoty Rosjan. Faktem jest, iż nie zawiedli oni pokładanego w nich zaufania, a w Październiku stali się bardzo aktywni na forum UBE i w wielu przypadkach okazali się czołowymi organizatorami moczarowskimi.

„Ludzie z lasu”, czyli z partyzantki

Do 1956 roku nie odgrywali w UBE większej roli, z wyjątkiem kilku czołowych postaci, jak generał Moczar, gen. Korczyński, płk Janic i kilku innych. Jak wiadomo, z imieniem tej grupy, zwłaszcza jej czołowego przedstawiciela-Moczara, w Październiku powiązano proces tzw. odnowy UBE. Moczar w sobie tylko wiadomy sposób, zanim jeszcze powrócił do UBE w końcu 1956 roku, zdołał narzucić swoją wolę wielu tak różniącym się między sobą grupom. Panuje na ten temat fałszywa opinia, nie bez celu roz-

powszechniana, jakoby wraz z objęciem przez Moczarą szefostwa nad UBE, władzę w tej instytucji objęli „partyżanci”. Nic bardziej mylnego, byli oni bowiem licznie stosunkowo nieliczni. Prawda jest zupełnie inna: kilka nazwisk (Moczar, Janic, Pietrzak, Kufel) firmowało zmiany i działania UBE, których faktycznymi reżyserami była sowiecka służba bezpieczeństwa.

Niewielka grupa zwana „pepeesowska”

Zjawiła się ona w UBE około 1946 roku, tuż po umowie zawartej pomiędzy PPR i PPS dotyczącej „współdziałania”, w wyniku której działaczom PPS powierzono zgodnie z tzw. kluczem międzypartyjnym kilka stanowisk państwowych. M.in. do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego skierowano na stanowisko wiceministra członka PPS, Wachowicza. W krótki czas potem w UBE powstało kilka niewielkich komórek „pepeesaków”, składających się z ludzi na ogół młodych wiekiem, którzy nigdy z tą partią nie mieli nic wspólnego, nawet w okresie okupacji. W 1956 roku wielu z nich odegrało aktywną rolę w „moczaryzacji” UBE i okazali się zajadłymi obrońcami stalinizmu i beriowszczyzny.

Charakterystyka wymienionych grup nie wyczerpuje problemu i nie daje też podstaw do przypuszczeń, iż wszyscy do tych grup zakwalifikowani byli bezpośrednio na usługach NKGB. Pragniemy tylko zwrócić uwagę, iż wobec znanej mentalności szefów sowieckiej służby bezpieczeństwa oraz w obliczu wydarzeń w UBE w 1956 roku i później, dość dziwna mozaika kadr nie mogła być dziełem przypadku, lecz wynikiem realizacji przemyślanej koncepcji oblicza UBE — najważniejszego narzędzia, mającego zabezpieczyć utrzymanie sowieckich wpływów w Polsce. W ostatnich czterech latach w składzie osobowym UBE zaszły dość duże zmiany, przybyło wielu absolwentów wyższych uczelni, lecz istotne jest to, że wszystkie kluczowe stanowiska obsadzone są przez ludzi rekrutujących się z wymienionych grup, z wyjątkiem Polaków żydowskiego pochodzenia, o czym była już mowa.

III

Udokumentowanie dwudziestosześcioletniej historii UBE jest trudne głównie dlatego, ponieważ w tym stosunkowo krótkim okresie zachodziły liczne zmiany celów i taktyki oraz metod działania tych organów. Na ogół były to zmiany dokonujące się pod wpływem wydarzeń zachodzących w samym Związku Sowieckim, w szczególności w jego służbie bezpieczeństwa. Z reguły, każda większa zmiana w tej służbie, nawet tylko w dziedzinie personalnej, pociągała za sobą rozmaite implikacje w polskim UBE. Na dobrą sprawę, kronika poświęcona UBE mogłaby stanowić pewien fragment historii sowieckiej służby bezpieczeństwa. Aby nie

rozszerzać jednak tematu niniejszej pracy, ograniczymy się do krótkiego omówienia kilku etapów działalności UBE, co ułatwić powinno zrozumienie celów i mechanizmu UBE w ostatnich latach.

Pierwszy etap obejmował lata 1944-1949. Był to okres, kiedy celem strategicznym UBE było zwalczanie i likwidowanie opozycyjnych, bądź wrogich komunistycznemu reżymowi partii, organizacji i zbrojnych grup. W myśl sowieckiej doktryny policyjnej, w okresie tym prowadzono walkę ze stronnictwami i organizacjami „prawicy społecznej”, albo inaczej — był to „etap walki o zdobycie i utrwalenie władzy”.

Drugi etap trwał od 1950 do 1955 roku. W latach tych UBE zorganizowało, na wzór sowiecki, totalny system policyjny obejmujący swym zasięgiem („ochroną”) wszystkie społeczne i polityczne środowiska oraz zdecydowaną większość instytucji, przedsiębiorstw, organizacji. Osiągnięte to zostało w wyniku rozbudowy UBE na niespotykaną dotychczas w Polsce skalę — założono urzędy i placówki w każdym powiecie, we wszystkich większych przedsiębiorstwach przemysłowych, komunikacyjnych itp. Szacuje się, iż we wspomnianym okresie współpracowało z UBE (dobrowolnie, z chęci zysku, bądź pod przymusem) co najmniej 120-150 tysięcy tajnych informatorów, nie licząc informatorów milicji oraz wojskowych organów policyjnych. O totalitarnym systemie policyjnym świadczy również znany już dziś powszechnie fakt, iż wszystkie dziedziny życia publicznego były traktowane przez UBE jako tajne, wymagające kontr-wywiadowczej ochrony. Tendencje do totalitaryzmu policyjnego, wydatnie osłabione w początkach destalinizacji w Związku Sowieckim, a następnie w Polsce na skutek Października, nigdy nie zanikły, a w miarę upływu czasu odradzały się z nową siłą.

O ile w pierwszym etapie działanie UBE miało pewne pozory walki „z prawicą polityczną”, a więc w zasadzie poza obrębem partii i władz reżymowych, od 1950 roku poczynając (a właściwie już od jesieni 1949) zmieniono kierunki ataków, nacelowując je w coraz szerszym zakresie na własny obóz. Jak wiadomo w tym okresie UBE aktywnie włączyło się do rozgrywek i intryg wewnątrzpartyjnych, szybko przekształcając się z narzędzia partii w miecz Damoklesa nad partią, w rękach sowieckiej służby bezpieczeństwa. Był to okres, kiedy Stalin i Beria przy pomocy UBE zapewnili Związkowi Sowieckiemu absolutną i, jak się okaże, trwałą kontrolę nad Polską.

Trzeci etap — lata 1956-1958. Na przestrzeni tych lat sowiecka służba bezpieczeństwa, a wraz z nią i polskie UBE, pod presją wydarzeń związanych ze śmiercią Stalina oraz Berii, dokonały najciekawszego chyba manewru. Okresem tym zajmujemy się obszerniej w następnym rozdziale.

Czwarty etap — lata 1959-1964. Pod pewnymi względami poczynania UBE w tym okresie były jak gdyby powtórzeniem działań z etapu drugiego. UBE forsownie nadrabiało „straty” poniesione w wyniku Października i destalinizacji. W przyspieszonym

trybie zwiększano liczebność kadr, a wraz z tym ponownie rozbudowywano sieć tajnych informatorów, w szczególności wśród środowisk związanych z reżymem. Wyciągnąwszy określone wnioski z wydarzeń październikowych, UBE skupiło swą uwagę na grupach znanych z liberalnych poglądów, na młodzieży zwłaszcza uczelni wyższych i nawet szkół licealnych. Jednocześnie organy te wykonały żmudne, szeroko zakrojone prace nad „zdekonspirowaniem” setek czy tysięcy Żydów posługujących się „polskimi papierami”. W tej dziedzinie UBE wykazało znacznie większą skuteczność niż osławione Gestapo... Prace te trwały przez kilka lat, co nasuwa nieodparcie wniosek, iż rozpoczęta w 1967 roku kampania antysemicka połączona z demaskowaniem „syjonistów”, była jedynie realizacją wcześniej opracowanego planu. Strategicznym celem UBE w okresie 1959-1964 było niedopuszczenie do powtórzenia się kryzysu politycznego, podobnego do Października. Wśród wysokiej elity partyjnej i w środowisku kierowniczych pracowników UBE mówiono o tym dość wyraźnie: „*Październik już się nie powtórzy*”... — co miało oznaczać, iż wyciągnięte zostały z ówczesnych wydarzeń odpowiednie wnioski. Oznaczało to jednak również, iż UBE ponownie wkroczyło w rejony zakazane w 1956 roku, znowu przekształcając się w narzędzie walk wewnątrzpartyjnych. W 1964 roku, w tzw. akcji przedzjazdowej oraz na samym IV zjeździe PZPR, Moczar po raz pierwszy zademonstrował swój osobisty udział w walkach frakcyjnych, wykorzystując do tego celu potężny atut w postaci zwierzchnictwa nad UBE.

Piąty etap: od 1965 roku. Pod pewnymi względami niektóre zjawiska występujące wówczas w Polsce były podobne do wydarzeń z lat 1954-1956. Mamy tu na myśli rosnącą indolencję partii i władz w dziedzinie ekonomicznej, potęgujące się trudności gospodarcze i polityczne. Narastający kryzys dopingował ekipę rządzącą, mającą jeszcze w pamięci wydarzenia Października, do dalszego usztywnienia polityki gospodarczej oraz ograniczenia i tak już nielicznych swobód demokratycznych zdobytych w 1956 roku. Na dole zaś, głównie w środowiskach inteligencji, młodzieży a także robotników przemysłowych, narastała fala niezadowolenia i tym silniej odżywały koncepcje społeczno-polityczne z okresu Października. A ponieważ podobne zjawiska powstawały także i w innych krajach socjalistycznych, w szczególności w Czechosłowacji, gdzie sytuacja społeczno-ekonomiczna była równie niedobra jak w Polsce, łatwiej zrozumieć motywy i cele działalności UBE po 1965 roku. Z politycznego punktu widzenia działalność UBE zmierzała przede wszystkim do izolacji określonych grup, będących potencjalnymi nosicielami idei Października. Temu właśnie celowi służyła zarówno akcja zastraszania, jak również niezwykle szeroka kampania oczerniania, pomawiania o „antypatriotyzm”, „sprzysiężenie z Zachodem”, zarzut „syjonizmu”, i „rewizjonizmu”, „kosmopolityzmu”, „technokratyzmu” itp. Założenia ideologiczne tych akcji były dziełem polit-biura, głównie Gomułki, Kliszki, Jaszcuka, Strzeleckiego, jednakże ciężar realizacji wspomnianych akcji spoczywał na UBE. Wydarzenia z lat 1967-1970,

a zwłaszcza z okresu 1968 roku dowiodły, iż UBE należycie wykozystowało względnie spokojną sytuację polityczną w Polsce w okresie 1959-1964, w celu odbudowy swoich wpływów. A gdy nadszedł kryzys, organy te bez żenady oparły się na sowieckich metodach prowokacji. Jedną z nich warto porównać. 6 lipca 1928 roku dwóch białogwardystów rzuciło bombę na biuro przepustek GPU. Po wielu latach wyszło na jaw, iż była to prowokacja GPU, mająca usprawiedliwić falę procesów sądowych i nasilenie terroru wymierzonego głównie w inteligencję. Czterdzieści lat później, 8 marca 1968 roku „nieznani sprawcy” wrzucili bombę do budynku Cenzury. Wprawdzie „dywersanci” nie zostali ujęci, efekt był ten sam — UBE rozpoczęło akcję terroru przeciwko inteligencji według metod i na skalę znaną tylko w Związku Radzieckim. Tak więc, Październik nie powtórzył się, nastroje wrogości wobec polityki partii, jak na razie, udało się spacyfikować, UBE zaś odzyskało swą dawną pozycję — hegemonia w społeczeństwie.

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób zdołano „postawić na nogi” zdruzgotane politycznie i moralnie w 1956 roku kadry UBE? Jak w nowych warunkach sowiecka służba bezpieczeństwa utrzymała swą kontrolę nad UBE?

IV

Wszystko, co dotychczas napisaliśmy, było jedynie próbą usystematyzowania niektórych aspektów działalności UBE. Aby udzielić odpowiedzi na pytania postawione w poprzednim rozdziale, niezbędna jest analiza wydarzeń wewnątrz UBE w latach poprzedzających Październik oraz po 1956 roku.

Przez wiele lat w UBE prowadzono wytężoną pracę politycznowychowawczą, opartą ściśle na wzorach i doświadczeniach sowieckiej służby bezpieczeństwa. Fakt, iż na czele „Czeka” stał Polak, Feliks Dzierżyński, niewątpliwie ułatwiał to zadanie. Funkcjonariuszom wpajano przekonanie o doskonałości i wyższości sowieckich organów, równocześnie usiłowano wywołać atawistyczną nieufność do „krmnarnego i reakcyjnego” narodu polskiego — do jego historii, kultury, tradycji. Chodziło o rusyfikację i jednocześnie bolszewizację kadr UBE, aby uczynić je podatnymi na wpływy NKGB. Ugruntowywaniu tych wpływów sprzyjała osobliwa struktura społeczno-polityczna i narodowościowa kadr, o czym była już mowa, dzięki czemu NKGB mogło wygrywać animozje pomiędzy różnymi grupami, inspirując wzajemną nieufność i wykorzystując podsycane aspiracje, dążenia do kariery — kosztem innych grup. Sowiecka służba bezpieczeństwa prowadziła swoją grę na kilku różnych klawiszach, co zapewniało jej absolutną kontrolę nad UBE, ale tylko w warunkach względnej stabilizacji politycznej. Jednakże od 1954 roku sytuacja zaczęła się drastycznie pogarszać, wywierając widoczny wpływ na morale ubowców. Należy bowiem uwzględnić, iż praca każdej policji politycznej bez względu na charakter reżymu któremu służy, wymaga spełnienia kilku podstawowych warunków. Niezbędne

jest życzliwe poparcie przynajmniej pewnej części społeczeństwa — UBE zaś miało je przede wszystkim wśród licznej rzeszy członków partii (pomijamy tu sposoby, przy pomocy których udało się to osiągnąć) oraz administracji państwowej. Po wtóre, istnieć musi niezachwiane przekonanie w społeczeństwie, iż policja polityczna (zwłaszcza organy kontr-wywiadu i wywiadu) potrafi utrzymać w tajemnicy współpracę z informatorami. Po trzecie, sami funkcjonariusze policji posiadać muszą określone morale (z punktu widzenia interesów reżymu), a w przypadku UBE niezachwiana wiara w NKGB była ważnym elementem tego morale. Tymczasem właśnie od 1954 roku sytuacja, jak wspomnieliśmy, zaczęła ulegać zmianie. UBE przechodziło liczne wstrząsy, podważające dotychczasową jej pozycję w społeczeństwie i osłabiające morale funkcjonariuszy.

Pierwszy szok wywołała ucieczka na Zachód Józefa Świątły, zastępcy dyrektora osławionego departamentu X, zajmującego się rozpracowaniem najwyższych sfer partyjnych. Wielkie wrażenie wywarły na UBE tajemnice ujawnione przez Świątłę, jak również sama osoba uciekiniera, wiedziano bowiem, że Świątło trafił do UBE wprost z sowieckiego „Smierszu”. I dlatego też agenci sowieccy, znajdujący się wewnątrz UBE, czynili niemałe wysiłki, aby skupić uwagę pracowników na żydowskim pochodzeniu Świątły. W każdym razie od tej ucieczki UBE zaczyna napotykać na duże trudności w angażowaniu tajnych współpracowników zarówno w kraju, jak i zagranicą.

Nieporównanie silniejszy wstrząs powstał pod wpływem rewelacji Chruszczowa „o zbrodniczych poczynaniach bandy Berii”, co w konsekwencji podważyło zaufanie UBE do sowieckiej służby bezpieczeństwa i utrzymywanych w Polsce „doradców”. Stopniowo odium zaczęło także spadać na „rosyjskich Polaków” i Żydów, w większości przybyłych do Polski ze Związku Sowieckiego. Wśród szeregowych pracowników UBE pojawiały się coraz jawniej manifestowane nastroje antysowieckie, próby ujawniania „beriowców”. Były to często odruchy spontaniczne, wywołane bądź to rzetelnym zgorszeniem, bądź też zwyczajnym strachem przed ewentualną karą z rąk nowej ekipy władzy, lub jeszcze gorzej — ulicy. Obawy te rychło okazały się uzasadnione.

W tym samym 1956 roku na ulicach Poznania doszło do krwawego starcia pomiędzy żywiłowo uzbrojoną ulicą i ubowcami. Wydarzeniem tym towarzyszyły pewne nowe, nieznane w Polsce socjalistycznej, zjawiska. Mimo braku formalnej organizacji, robotnicy i inteligencja Poznania zdołali się samorzutnie uzbroić i stawić czoła zorganizowanej sile UBE. W tej gorącej sytuacji zaufanie UBE zawiodła wielotysięczna sieć tajnych współpracowników, stchórzyło także wielu ubowców poznańskich i przysłańskich na pomoc oficerów warszawskich, z których dziś nie jeden znajduje się na kierowniczym stanowisku. Krótkotrwałe powstanie poznańskie było lekcją poglądową dla szeregowych pracowników UBE. Wykazało ono bowiem, jak kruche są podstawy reżymu, jaką siłę stanowi rozgoryczony tłum nawet pozbawiony

własnej organizacji, z którym bratają się żołnierze i oficerowie wojska oraz milicji — przeciw UBE!

Uczucie strachu osiągnęło szczyt na wieść o powstaniu węgierskim oraz o egzekucjach na funkcjonariuszach AVH, znanych pod nazwą avoszów. Jak wiadomo, powstańcy węgierscy w sposób bezwzględny karali wykonawców zbrodni stalinowskich oraz agentów sowieckich. Po powstaniach poznańskim i węgierskim urzędy UBE pośpiesznie przekształcono w uzbrojone fortece, opracowano plany obrony, systemy alarmowe — wprowadzono stan ostrego pogotowia. Wszystkie te środki wzmagaly jednak świadomość widocznej już gołym okiem kompletnej izolacji w społeczeństwie; strach paraliżował butnych dotychczas ubowców. Niezawisłość społeczeństwa do UBE osiągnęła swoje apogeum: w fabrykach i urzędach publicznie demaskowano informatorów UBE, piętnowano donosicieli, nawet na zebraniach partyjnych. W wyniku wszystkich tych wydarzeń działalność służby bezpieczeństwa w ostatnich miesiącach 1956 roku uległa zupełnej dezorganizacji, w niektórych rejonach kraju zesłała ona faktycznie do podziemia... Tajni informatorzy odmawiali współpracy, a funkcjonariusze UBE obawiali się wchodzić z nimi w kontakty. *Totalny system policji, dysponujący kilkudziesięcioma tysiącami funkcjonariuszy oraz około stu pięćdziesięcioma tysiącami tajnych informatorów, niczym przysłowiowy domek z kart — rozpadł się pod wpływem gniewu społeczeństwa.*

W tej nadzwyczaj krytycznej sytuacji UBE poddane zostało jeszcze jednej próbie. W Październiku marszałek Konstanty Rokossowski, ówczesny minister obrony, wydał rozkaz zgromadzenia w Cytadeli Warszawskiej wszystkich wyższych oficerów Wojska Polskiego. Intencje rozkazu „rosyjskiego Polaka” były oczywiste: chodziło o odizolowanie polskich oficerów od dowodzonych przez nich jednostek, aby umożliwić oficerom sowieckim, spełniającym funkcje instruktorów, przejęcie na pewien okres czasu dowództwa.

Tymczasem na Warszawę zaczęły maszerować zmechanizowane kolumny armii sowieckiej, które wkrótce otoczyły stolicę z zamiarem przeprowadzenia krwawej pacyfikacji.

Gomułka, który dopiero co doszedł do władzy, dokonał kilku sprytnych manewrów. Zdając sobie sprawę z ogromnej fali antystalinizmu i antysowietyzmu w społeczeństwie, wysunął pod adresem Moskwy kilka atrakcyjnych żądań: odwołać „doradców” sowieckich z wojska, UBE, przemysłu; wypłacić Polsce odszkodowania za wymuszanie bezpłatnych i nisko płatnych dostaw węgla; anulować fikcyjny dług na sumę ponad dwóch miliardów dolarów; opracować prawny status lokalizacji wojsk sowieckich w Polsce; przeprowadzić polityczną rehabilitację Gomułki i jego współpracowników; udzielić zgody na wprowadzenie pewnych swobód demokratycznych. Jednocześnie, na polecenie Gomułki, Korpus Bezpieczeństwa Publicznego, przystąpił do organizowania obrony stolicy. Jednostki KBW obsadziły wszystkie newralgiczne punkty miasta, w UBE i MO wprowadzono stan pogotowia, roz-

dano broń — karabiny maszynowe, granaty. W tym samym jednak czasie Gomułka intensywnie pertraktował z Moskwą, licząc nie bez racji, na jej ustępstwa, w których niemniej od Gomułki zainteresowany był sam Chruszczow, prowadzący w owym okresie skomplikowaną walkę z przeciwnikami we własnym biurze politycznym. Gomułka postawił na Chruszczowa, Chruszczow na Gomułkę — każdy rozgrywał swoją własną partię, jeden w Warszawie, drugi w Moskwie, wzajemnie się wspierając. Zanim jednak sowieckie kolumny pancerne wycofały się spod Warszawy, UBE zmuszone zostało do udziału w przygotowaniach obrony stolicy. Dla sowieckich „wtyczek” stało się to doskonałą okazją sprawdzenia postawy funkcjonariuszy UBE wobec Związku Sowieckiego. Z ich punktu widzenia zawiedli głównie Żydzi, lecz nie tylko, również Polacy, z których wielu, jak się okazało, gorliwie sposobiło się do walki z czołgami Armii Czerwonej... Jak dowiodą późniejsze wydarzenia, z UBE wydaleniu zostaną zarówno wszyscy Żydzi, jak również Polacy, którzy „zawiedli” w gorących dniach Października.

V

Wydarzenia w Polsce musiały głęboko zaniepokoić sowiecką służbę bezpieczeństwa. Stało się bowiem jasne, iż dotychczasowy system kontroli w Polsce musi ulec daleko idącym zmianom. Przypomnijmy, jak ten system był zbudowany. Przy ministrze bezpieczeństwa publicznego działało „Biuro sowieckiego doradcy”, którym kierował generał Lalin. „Biuro” pełniło funkcję oficjalnej rezydentury NKGB, któremu podlegali „doradcy”, znajdujący się we wszystkich (17-tu) departamentach i oddziałach centrali UBE, także w każdym urzędzie wojewódzkim i w większości urzędów powiatowych. Na początku lat pięćdziesiątych liczbę „doradców” szacowano na 350-500. Sprawowali oni nadzór nad kadrami UBE oraz ich pracą; „doradcy” informowali — via Warszawa — Moskwę o treści każdej sprawy, wszystkich akt personalnych wyłącznie z tajnymi aktami informatorów. W ten sposób — poprzez UBE — sowiecka służba bezpieczeństwa zapewniła sobie szeroką kontrolę nad społeczeństwem. Oprócz półoficjalnej organizacji „doradców”, działała w Polsce organizacja tajnego rezydenta sowieckiej służby bezpieczeństwa, z własną i bardzo rozległą siecią agentów we wszystkich najważniejszych instytucjach, przedsiębiorstwach i ośrodkach Polski. Szczególnie liczne były te „wtyczki” w UBE, w Wojsku Polskim, w aparacie partyjnym, w resortach spraw zagranicznych i handlu zagranicznego. Innymi słowy, nad totalnym systemem polskiej służby bezpieczeństwa rozciągała się równie totalna kontrola sprawowana bezpośrednio przez sowiecką służbę bezpieczeństwa.

Wobec wytworzonej sytuacji, obydwa te systemy ulec musiały zmianom. Znając główne elementy tej sytuacji, można drogą dedukcji dojść do wniosków, jakie wyciągnąć musiała sowiecka służba bezpieczeństwa. Po pierwsze, oczywistą stała się koniecz-

ność rozwiązania organizacji „doradców” i zastąpienia jej inną formą kontroli. Po wtóre, należało spowodować usunięcie z UBE elementów niepewnych. Po trzecie, pilną potrzebą było odbudowanie morale kadr ubowskich, odpowiadającego interesom sowieckiej służby bezpieczeństwa. Po czwarte, trzeba było możliwie szybko reaktywować przerwana działalność UBE, co stanowiło warunek *sine qua non* przywrócenia sowieckiej kontroli nad Polską. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wszystko, co działo się po Październiku w UBE, było wynikiem realizacji określonego planu, u podstaw którego legły wspomniane właśnie wnioski, odwrót zaś Gomułki od idei Października sprzyjał wykonaniu tego planu.



Począwszy od jesieni 1956 roku UBE, zwłaszcza centrala, stały się widownią zadziwiających akcji i intryg. Anonimowi kolporterzy rozdawali (wewnątrz UBE!) nielegalne ulotki, oczerniające i atakujące Żydów w kierownictwie partii oraz na kierowniczych stanowiskach w UBE. Autorzy ulotek pomawiali atakowanych bądź to o sprzysiężenie z imperializmem i syjonizmem, bądź to o wyłączną odpowiedzialność za zbrodnie beriowszczyzny. Bardzo liczne w owym okresie zebrania sprawiały wrażenie doskonale uprzednio przygotowanych przez pozostające w ukryciu grupy organizatorów. Wszystkie te zebrania odbywały się według pewnego schematu: najpierw głos zabierali tzw. „syjoniści” i „rewizjoniści”, domagający się odwołania sowieckich „doradców” oraz gruntownych zmian w pracy UBE; natychmiast po nich przystępowali do kontr-ataku ludzie rozlokowani w różnych miejscach sali, i odczytywali z kartek przygotowane dla nich kwestie. Cel tych wystąpień był dwójaki — zrzucić odpowiedzialność za okres stalinowski na „syjonistów” i „kosmopolitów”, odwrócić uwagę od rzeczywistych sprawców, tzn. sowieckiej służby bezpieczeństwa.

Była to taktyka zręczna, atrakcyjna, zwłaszcza jeśli się zważy, kogo atakowano oraz kim byli atakujący. Celem ataków byli wyżsi oficerowie głównie narodowości żydowskiej, występujący m.in. przeciwko powrotowi do UBE generała Moczara. Atakującymi zaś byli na ogół młodszy wiekiem i stanowiskiem pracownicy, występujący „pod sztandarem” Moczara, ludzie, którzy dotychczas pozostawali w cieniu. Zdziwienie budziła okoliczność, że w szeregach „moczarówców” (cudzołłów stąd, ponieważ nie mieli oni nic absolutnie wspólnego z partyzantką moczarową) znaleźli się niespodziewanie ludzie uchodzący dotychczas za „pepesiaków”, „obozowiczów”, „Francuzów”, „Volksdojców”... Z tych to grup, o których poprzednio była mowa, wyłonił się w 1956 roku autentyczny sztab nielegalnej początkowo organizacji, która w ciągu kilku miesięcy zdołała opanować ubowskie instancje partyjne, zapewniając sobie w ten sposób całkowitą już legalność.

Istnieją dowody na to, iż grupa ta posiadała określone formy organizacyjne i że zawiązanie jej nastąpiło o wiele wcześniej,

przypuszczalnie jeszcze w okresie pierwszych wstrząsów, a więc w latach 1954-1955. Już na początku 1957 roku zapewniła ona sobie pełną kontrolę w większości departamentów centrali oraz w najważniejszych urzędach wojewódzkich. W okresie tych wewnętrznych rozgrywek ubowcy pochodzący ze Związku Sowieckiego („rosyjscy Polacy”) nie brali w nich żadnego udziału, siedzieli cicho, „mocarowcy” natomiast nigdy ich nie atakowali ani w ulotkach, ani na zebraniach publicznych, chociaż wszyscy ci „Polacy” byli żywym dowodem penetracji berioowszczyzny i sowetyzacji UBE.

W tym samym czasie, gdy rozwijała się ta interesująca akcja kierowana bezwzględnie przez reżyserów z sowieckiej służby bezpieczeństwa, Gomułka starał się wykorzystać UBE dla własnych celów. Wiceministrowi Antoniemu Alsterowi (Żyd, „oczywiście”) zlecił roztoczenie kontroli nad bardzo czynną grupą „Natolina”. Co ważniejsi „natolińczycy” byli śledzeni, obserwowano ich kontakty z ambasadą sowiecką, przy czym w toku obserwacji wykrywano liczne ich związki z... „mocarowcami”, nawet na terenie UBE. Z kolei Mieczysław Moczar, również z polecenia Gomułki, poddał intensywnemu rozpracowaniu „grupę puławską”, której czynnym działaczem był... Alster. Wśród wtajemniczonych ubowców i działaczy partyjnych mówiło się, że Alster pilnuje konserwatystów, a Moczar rewizjonistów, ale prawda była chyba inna — to Gomułka pilnował siebie samego jeszcze nie ufając „Natolincom”, i już nie „Puławczykom”. Alster usiłował patrzeć na palce swemu koledze, wiceministrowi Moczarowi, jednakże możliwości Alstera były zbyt małe i stawały się coraz mniejsze, stracił bowiem poparcie możnego protektora-sowieckiej służby bezpieczeństwa, poparcie zaś samego Gomułki, udzielone zresztą na krótki tylko czas, było zbyt słabe. To samo robił w stosunku do swego kolegi wiceminister Moczar, ale znacznie skuteczniej. Podporządkowawszy sobie takie oddziały i komórki, jak podsłuch, „kasiarzy” (czyli speców od otwierania szaf pancernych) i inne, znał dosłownie każdy krok swego partnera, treść każdego dokumentu spoczywającego w szafie wiceministra Alstera. Tej cichej walce bezradnie asystował minister Władysław Wicha, sympatyzujący raczej z Alsterem, czujący jednak respekt przed Mocza-rem. Cała ta mini-walka frakcyjna w łonie UBE była, obiektywnie biorąc, dodatkowym czynnikiem ułatwiającym realizację zamierzeń sowieckiej służby bezpieczeństwa.

VI

W 1957 roku wśród kierowniczych funkcjonariuszy UBE rozgorzały dyskusje na temat pracy w nowych warunkach. Przedmiotem dyskusji były podstawowe zagadnienia: 1) Zakres „ochrony” społeczeństwa oraz instytucji i obiektów wojskowych, politycznych, gospodarczych itp.; 2) Zasięg tajemnic państwowych, które podlegać powinny ochronie UBE; 3) Metody pracy policyj-

no-kontr-wywiadowczej; 4) Struktura organizacyjna oraz liczebność kadr UBE. Poglądy w tych sprawach były bardzo zróżnicowane, kształtowały się częstokroć pod wpływem odmiennych czynników. Np. wśród wielu szeregowych i nielicznych kierowniczych funkcjonariuszy, pod wpływem przeżytych szoków, o których poprzednio wspomniano, silne były tendencje do ograniczenia zakresu zainteresowań UBE, aby nie dać się powtórnie wciągnąć na drogi prowadzące do bezprawia i izolacji w społeczeństwie. Ograniczenia takie musiałyby jednak prowadzić do znacznego zmniejszenia liczebności UBE, a więc do licznych redukcji i ograniczenia możliwości awansu. Tego zaś nikt nie pragnął... Spodziewano się zresztą, że Moczar, gdy tylko się umocni, przystąpi do szeroko zakrojonej czystki wśród wyższych oficerów, dzięki czemu będzie dużo wakujących posad. Tym ostatnim argumentem posługiwali się moczarowcy, aby skaptować na swoją stronę młodszą generację funkcjonariuszy.

W tych warunkach, w kierowniczych sferach UBE, wykrystalizowały się dwa obozy: jeden, z Mocza-rem, jako wschodzącą gwiazdą na czele i drugi, któremu patronował wiceminister Alster i o którym wiadano, iż skazany jest na eliminację. Zwolenników Alstera było stosunkowo niewiele, „alsterowcy” mieli mu za złe jego kunktatorstwo, nie zawsze uczciwe gry polityczne, stąd niektórych ludzi wiązała z nim jedynie obawa przed Mocza-rem, jako agentem sowieckiej służby bezpieczeństwa i groźnym stupajką. W każdym razie wśród rzekomych „alsterowców”, a ściślej — rzeczywistych antymocarowców — wykrystalizowała się niewielka grupa, która pod wpływem Października przeszła na pozycje... rewizjonistyczne. Tak, rewizjonizm bowiem, ruch z samej swej istoty ideologiczny, polityczny, znalazł sobie formy egzystencji również w środowisku policji politycznej! *Jest faktem nie budzącym wątpliwości — w 1957 roku w UBE istniała grupa ludzi pragnących daleko idących reform oraz likwidacji kontroli sowieckiej służby bezpieczeństwa.* W przeciwieństwie jednak do „mocarowców” i „natolińczyków” w łonie UBE i w samej partii, „rewizjoniści” nigdy nie posiadali własnej organizacji. Tym też tłumaczyć należy fakt, iż zostali tak łatwo i tak bezwzględnie wyeliminowani z partii, a w tym przypadku — również z UBE. Chorobą wszystkich liberałów, od czasów gdy pojawili się na świecie, była paniczna wprost dbałość o legalizm form działania, o elegancję taktyki i prezencję środków. Takimi byli w partii i takimi też byli w UBE — w środku wilczej nory. Liberałowie, pozbawieni własnej organizacji, z samym tylko, choćby i wnioskowym, programem, siedzący za jednym stołem z wyzutymi ze skrupułów sowieckimi „wtyczkami” — byli zabawni i godni politowania. Jakże były ich propozycje? Jedni proponowali wykorzystać doświadczenia przedwojennej policji politycznej, nawet II Oddziału Sztabu Generalnego... Inni proponowali ograniczyć zasięg pracy kontr-wywiadowczej do ochrony imiennie wskazanych tajemnic państwowych... Naiwni, każda wszak z wymienionych i nie wymienionych tu propozycji, w przypadku ich realizacji,

prowadzić musiałyby do wyrwania UBE spod wpływów i kontroli sowieckiej służby bezpieczeństwa, których Związek Sowiecki gotów był bronić przy pomocy całej armii pancernej!

Drugi obóz, moczarowski był zdecydowanie silniejszy, zorganizowany, pod przemożnym protektoratem. Zaprezentowana zaś przez niego koncepcja była dobrze przemyślana, zwarta, konkretna, należyście podbudowana politycznie. Werbalnie „moczarowcy” zgodzili się na „demokratyzację” metod UBE, również na konieczność ustalenia zasięgu chronionych tajemnic. W ówczesnym klimacie nie można jeszcze było jawnie przeciwstawić się tym postulatom. Ale to co zaproponowali, było jednak biegunowo przeciwstawne kierunkowi reform. Punktem wyjścia był znany slogan Chruszczowa o konieczności pokojowej koegzystencji różnych ustrojów politycznych, rychło uzupełniony przewrotnym zastrzeżeniem: „ale nie w dziedzinie ideologii”. Dla moczarowców slogan ten stał się prawdziwym objawieniem. *Skoro, dowodzili, wchodzimy w etap pokojowej koegzystencji, nastąpi nieuchronnie rozwój stosunków z Zachodem — handlowych, kulturalnych, turystycznych — wrogie ośrodki imperialistyczne zechcą wykorzystać te szersze więzi dla uprawiania dywersji ideologicznej oraz roboty wywiadowczej. W tej sytuacji przed UBE stają nowe zadania — przeciwdziałania próbom dywersji ideologicznej oraz szpiegostwu. W tym celu organy służby bezpieczeństwa skupić powinny swą uwagę na tych środowiskach oraz instytucjach, które, wchodząc „w styk” z Zachodem, będą najbardziej narażone na wrogie działanie.*

Pomyślane to było chytrze, albowiem na owym „styku” rychło znalazły się dosłownie wszystkie instancje partyjne, ministerstwa, instytuty naukowe, zjednoczenia gospodarcze, organizacje społeczne, turystyczne, sportowe, rozrywkowe itd. itd... Przed Październikiem UBE rozpracowywało tradycyjne poniekąd środowiska, jak „akowskie”, „peeselowskie”, „dwójkarskie”, „syjonistyczne”, „katolickie”, „kałepowskie” i wreszcie środowisko najwyższej elity PZPR. Teraz, formalnie, moczarowcy nie wznawiali rozpracowania tych grup, nacelowując UBE na nowe środowisko: ludzi posiadających jakąkolwiek styczność z Zachodem. *Do nich zaś zaliczyć należało w pierwszym rzędzie całą odnowioną elitę władzy, środowiska intelektualne, resorty spraw zagranicznych, handlu zagranicznego i właściwie wszystkie inne również. Prócz tego, ponieważ po Październiku znacznemu rozszerzeniu uległy kontakty kraju z pięciomilionową Polonią amerykańską, z milionową rzeszą Niemców (posiadających krewnych w Polsce) oraz z kilkudziesięcioma tysiącami Żydów zamieszkającymi w Izraelu — przed UBE postawiono nowe w formie i stare w treści zadanie totalnego rozpracowania olbrzymiej części społeczeństwa polskiego. Oznaczało to w praktyce, że każdy, wyjeżdżający na Zachód, służbowo i prywatnie, lub kontaktujący się z obywatelami Zachodu w Polsce, stać się będzie mógł obiektem zainteresowania UBE.*

Drugi punkt tej koncepcji opierał się na charakterystycznym założeniu ideologicznym, wyciągniętym wprost z archiwów so-

wieckiej służby bezpieczeństwa. *W nowych warunkach — twierdzili moczarowcy — punkt ciężkości walki przesunie się na środowiska „kosmopolityczne, rewizjonistyczne, syjonistyczne i trockistowskie”. Enigmatyczne mętne określenie przyszłego „poła walki” zawierało zapowiedź rozpoczęcia bezpardonowych akcji przeciwko wszystkim absolutnie zwolennikom idei Października; kryło w sobie groźbę powrotu UBE „na podwórko partyjne”, z którego niedawno miało się bezpowrotnie wycofać. W stosunku natomiast do tradycyjnych (w rozumieniu UBE) środowisk „akowskich”, „endeckich” i innych, moczarowcy zalecali zmianę taktyki. Należy je, mówili, rozwarstwiać, dezintegrować i pozyskiwać. Z punktu widzenia doświadczeń UBE było to, przynajmniej, słuszne, nawet potężniejsza sowiecka służba bezpieczeństwa na przestrzeni swej historii stosowała taktykę „konja szachowego”. Mimo pozorów propagandy, nigdy nie atakowała wszystkich „wrogów” jednocześnie — rozprawiała się kolejno i metodycznie: z chłopstwem, z partią, z korpusem oficerskim, z administracją państwową, z białogwardystami, trockistami, syjonistami itd. Jak dowodzi historia, reżymy komunistyczne po zdobyciu władzy mniej się obawiały niebezpieczeństwa z prawa; panicznie się natomiast bały schizmy we własnych szeregach. Każde odstępstwo od sowieckiej wykładni doktryny groziło bowiem zachwianiem systemu kontroli Związku Sowieckiego nad satelitami. Moskwa bardziej skora byłaby do ustępstw wobec burżuazyjnego parlamentu w Polsce, aniżeli na rzecz rządu zreformowanego komunizmu... I dlatego sam reżym komunistyczny w Polsce był, jest i będzie pod najściślejszą kontrolą sowieckiej służby bezpieczeństwa, a realizację tej kontroli zlecono „odnowionemu” UBE pod kierownictwem Moczara.*



Nowa strategia, obliczona na odbudowę totalnego zakresu działania UBE oraz na przywrócenie tym organom dominującej roli w partii i społeczeństwie, wymagała jeszcze uzupełnienia w postaci „odnowy” metod pracy. Trzeba było uściślić czujność liberałów i pięknoduchów partyjnych, przekonać ich, że UBE definitywnie zrywa z praktyką łamania praworządności i niegodnymi metodami beriowszczyzny. Także i w tej dziedzinie moczarowcy skopiowali najświeższe doświadczenia sowieckiej służby bezpieczeństwa. W 1958 roku sowieckie KGB rozwinęło szeroką akcję propagandową pod hasłem „utrzymania kontaktu z masami”. Odpowiedzialni funkcjonariusze KGB zaczęli publicznie wygłaszać pogadanki w fabrykach, na uczelniach, w komitetach partyjnych itp., na temat nowych zadań i odnowionych metod pracy służby bezpieczeństwa. Organizowano prelekcje o potrzebie wzmożonej czujności, o przewrotności wroga. Zazwyczaj wybierano na prelegentów oficerów elokwentnych, o sympatycznej prezencji. Prelegenci na wykładach dzielili się zazwyczaj z audytorem jakąś niby-tajemnicą („Wiecie, wam możemy zdradzić tę

tajemnicę, ale niech ona zostanie między nami...”), co miało wywołać wrażenie, iż służba bezpieczeństwa darzy masę zaufaniem.

Tę samą groteskę, ten sam trick zastosowało polskie UBE. Na czołowych łowców „kontaktów z masami” oddelegowano początkowo Moczara, Szlachcica, Janica i Matejewskiego, później dokoptowano innych pomniejszych łowców. Moczar działał wszędzie: w kawiarniach warszawskich, wśród literatów, w partii, w wojsku, wśród młodzieży akademickiej; Szlachcic, najpierw w Katowicach, potem w Warszawie, stał się specjalistą od pogadanek wśród inteligencji partyjnej, zwłaszcza w szkołach i na kursach partyjnych; Janic otrzymał w przydziale środowiska kombatanckie, Matejewski zaś rozpoczął skromnie od kadr UBE i pomniejszych fabryk. Najzabawniejszą w tym zespole postacią był Moczar — człowiek prymitywny, któremu wypowiedzenie na głos słów *chargé d'affaires* w brzmieniu fonetycznym nastroczało mnóstwo trudności. Ubrany w dobrze skrojony garnitur, w koszuli nieskazitelnej bieli i z elegancko zawiązanym krawatem, pouczał podkomendnych wyszukanyimi słowami: „Kurwa wasza mać koniec z drętwością, idźcie do kawiarni, do organizacji, a jak trza, to i do burdelu! Do mas, towarzysze, frontem do mas! Kurwa wasza...”. Ubowcy poszli do mas.

Następną innowacją w tym pierwszym okresie po Październiku miała być metoda tzw. „profilaktyki”, również zapożyczona od sowieckiej służby bezpieczeństwa. „Nie będziemy — głosili moczarowcy na użytek partyjnych liberałów — beczynnie przypatrywali się, jak Polak stacza się w objęcia wroga; nie będziemy czekali, aż popełni przestępstwo — jeśli powstanie taka sytuacja, pójdziemy do obywatela i lojalnie uprzedzimy o grożącym mu niebezpieczeństwie”. Naiwnym mogło się wydawać, iż oto zaczyna się etap sielanki, że w wyniku profilaktycznych rozmówek UBE doprowadzi do samounicestwienia się... Bo kandydaci na szpiegów w porę zostaną uprzedzeni, amatorzy ucieczki z Polski otrzymają ostrzeżenie, a sposobiący się do opozycji wewnątrzpartyjnej delikatnie powiadomieni, iż gra nie warta zachodu... Rychło, bo już od 1958 roku wychodzić zaczęła na jaw cała perfidia „profilaktyki”. Ubowcy przystąpili do masowych rozmów nieomal z każdym, kto wybierał się na Zachód, strasząc i zobowiązując zarazem do dostarczenia określonych informacji. Tę samą metodę, ale w sposób bardziej dokuczliwy, zastosowano wobec tych wszystkich, którzy uczęszczali do zachodnich ambasad na odczyty, filmy i inne imprezy. W ten sposób „profilaktyka” szybko przekształciła się w narzędzie szeroko zakrojonego terroru i szantażu, a jednocześnie dała ubowcom okazję otrząśnięcia się z przebytych szoków i złamania oporów wobec odbudowy szerokiej sieci informatorów według socjalistycznej normy — co najmniej 1 informator na 200 obywateli...

Po wykrystalizowaniu strategii i taktyki działania UBE, pozostała do załatwienia jeszcze jedna sprawa — mianowicie zmiany

w systemie kontroli sowieckiej służby bezpieczeństwa nad polską służbą bezpieczeństwa. Wycofanie kilkuset doradców stworzyło inną, niewątpliwie trudniejszą, sytuację jeśli chodzi o technikę kontroli. Ponadto, w nowych warunkach, należało zadbać o stworzenie pozorów suwerenności polskiego UBE. Sprawy te musiały głęboko nurtować sowiecką służbę bezpieczeństwa, skoro w 1958 roku wysłały one do Polski kilka ekip wyższych oficerów, które zajęły się badaniem m.in. tych problemów w poszczególnych oddziałach i urzędach wojewódzkich UBE. Pobyt jednej z ekip doprowadził nawet do pewnego incydentu. Gdy sekretarz KW PZPR w Katowicach, Edward Gierek, dowiedział się (od swoich osobistych „wtyczek” w UBE), iż ówczesny szef wojewódzkiego UBE, Szlachcic, gości u siebie grupę wyższych oficerów sowieckiej służby bezpieczeństwa, o czym nie poinformował sekretarza partii, powziął podejrzenie, iż za jego plecami knuje się intryga skierowana przeciw niemu. Nie wykluczone, że było to jednym z celów tej ekipy, w każdym razie Gierek interweniował w tej sprawie bezpośrednio w Warszawie, żądając wyjaśnień.

Jakie były konkretne cele tej nadzwyczajnej kontroli, nie wiadomo, faktem jest, iż od tego czasu datują się pewne innowacje „we współpracy” KGB-UBE. W Warszawie powołano specjalne biuro zwane łącznikowym, zatrudniające wyższych oficerów KGB. Mieści się ono jednak nie, jak dawniej, wewnątrz ministerstwa, lecz poza nim, prawdopodobnie w ambasadzie sowieckiej. Istnienie biura utrzymywane jest w tajemnicy przed szeregowymi pracownikami UBE, kontaktują się z nim wyłącznie specjalnie upoważnieni do tego oficerowie. Dla stworzenia zaś pozorów równorzędności, w Moskwie powołano polskie „biuro łącznikowe”, którego faktyczne zadanie polega na współpracy z sowiecką służbą bezpieczeństwa w rozpracowaniu Polaków zatrudnionych w ambasadzie, na placówkach konsularnych, handlowych, kulturalnych itp. Nie pomniejszając roli tych biur, zwłaszcza sowieckiego, trzeba podkreślić, iż ciężar kontroli spoczywający dotąd na barkach oficjalnych „doradców”, przeniesiono na nielegalną rezydenturę sowiecką i jej „wtyczki” w UBE. Polska służba bezpieczeństwa (a dotyczy to także, rzecz jasna, organów wojskowych) znajduje się dziś pod kontrolą sowieckiej służby bezpieczeństwa równie silną, totalną, jak za czasów Stalina i Berii, Bieruta i Radkiewicza. Parafrazując znane powiedzenie można ten stan scharakteryzować następującymi słowami: „Nic o was, bez nas”.

VII

Rok 1956 zamknął pewien cykl rozwojowy, zakończony załamaniem i kompromitacją dyktatury policyjnej. Był to okres, kiedy wielu ludzi żywiło iluzję, że reżym komunistyczny wchodzi w cykl demokratyzacji i humanizacji rządów. Następne lata zawiodły jednak marzycieli: w warunkach reżymu komunistycznego ma miejsce pewna prawidłowość, prowadząca nieuchronnie do res-

tauracji dyktatury policyjnej. Między jednym i drugim cyklem następuje krótkotrwały okres ciszy, pewnego rodzaju niepisany rozejm, skrzętnie wykorzystywany przez policję do przegrupowania sił, kompensacji ubytków, opracowania nowych planów. Ideologowie reżymowi nazywają taki okres „historycznym zakretem”, przy pokonywaniu którego odpadają jednostki „stabsze”, „niepewne”, „nie przystosowane do nowego etapu”. Reżym z całą brutalnością i perfidią pozbywa się w tym momencie najbardziej oddanych sobie dotychczas ludzi, jeśli tylko okazują brak woli do zaakceptowania restauracji dyktatury policyjnej.

Odrodzenie ubowskiej hydry dokonywało się według z góry opracowanego planu. Trafną ocenę tego zjawiska daje Władysław Bieńkowski, w książce „Motory i Hamulce Socjalizmu”, wydanej przez Instytut Literacki. Przytoczymy tutaj celną diagnozę Autora: „Schemat działania jest zawsze ten sam: zaczyna się od alarmu z powodu niebezpieczeństwa grożącego państwu, ustrojowi, socjalizmowi. Sygnałem może być wydarzenie rzeczywiste — odpowiednio wyreżyserowane i zinterpretowane, bądź z braku takiego po prostu sfabrykowane. Alarm uruchamia wszystkie środki przymusu, ogłasza się rodzaj stanu wyjątkowego, tworzy atmosferę fizycznego i moralnego terroru niedopuszczającego żadnego głosu już nie tylko sprzeciwu ale nawet wątpliwości. W tej atmosferze już bez trudu likwiduje się wszystkie przeszka dzające relikty okresu błędnego „liberalizmu” i „pobłażania wrogim siłom”. Atmosfera terroru ułatwia dojście do głosu nowym ludziom [...] W warunkach stanu wyjątkowego przeprowadza się rугi personalne, których normalne dokonanie byłoby niewygodne, mogłoby nawet wywołać jakieś zbiorowe sprzeciwy. Doświadczenia dwu takich wstrząsów w naszych niedługich jeszcze dziejach — w latach 1948/49 i wiosną 1968 — mimo wszelkich różnic w wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji — wykazują uderzającą zbieżność działających mechanizmów i zastosowanych metod”. Władysław Bieńkowski, wydaje się, przecenia jednak siłę samoistnych „motorów” wewnątrz polskiego UBE i niedocenienia działania „motorów” sowieckiej służby bezpieczeństwa. Jesteśmy dalecy od stalinowskiej tezy stawiającej znak równania pomiędzy zjawiskami społeczno-politycznymi, a działaniami wywiadów i kontr-wywiadów. Niemniej nie można przeoczyć mechanizmów, zapewniających Związkowi Sowieckiemu pozycję hegemonu nad krajami satelickimi.

Rację ma Władysław Bieńkowski powiadając, że „...zaczyna się od alarmu z powodu niebezpieczeństwa...”, ale alarm był podniesiony najpierw w Moskwie, dopiero potem w Warszawie. Przysłowiowy guzik alarmowy wprzód naciśnął szef sowieckiej służby bezpieczeństwa, po nim zaś szef polskiego UBE. Na XXI zjeździe KPZS odbywającym się na przełomie stycznia i lutego 1959 roku wystąpił Szelepin, który w grudniu poprzedniego roku zastąpił generała Sierowa na stanowisku szefa KGB, stwierdzając m.in. co następuje: „W amerykańskiej CIA np. pracuje w tej chwili ponad 20 tysięcy ludzi [...] Na samym terenie Niemiec

Zachodnich znajduje się czterdzieści amerykańskich organów wywiadowczych [...] Wywiad amerykański zajmuje się organizowaniem zamachów terrorystycznych oraz intryg politycznych i podżeganiem do spisków w rozmaitych krajach, szczególnie na Bliskim Wschodzie [...] Wróg działa, działa aktywnie i szuka u nas najmniejszej szpary”. W tych kilku zdaniach nietrudno odnaleźć zawołaną tezę stalinowską, przypisującą obcym wywiadam inspirowanie wszelkich odruchów sprzeciwu i opozycji wobec polityki reżymów komunistycznych. Jest w nich także zapowiedź (w 1959 roku!) rozpętania nowej hecy antyizraelskiej i antysemitycznej. Wytyczne Szeleпина, jak to łatwo stwierdzić, przetłumaczone na język polski, stały się drogowskazem działania UBE. Zdykretytowaną doszczętnie „walkę z wrogiem klasowym” miała obecnie zastąpić „walka z obcymi wywiadami” oraz z „inspirowanymi przez wywiady rewizjonistami, kosmopolitami i syjonistami”. Kto pamięta publiczne wystąpienia Moczara i jego najbliższych współpracowników, łatwo skojarzy treść głoszonych sloganów z wytycznymi szefów sowieckiej służby bezpieczeństwa. Oto fragment wystąpienia Moczara na lutowej konferencji partyjnej w Kielcach w 1969 roku: „Bezkompromisowa walka z przejawami tej działalności, rewizjonizmem, nosicielami wrogich reakcyjnych poglądów, jest obowiązkiem każdego członka partii, każdego uczciwego Polaka. (Sic!) Polska jest przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony dywersyjnej wrogiej działalności imperializmu i wszystkich jego agend”.

Paranoiczna obawa przed „imperializmem” nie przeszkadza jednak moczarowcom w czynieniu prób „budowy pomostów między Polonią i krajem”, mimo, że zdecydowana większość emigracji w świetle ocen reżymu jest „reakcyjna, przeżarta przez imperialistyczne ośrodki”. Rzecz jasna, zabawa „w mosty” zmierza do osiągnięcia kilku dobrze wy kalkulowanych celów. Dla potrzeb wewnętrznych pozyskanie emigracji, to znaczy zlikwidowanie jej wpływów politycznych na kraj, winno prowadzić do politycznego rozbrojenia znacznej części społeczeństwa polskiego. Na płaszczyźnie zaś całego bloku sowieckiego sprawa emigracji stanowi tylko jeden z fragmentów budowanego przez reżym „kordonu sanitarnego” otaczającego Związek Sowiecki i mającego go chronić przed wpływami idej Zachodu. Nasuwa się tu interesująca analogia historyczna. Jak pamiętamy, Polskę przedwojenną nazywano, słusznie lub nie, „przedmurzem Europy”, „chrześcijaństwa”, co miało oznaczać, iż spełnia ona (bądź powinna) funkcje nieprzepuszczalnej tkanki chroniącej kapitalistyczny Zachód przed komunistycznym Wschodem. Po wojnie zaś, kiedy władzę objął reżym komunistyczny, Polska stała się „przedmurzem Wschodu”, przy czym rola ta niepomiaralnie wzrosła w okresie polityki koegzystencji, kiedy ożywiły się różnorodne formy kontaktów międzynarodowych. Ale w latach poprzedzających II wojnę światową warunki konfrontacji idej były, ogólnie biorąc, bardziej sprzyjające dla Związku Sowieckiego, niż dla Europy. W drugiej połowie XX wieku sytuacja uległa zasadniczej zmianie — to kapitalistycz-

ny Zachód podejmuje się konfrontacji w każdej nieomal dziedzinie, a komunizm znajduje się w głębokiej defensywie, ucieka przed próbami wymiany idei. Zdesperowany blok sowiecki chwytta się więc jedyne go środka, do jakiego zawsze uciekały się totalitarne dyktatury: *usiłuje odgrodzić społeczeństwa od wpływów Zachodu przy pomocy policji*. Penetracja UBE wśród emigracji polskiej, obok zadań czysto szpiegowskich, często na użytek wywiadu sowieckiego, stanowi właśnie fragment tej ogólnej strategii. Moskwa nigdy zresztą nie kryła swojego strachu przed wpływami Zachodu. Np. w „Istorii KPSS”, wydanej w 1959 roku, czytamy na ten temat co następuje: *„Podczas antyfaszystowskiego wyzwolenie go marszu armii sowieckich część sowieckich sił zbrojnych przebywała na terytorium państw kapitalistycznych, a reakcja usiłowała wywrzeć wpływ na żołnierzy sowieckich, stosując w tym celu wszelkie możliwe środki. [...] Tymi oraz innymi kanałami przedostawały się szkodliwe wpływy ideologiczne”*. Podani tym wpływom żołnierze sowieccy, zakończywszy wyzwolenie czy marsz, zapłacili za te wpływy najwyższą cenę — cenę życia i wolności. Władze sowieckie z brutalną bezwzględnością zwalczające idee Zachodu we własnym kraju, nie mogły tolerować przenikania „zarazy” do krajów satelickich.

Polskie UBE gorliwie przystąpiło do realizacji wspomnianej strategii i od 1958 roku poczynając rozpoczęło masową „blokade” dosłownie wszystkich punktów styku z Zachodem. Niezwykłą aktywność przejawiało UBE w ministerstwach spraw zagranicznych i handlu zagranicznego, kultury i zdrowia, oświaty i przemysłu; w organizacjach turystyki i sportu, te ostatnie z czasem przekształciły się w pół-oficjalne agendy UBE; w komunikacji kolejowej i lotniczej, w transporcie morskim, gdzie każdy nieomal statek handlowy stał się „pływającą rezydenturą”. „Blokada” miała na celu kontrolę kontaktów obywateli polskich z obywatelami państw zachodnich — w kraju i zagranicą, niedopuszczenie do Polski książek, czasopism i gazet pozbawionych prawa debitu, utrudnienie obywatelom polskim wszelkich więzi z Zachodem. Obok takich zadań defensywnych, o charakterze bardziej politycznym niż kontr-wywiadowczym, UBE wykonywało również zadania ofensywne, polegające na szerokiej penetracji szpiegowskiej krajów zachodnich. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż tak rozległe próby szpiegostwa znacznie przekraczały określone potrzeby państwa polskiego, nie zaliczającego się do rzędu mocarstw. Świadomie, a często i nieświadomie, UBE wykorzystywało „polskie możliwości”, bardzo zresztą rozległe — na polecenie sowieckiej służby wywiadowczej. Tak było przed 1956 rokiem i podobnie dzieje się po dzień dzisiejszy z tym, że „polskie możliwości” stały się po Październiku o wiele szersze. Jest to jeden z czynników, któremu UBE zawdzięcza tak daleko posuniętą kontrolę ze strony sowieckiej służby bezpieczeństwa.



Formalnie Polska jest państwem niepodległym, suwerennym: posiada własny parlament i rząd, własną armię i policję, własne ustawodawstwo i sądownictwo etc. Formalnie państwo polskie jest sojusznikiem Związku Sowieckiego, przy czym wzajemne zobowiązania wynikające z tego sojuszu ustalone zostały w kilku podstawowych dokumentach, przede wszystkim w bilateralnej umowie o przyjaźni i współpracy, w Pakcie Warszawskim oraz w umowach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Ponadto istnieją określone zobowiązania podjęte na płaszczyźnie partyjnej między PZPR i KPZS. Jednakże Moskwa nigdy nie polegała na podpisach, złożonych przez przywódców polskich na wszystkich tych dokumentach. Chociaż autorami umów byli wieloletni komuniści „typu leninowskiego”, jak, powiedzmy, Władysław Gomułka, wprowadzicie ich wieloletnia polityka wierności i uległości posuniętej do serwilizmu wobec przywódców sowieckich była dostatecznym sprawdzianem ich oddania Kremlowi — wszystko to było jeszcze nie wystarczające dla pozyskania zaufania Związku Sowieckiego. Taka bowiem koncepcja przyjaźni — oparta jedynie na wzajemnym zaufaniu — zakładać musiałaby konieczność stosowania środków przekonywania, ewentualność powstawania różnic zdań, odmiennych opinii. Coś takiego — jak powiedziała by Stalin — może być dobre w towarzyskim klubie dyskusyjnym, a nie w stosunkach pomiędzy wielkim mocarstwem i sąsiednim stosunkowo niedużym państwem.

Od powstania w Polsce reżymu komunistycznego Związek Sowiecki oparł swoje wpływy i kontrolę nad tym państwem na bardziej pewnych, jak mu się wydaje, podstawach. *Polska gospodarka została całkowicie uzależniona od gospodarki sowieckiej i wątpić należy, czy kiedykolwiek w swej historii była ona tak dalece ujarzmiona przez gospodarkę jednego państwa*. Jest to dzisiaj nie tylko potężny środek kontroli, lecz w jeszcze większym stopniu straszne wprost narzędzie presji — czasem niczym nie osłoniętego szantażu. Już nie raz Moskwa groziła Warszawie wstrzymaniem dostaw surowców, na których bazuje przemysł polski! Następna z kolei podstawą hegemonii sowieckiej nad Polską, jest Armia Czerwona, której siły stacjonują w samej Polsce oraz otaczają kraj ze wszystkich stron. Jak wykazały wypadki w 1956 roku oraz najświeższe z 1968 roku, Moskwa nie zawaha się posługiwać armią w celach szantażu politycznego wobec „bratniego kraju”. *I wreszcie, jeśli można tak powiedzieć, najważniejszym na co dzień, środkiem panowania sowieckiego nad Polską jest UBE oraz odrębny system „wtyczek” sowieckich*. Przy ich pomocy Kreml ujawnia zarzewie oporu, przejawy samodzielnego myślenia przywódców i działaczy, próby poszukiwania własnej polityki, samodzielnych rozwiązań. Wykorzystując UBE i „wtyczki” Kreml toruje kariery ludziom sobie powolnym i łamie w sposób bezwzględny kariery osób nieprawomyślnych. *Divide et impera* na skalę, o jakiej nie śniło się nawet Machiavellemu...

Historia mówi, iż Związek Sowiecki idzie niekiedy na pewne ustępstwa wobec państw satelickich, czasem czuje się zmuszony

tolerować niektóre odstępstwa natury ideologicznej (np. indywidualna gospodarka chłopska w Polsce), albo i politycznej (np. rumuńska polityka zagraniczna). Istnieje jednak pewna dająca się uchwycić granica, której przekroczenia żaden przywódca sowiecki nigdy nie tolerował. *Jest nią właśnie system „wtyczek” sowieckiej służby bezpieczeństwa — każda próba podważenia tego systemu wywołuje gwałtowne reakcje przywódców sowieckich.* Stalin obrzucił marszałka Tito anatema i wiedział dlaczego, Jugosłowianie bowiem swoją walkę o zachowanie suwerenności rozpoczęli od bezwzględnej rozprawy z „wtyczkami” sowieckimi. Podobnie postąpił Enver Hodża w Albanii, który dokonał tego dzieła przy walnej pomocy Chińczyków. Gdyby Jugosławia i Albania graniczyły ze Związkiem Sowieckim, usunięcie „wtyczek” nie uszłoby im bezkarnie. Wysoką cenę krwi zapłacili za taką próbę Węgrzy w 1956 roku, a niewiele brakowało, by dramat powtórzył się w Polsce. Na marginesie dodajmy, o czym mało się na ogół wie, iż jedną z głównych przyczyn interwencji w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku, był strach Moskwy wywołany gwałtownym i masowym usuwaniem z różnych instytucji „wtyczek” sowieckich...

Reakcje sowieckie uwięzione były zawsze powodzeniem (poza Jugosławią, Albanią no i Chinami) nie tylko dlatego, ponieważ Moskwa posiada miażdżącą przewagę militarną, ale również dlatego, a może nawet głównie, ponieważ masowe ruchy oporu przeciwko hegemonii sowieckiej wybuchały, jak dotąd, w pojedynczych krajach satelickich. *Może nadejść dzień, kiedy jednocześnie — w Polsce i w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Bułgarii — wybuchnie płomień buntu, przed którym bezsilne okażą się sowieckie garnizony i wszystkie służby bezpieczeństwa.*

Romuald BARWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Leniniana

Genealogia Lenina

Późną jesienią 1964 roku Moskwa była rozpolitykowana. Było to tuż po upadku Chruszczowa i objęciu rządów przez Breżniewa i Kossygina, którzy stanowili dla społeczeństwa rosyjskiego „białą kartę”. Nadzieje spletały się ze złymi przeczuciami, a wszystko to było oparte na subiektywnych, kruchych kalkulacjach, które dopiero po upływie roku-dwóch miały nabrać istotniejszego charakteru.

Mimo, iż zamiary nowego kierownictwa były przedmiotem nieustających domysłów, sprawa niezwyklego odkrycia, dokonanego przez Mariettę Szaginian, była na ustach wszystkich i zdawała się nawet przesłaniać sprawy istotniejsze. O tym odkryciu słyszałem z wielu ust. Zależnie od wiedzy, wieku, intelektu, przedmiot był lepiej lub gorzej zdetalizowany, wnikliwiej lub powierzchowniej oświetlony, samo jednak meritum we wszystkich wersjach wyglądało podobnie.

Marietta Szaginian to rosyjska Ormianka, dziennikarka, pisząca przez dziesiątki lat reportaże w centralnej prasie sowieckiej. Nie pozbawiona wigoru i zadziorności, *dważy ordienonosnaja i triždy sumaszedzaja* — jak ją od lat nazywano — w jakiś sposób uniknęła — bo i to się zdarzało — „wykończenia” w latach trzydziestych, i na progu lat sześćdziesiątych przeszła na emeryturę.

Bodajże Isaak Babel kiedyś zauważył, że w Rosji wysłużeni pułkownicy rozpoczynają karierę historyków. Szaginian podobnie, jak wyżsi oficerowie sowieccy, po przejściu „na rentę” zajęła się historią. O wyborze tematu badań zdecydowały chyba jakieś rodzinne powiązania: Szaginian zajęła się początkami legendarnych Ogólnorosyjskich Targów Przemysłowo-Handlowych w Niżnim Nowgorodzie, sięgającymi I połowy XIX wieku.

Szaginian skorzystała z bogatego, dotychczas bodajże nie opracowanego materiału, znajdującego się w Leningradzie, w tamtejszym Państwowym Archiwum Historycznym. Pracowała starannie i — jak się niebawem okaże — skrupulatnie porównywała zdobywane materiały, nawet zdawałoby się niezbyt istotne. Gdy sporządzała więc listę członków komitetu organizacyjnego pierwszych targów, uwagę jej zwróciło to, że w pewnym momencie zniknął jej członek tego komitetu, nazwiskiem BŁANK a imieniem Sender, a na jego miejscu pojawił się Aleksander BŁANK. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by zrozumieć, że żydowski kupiec lub przemysłowiec zmienił imię, co prawdopodobnie, szczególnie w tym czasie łączyło się z przyjęciem chrztu.

Badaczka zainteresowała się bliżej metamorfozą pana Błanka. Okazuje się, że był on kupcem i lekarzem w głębi Rosji, w gubernialnym mieście Symbirsk. Tu jednak skojarzenia okazały się zaskakujące, ba, zaczęły nabierać politycznego charakteru. Przedwojenny Symbirsk, nazywa się obecnie Uljanowski i jest sowiecką Mekką, tam bowiem urodził się Lenin. A kupiec Błank mógł mieć coś wspólnego z wodzem międzynarodowego rewolucyjnego proletariatu, albowiem matka Lenina była z domu BŁANK a jej ojcu, jak wiadomo każdemu sowieckiemu dziecku, było na imię Aleksander, Maria Aleksandrowna!

Początkowe przypuszczenie, w miarę dalszych badań nabierało charakteru pewnika: Matka Lenina, Maria Aleksandrowna Błank, była urodzoną w 1835 roku w Symbirsku Żydówką, która przeszła na prawosławie już we względnie dojrzałym wieku, krótko przed wyjściem za mąż za nauczyciela Ilję Nikołajewicza Uljanowa.

Animowana najlepszą myślą, przypuszczając, że w ten sposób przyczyni się do przełamania administracyjnego antysemityzmu sowieckiego, Szaginian postanowiła latem 1964 roku opublikować znalezione dokumenty. Redakcja miesięcznika *Woprosy Istorii* podzielała — ponoć jednomyślnie — pogląd Szaginian. Postanowiono opublikować dokumenty szybko, w jednym z jesiennych numerów miesięcznika, jeszcze w tymże 1964 roku. O ostatecznym jednak składzie numeru decyduje cenzura. Cenzor przeczytawszy złożone dokumenty ze wstępem pióra Marietty Szaginian, zdał sobie sprawę, że rzecz przekracza zakres jego kompetencji i zwrócił się do swych przełożonych. Ci orzekli podobnie i sprawa szybko dostała się na porządek dzienny Biura Politycznego KC Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, zasiadającego jeszcze pod przewodnictwem Chruszczowa. Trafiła na równi z problemami międzynarodowymi i sytuacją w rolnictwie.

Ech, można sobie wyobrazić, że nie po raz ostatni i nie pierwszy, członkowie gromadnego gremium po cichu żalowali, że minęły dawne dobre czasy. Bo za Stalina w takiej sytuacji rozstrzelano by Szaginian, kolegium redakcyjne miesięcznika, pracowników archiwum oraz cenzorów, następnie rozstrzelano by tych, którzy rozstrzelali i w ten sposób sprawa znalazłaby względnie łatwe rozwiązanie.

Ta droga mimo wszystko była niedostępna. Nie oznaczało to jednak, by Biuro Polityczne miało spełnić pragnienia autorki i wyrazić zgodę na publikację dokumentów o niearyjskim pochodzeniu matki Lenina. Nie znamy istotnych motywów decyzji. Można jednak przypuszczać, że niezależnie od tego, czy decydujący byli rosyjskimi szowinistami czy nie, z tytułu swego stanowiska w systemie władzy podjęli taką decyzję, bo tylko taką podjąć mogli. Rzecz w tym, że w odczuciach przeciętnego Rosjanina, komunisty lub nie, rewolucja jest ciągle czymś dwuznacznym. Niby jest stałym i największym powodem dumy narodowej, ale wszyscy zdają sobie sprawę z jakimi spustoszeniami materialnymi i moralnymi była związana, z jakim upustem krwi i zdżuczeniem. Co prawda rewolucja stworzyła bazę pod międzynarodową rolę imperium rosyjskiego, ale przecież dokonali jej „inorodcy”: Żydzi, Polacy, Łotysze, obalając najpierw rosyjskiego cara a później rosyjski rząd tymczasowy. Co prawda nazwiska Trockiego, Kamieniewa, Czcheidze, itd. okryte są anatema, ale w literaturze sowieckiej utrwalił się obraz komisarza Kogana (Bagrickij) czy komisarza Lewinsona (Fadiejew), wprowadzającego elementy ładu do zanar-chizowanego rosyjskiego oddziału wojskowego. Przykłady można mnożyć. Nierosyjski skład pierwszej rady Komisarzy Ludowych musi być w odczuciach Rosjanina czymś, podobnie drastycznym, jak w historii Rosji wcześniejszej jest stworzenie pierwocin państwa rosyjskiego przez skandynawskich Wikingów-Waregów.

I teraz miałyby okazać się, że nawet Lenin miał skazę w pochodzeniu, a przymiotnik „genialny”, używany każdorazowo przy wymienianiu jego nazwiska, miałby być dziedzictwem przysłówowej żydowskiej „głowy”? Oczywiście, nazwisko Błank nie jest rosyjskie. W literaturze czyniono sugestie, że jest ono niemieckiego pochodzenia, co mimo wszystko było zabiegiem nobilitującym. (Już w 1970 roku na rocznicowej wystawie w Stockholmie wynajdywano Leninowi szwedzkie koligacje!) Ale żeby matka Lenina była po prostu Żydówką!

Nie wierząc archiwom państwowym KC zażądało przede wszystkim wyjaśnień z archiwum prawosławnej kurii. Szybko otrzymano zestaw dokumentów potwierdzający chrzest dotychczasowego wyznawcy mosaizmu Sendera Błanka. Jako pikantne uzupełnienie przedstawiono list miejscowego duchownego z tych czasów, który pisał, iż Błank tak cieszył się iż wraz ze chrztem przestanie być obiektem dyskryminacji iż zwołał gości na potężną popijawę, w wyniku której — tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — pół miasta nie spłonęło.

Ale wróćmy do wydarzeń na sowieckim szczycie: Decyzja KC była odmowna. Jej uzasadnienie było dziełem ówczesnego sekretarza KC do spraw ideologicznych, Iljiczowa. Brzmiało ono mniej więcej tak: Lenin nigdy nie pisał o swym żydowskim pochodzeniu. Jeśli tak, to dlatego, iż uważał, że nie należy tego robić. A wola Lenina była, jest i będzie dla nas święta!

A dyrektorowi sowieckich archiwów, byłemu generałowi bezpieczeństwa Biełowowi ktoś właściwy powiedział: *A u was, towa-*

riszcz Bietow, kakoj to bezporiadok w archiwach tworitsia! To musiało doprowadzić dygnitarza do stanu wrzenia i „wzmózonej czujności”. Natychmiast posłano do leningradzkiego archiwum komisję z zadaniem zaprowadzenia porządku. Na próżno pracownicy archiwum dowodzili, że nie oni układali przepisy, w myśl których dokumenty sprzed lat stu udostępnia się badaczom względnie łatwo, że nikt nie był w stanie przewidzieć, iż w prowincjonalnych szpargałach sprzed wieku tkwią aktualne tajemnice państwowe. Komisja stwierdziła, że w Państwowym Archiwum Historycznym w Leningradzie panuje niedopuszczalny liberalizm. Po to by liberalizm zniszczyć podjęto decyzję zwolnienia z pracy kierowniczki działu udostępniania, tow. Metamedowej. A po to by nie padły oskarżenia o antysemityzm, postanowiono również usunąć z pracy tow. Pawłową.



Wiadomości o tych wszystkich wydarzeniach rozeszły się po Moskwie mniej-więcej w czasie gdy upadł Chruszczow. Komentarze łączyły bieg sprawy z pierwszymi posunięciami nowego kierownictwa. Ekipa Breżniewa-Kosygina czuła się bowiem zmuszona do poczynienia początkowo pewnych kroków, mających jeśli nie wzbudzić sympatię to rozbroić nieufność kół intelektualnych. Chruszczowa w tych kołach nie lubiano, zdawano sobie jednak sprawę z tego, że za jego rządów ludzie wyszli z więzień i z jego roli na XX zjeździe.

Nowe kierownictwo poświęciło dwie osoby: usunięto z Biura Politycznego, niedługo później zmarłego, Froła Kozłowa, za czasów Stalina I sekretarza w Leningradzie (po Żdanowie), który na tym stanowisku zostawił mnóstwo krwawych śladów i powszechną nienawiść. Usunięto również z sekretariatu Iljiczowa — w Moskwie dobrze, bardzo dobrze pamiętano jego artykuły, gdy za Stalina był naczelnym redaktorem *Prawdy*¹.

1. Zbyt wielkiej krzywdy Iljiczowi nie zamierzano wyrządzić. Ponieważ nosił tytuł członka Akademii Nauk ZSSR, nadawany za Stalina wszystkim naczelnym *Prawdy*, mianowano go dyrektorem Instytutu Filozofii Akademii Nauk. Wbrew pozorom, jest to stanowisko, dające duże możliwości wpływania na życie polityczne, drogą uruchamiania różnych nacisków ideologicznych. Pracownicy tej instytucji wykazali jednak dość dużo charakteru, a moment też temu sprzyjał: odmówili poporządkowania się decyzji. KC decyzję swą anulował, Iljiczow został wiceministrem spraw zagranicznych.

Zaproszono również Szaginian do KC i wyjaśniono jej, że co prawda decyzja była słuszna, ale dotyczyła tylko publikowania dokumentów, które wywołałyby nadmierną wrzawę, zakaz natomiast nie będzie obejmował ujawnienia faktu w pracy monograficznej. Uradowana autorka, udzieliła nawet w 1965 roku wywiadu *Litieraturnej Gazecie* mówiąc, że aczkolwiek ostatnio miała duże zmartwienia, ale niedługo ukaze się jej rewelacyjna monografia. Nie ukazała się.

W ramach niejawnego życia politycznego plotka odgrywa o wiele istotniejszą rolę, zarówno informacyjną, jak i dezinformacyjną, niż w państwach demokratycznych. Plotka była powszechna, lecz to wcale nie oznaczało że jest zasadna. Chciałem ją sprawdzić. Spośród wielu ludzi, do których mogłem się zwrócić, postanowiłem zapytać nieżyjącego już akademika X. Na pozór ideologicznie drętwy, niewykształcony, był od dawna pośmiewiskiem młodych asystentów. Z drugiej strony był osobiście uczciwy, co uwiarygodniało się w 1937 roku i w głębi duszy krytyczny. Często i dość szczerze rozmawialiśmy, choć dostosowanie się do systemu pojęć dyskutanta przychodziło mi z trudem. Zagadnąłem go kiedyś znienacka: „Gennadij Wasiljewicz! Ile jest prawdy, a ile nie, w tym wszystkim co się na mieście mówi o Szaginian i jej odkryciu?”

Gennadij Wasiljewicz poczuł się prawdopodobnie jak ten żydowski buchalter, którego rabin-turysta z Ameryki zapytał, czy rzeczywiście krowa w Związku Sowieckim kosztuje 20 rubli. Nie chcąc skłamać a bojąc się mówić prawdę, buchalter znalazł wyjście: „Rebe, po co rebemu od razu krowa? Niech lepiej rebe dopłaci jeszcze dziesięć rubli i kupi sobie dobrą gęś!”

W każdym bądź razie otrzymałem odpowiedź nienaganną, z tego punktu widzenia. „Jakiegoż to odkrycia Szaginian dokonała? Wielu z nas o tym wiedziało od dawna!”

Marcin WYZIEMBŁO

“Kak pachniet Rassijej”

UROCZYSTOŚCI LENINOWSKIE W PRL

9-4-70

Warszawa — Zakończenie ogólnowojskowej sesji leninowskiej, zorganizowanej przez Wojskową Akademię Polityczną im. Dzierżyńskiego, Akademię Sztabu Gen., Wojskową Akademię Techniczną oraz Wojskowy Instytut Historyczny.

— Sesja Naukowa w Pałacu Staszica z udziałem przedstawicieli nauki oraz działaczy politycznych i gospodarczych.

Lublin — Dwudniowa konferencja naukowo teoretyczna, poświęcona Leninowi. Wśród 400 uczestników, oprócz miejscowych Polaków, były delegacje z republik Białoruskiej i Ukrainskiej oraz ambasador sowiecki.

10-4-70

Warszawa — NK ZSL rozpoczął seminarium; obecny amb. sow. A. Aristow.

— Dwudniowa sesja leninowska org. przez Szkołę Główną Planowania i Statystyki.

Wrocław — Dwudniowa sesja naukowa Uniw. Wrocławskiego połączona z wystawą dzieł Lenina w obcych przekładach.

Toruń — Trzydniowa sesja naukowa Uniw. im. M. Kopernika, org. przez ZMS na temat „Leninowska koncepcja państwa socjalistycznego”. Obecny wicekonsul sow. Al. Kuzniecowa.

Katowice — Sesja naukowa z udziałem 150 działaczy politycznych i pracowników naukowych.

— Wystawa „Związek Radziecki - Polska — jedność, braterstwo, współpraca”. Obecny członek zarządu Tow. Przyjaźni Radziecko-Polskiej Anatolij Obrosow (Moskwa).

— Śląski Instytut Naukowo-Badawczy organizuje sesję naukową poświęconą dorobkowi Lenina w zakresie tematyki ustrojowej.

Lublin — Podpisanie umowy o wymianie przygranicznej i urzędzeniu wspólnych obchodów leninowskich.

Kraków — Seminarium naukowe poświęcone poglądom Lenina na kwestię chłopską i problematykę agrarną.

11-4-70

Rzeszów — Wystawa związana z leninowskim jubileuszem.

Woj. Katowickie — zakończenie 8-dniowego festiwalu pieśni zaangażowanej, poświęconej stuleciu urodzin Lenina — udział 60 zespołów i 25 solistów.

12-4-70

— Dzień powszechnego czynu młodzieży — „Leninowski subotnik”.

13-4-70

Warszawa — Centralna leninowska sesja naukowa organizowana przez P.A.N., Centralną Szkołę Partyjną przy KC PZPR, Uniwersytet Warszawski i Zakład Historii Partii. Udział 500 naukowców.

15-4-70

Koszalin — Eliminacja teatrów amatorskich, eliminacja leninowskiego konkursu recytatorskiego.

16-4-70

Łódź — Dwudniowa sesja naukowa organizowana przez naukowców Uniw. Łódzkiego.

Kraków — Wystawa „Nowa Huta i Huta im. Lenina wczoraj, dziś i jutro”.

Warszawa — Uroczysty wieczór w Domu Kultury Radzieckiej (wspomnienia o Leninie i filmy o tematyce leninowskiej).

17-4-70

Poronin — Finał ogólnopolskiej akcji harcerek.

Warszawa — Rozpoczęcie sesji leninowskiej Instytutu Filozofii Uniw. Warszawskiego.

18-4-70

Warszawa — Otwarcie wystawy „Lenin, Polska, współczesność”; obecny amb. A. Aristow.

— Centralna Akademia w Teatrze Wielkim.

Dębica (woj. Rzeszowskie) — Uroczystości leninowskie w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, wręczenie sztandaru Zakładowemu ZMS, dekoracje odznaką im. Janka Krasickiego, wiec załogi, ogłoszenie wyników realizacji zobowiązań przyjętych celem uczczenia rocznicy leninowskiej.

Moskwa — „Dzień polski” na wystawie książek pod hasłem „Lenin i rewolucyjne przekształcanie świata”. Pawilon polski wystawia 800 książek o tematyce leninowskiej.

19-4-70

Biała Podlaska — wspólny sympozjon młodzieży polskiej i sowieckiej.

Poronin — Zaciągnięcie wart leninowskich przed pomnikiem Lenina przez robotników, wojsko i młodzież. Delegacje z całej Polski.

20-4-70

Kraków — Otwarcie nowej wystawy leninowskiej, wiec mieszkańców Krakowa przy wmurowywaniu kamienia węgielnego pod pomnik Lenina w Nowej Hucie.

— Uroczysta akademia. Obecny chargé d'affaires sow. B. Wereszczagin.

Rzeszów — Dziennikarskie seminarium leninowskie.

Łódź — Akademia w Teatrze Wielkim.

Gdańsk — Sesja rocznicowa.

Koszalin — Wizyta przyjaźni delegacji działaczy partyjnych z Połtawy w związku z obchodami leninowskimi.

Zielona Góra — KW PZPR organizuje konferencję teoretyczną pod hasłem „Zagadnienia leninowskiej doktryny ideologicznej i jej nieprzemijające wartości dla teorii i praktyki ruchu robotniczego”.

21-4-70

Warszawa — Masówki w FSO na Zeraniu i podjęcie czynu zespołowego. Zaciągnięcie wart produkcyjnych w fabrykach.

Katowice — Spotkanie aktywu partyjnego i egzekutywy KW Partii. Referat E. Gierka o życiu i działalności Lenina. Otwarcie wystawy literatury leninowskiej.

Poznań — Uroczysta akademia w auli Uniw. Poznańskiego.

Opole — Uroczysta akademia.

Szczecin — Zaciągnięcie wart leninowskich.

Srem — Budowniczowie i pracownicy odlewni żeliwa podjęli zobowiązania produkcyjne.

Kraków — 2-dniowy zlot przodowników wyszkolenia wojskowego.

Wrocław — Akademia w Teatrze Polskim.

Szczecin — Zaciągnięcie wart leninowskich przez stoczniowców i marynarzy, przyjęcie zobowiązań produkcyjnych czasu remontu z 22 dni na 10 dni, ukończenie 8-dniowej pracy bez przerwy.

Kielce — Start sztafety młodzieżowej do Poronina celem złożenia kwiatów pod pomnikiem Lenina.

22-4-70

Kraków — Krakowscy taternicy organizują masową wspinaczkę na Rysy celem zapalania tam znicza ku czci Lenina.

Lublin — Rozpalenie 100 ognisk na terenie lubelszczyzny i rejonu Brześcia celem uczczenia rocznicy leninowskiej.

Warszawa — Sztab Generalny zorganizował w Teatrze Polskim uroczysty wieczór. Po przemówieniu gen. Chochy wystawiono sztukę Szatrowa „Bolszewicy”.

— Uroczyste przyjęcie w ambasadzie sowieckiej.

Lublin — Akademia wojewódzka.

Rzeszów — Plenum woj. komitetu PSL z referatem „Idee Lenina we Współczesnym świecie”.

Kielce — W woj. zarządzie TPPR wręczono złote odznaki za zasługi w krzewieniu przyjaźni polsko-sowieckiej.

Bytom — Wystawa leninowska i dzień pamięci, zorganizowany przez ZMS.

Poznań — Wystawa leninowska. Wystawa „Radzieckie plakaty i polskie medale”.

Bielsk Biala — Sesja na temat „Lenin a sprawa niepodległości Polski”.

Warszawa — W Lidze Kobiet p. Melania Mroczek wygłosiła referat na temat „Poglądy Lenina na kwestię kobiecą”.
Pustków na Rzeszowszczyźnie — Uroczysta konferencja samorządu robotniczego.
Woj. Lubelskie — 200 ognisk przyjaźni po obu stronach Bugu. Inicjatywa harcerzy.

23-4-70

Kraków i Nowa Huta — Centralny przegląd 18 teatrów amatorskich, uznanych za najlepsze na festiwalu ku czci Lenina.

Moskwa — Delegacja PZPR przekazała KC KPZS popiersie Lenina dłuta Zofii Wolskiej.

Siemianowice — Ogólnopolskie seminarium na temat, „Lenin a nauki społeczne”. Bierze udział 2000 osób. Studenci z całej Polski przygotowali 40 referatów. Jury przewodniczy docent dr Jarosław Ładosz.

25-4-70

W Krakowie odbyło się sympozjum sędziów wojskowych, poświęcone Leninowi. Tematem była: praworządność w pismach Lenina.

28-4-70

Warszawa — Sesja naukowa poświęcona 100-rocznicy urodzin Lenina, zorganizowana przez Komitet Nauk Ekonomicznych P.A.N.

Radom — Dla uczczenia 100-lecia urodzin Lenina pracownicy kombinatu „Radoskór” wyprodukowali ponad plan 2.800 par obuwia.

— Załoga Radomskiej Wytwórni Telefonów wykona do końca roku ponad plan 2.000 aparatów telefonicznych.

30-4-70

— IX rajd samolotowy dziennikarzy i pilotów odbywa się w tym roku pod hasłem 100-lecia urodzin Lenina.

2-5-70

Lublin — I festiwal teatrów studenckich krajów socjalistycznych. Jeden z dni poświęcony Leninowi, wszystkie teatry przedstawiają specjalne programy.

Ponadto:

— Delegat PRL w ONZ w New Yorku, E. Kułaga, wygłosił przemówienie o stosunku Lenina do Polski.

— Zakończono harcerski turniej „Lenin - Kraj Rad”, zorganizowany przez ZHP i Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyzszego.

— Powszechny czyn społeczny harcerstwa: Zbiórki zastępów i drużyn po lekcjach. Zbieranie złomu, porządkowanie terenu, sadzenie drzew i krzewów.

— Zakłady Państw. Wyd. Szkolnych wydają W. Głębockiego „Polscy przyjaciele Lenina”. ■ W kwietniu 1970 Wydawnictwo Literackie wydało album „Lenin w Krakowie” — 439 zdjęć. ■ Książka i Wiedza — wydała tom wspomnień Polaków o Leninie. ■ Wprowadzono do obiegu 3 znaczki pocztowe z podobizną Lenina. ■ Odbędzie się 1500 koncertów i audycji muzycznych poświęconych Leninowi. ■ Rudnicki okręg węglowy ogłasza dni kultury radzieckiej w ramach obchodów leninowskich. ■ W Warszawie otwarta zostanie wystawa reprodukcji malarskich, książek i płyt poświęconych Leninowi. ■ Biuro podróży ORBIS wydaje foldery po rosyjsku pt. „Lenin w Polsce” i „Szlakiem Lenina” oraz organizuje wycieczki trasami Lenina w Polsce (6, 9 i 12 dni). Biuro Podróży ORBIS łącznie z Biurem Podróży GROMADA organizuje manifestacje w Poroninie. Ponadto ORBIS organizuje pociąg-pielgrzymkę do Lipska, gdzie wydano pierwszy numer leninowskiej

Iskry oraz kolejową pielgrzymkę do Berlina, Pragi i Budapesztu celem poznania pamiątek leninowskich. Organizuje ponadto wycieczki do Leningradu, planuje spływ Wołgą do Kazania, Uljanowska, Wołgogradu i Rostowa, jak również masowe wycieczki z ZSSR do Huty im. Lenina w Nowej Hucie oraz spotkania z załogą Nowej Huty.



Podając powyżej — na pewno niekompletny — wykaz kwietniowych uroczystości leninowskich w PRL nie możemy się powstrzymać, żeby nie zakończyć go anegdotką kursującą ostatnio w Kraju...

Rok 1912 — Koło Poronina, nad rzeką, siedzi góral Jan Ciaptak-Gąsienica i łowi ryby. Nagle z lasu wychodzi jakiś nieznany pan z bródką, zbliża się do niego, staje, patrzy i pyta:

— Powiedźcie mi gospodarzu, gdzie tu droga do Poronina?

Gąsienica milczy, ale gdy nieznajomy po raz trzeci do niego zagadał, krzyknął:

— A idźże do diabła, nie widzisz że łowią ryby! One hałasu nie lubią, już mi spłoszyły...

Rok 1913 — Koło Poronina nad rzeką siedzi góral Jan Ciaptak-Gąsienica i łowi ryby. Nagle podchodzi do niego nieznajomy pan z bródką i mówi:

— A co wy tam robicie, gospodarzu? Rybki łowicie? Chwytają? Co?

Gąsienica odwrócił się wściekły:

— Co, do cholery! Wynos mi się stąd! Już w zeszłym roku spłoszyły mi ryby i znowu zaczynasz! Bo wezmę kija...

Rok 1970 — W Warszawie, w wydawnictwie Książka i Wiedza ukazały się pamiątniki Jana Ciaptak-Gąsienicy z Poronina pt.: „Moje rozmowy z Leninem”. W dwóch tomach...

oraz zacytować okolicznościowe wiersze z prasy sowieckiej:

W TATRACH

*Pamiętam: cienie biegły ukosem,
 spłoszony przez nas zerwał się zając.
 Mówiła Krupka: „Tu pachnie Rosją!”
 Biały Dunajec! Biały Dunajec!*

*Serce się ścisza i w piersiach skacze.
 Z trwogą w te ściany drewniane wchodzi.
 Tędy chadzali często na spacer
 po białej drodze, po białej drodze.*

*Milczymy wszyscy. Już nie potrzeba
 przysięg ni wyznań ni słów skrzydlatych.
 Wierność przysięgły szczyty podniebne —
 błękitne Tatry, błękitne Tatry!*

Leonid CHAUSTOW

BALLADA O DRODZE DO ZAKOPANEGO

.....
 Mieszkał przez jakiś czas w Paryżu,
 rodziła się epoka nowa.
 Więc, by do Pitra się przybliżyć,
 z rodziną przybył do Krakowa.

I nikt nie wyrwie z serc Polaków
 wspomnień o tamtym dawnym gościu;
 pilnie ich strzeże stary Kraków,
 z wdzięcznością, dumą i radością.

.....
 Jak wtedy żył i co dzień czynił,
 głoszą ówczesne opowieści
 i dom góralski w Poroninie,
 gdzie teraz muzeum się mieści.

Wiedzą pionierzy w Nowym Targu —
 tam kiedyś straszyl gmach więzienny...
 A teraz pieśń na młodych wargach,
 a teraz złoty żar jesieni!

.....
 Iljicz rodzinny kraj wymierzał,
 z przyszłości odgadywał wszystko...
 Wódz wiedział, a nie tylko wierzył,
 że Rewolucja jest już blisko!

On nie na próżno ją przyzywał —
 jaśniej stawalo się z dniem każdym,
 że wolność Polski niemożliwa,
 dopóki Rosja jest pod jarzmem!

Świt wszędzie w Moskwie i w Warszawie,
 upadnie przemoc, zniknie ciemność...
 Stoję tu sam — królewski Wawel
 na wzgórzu wznosi się nade mną.

Spoglądam w przeszłość, mgłą osnutą,
 nad Wisłą, jakbym stał nad Newą...
 Nad kominami Nowej Huty
 dymem roboczy dzień powiewa.

Ten jasny dzień, promienny, nowy,
 co się jak czyste złoto mieni,
 jak na tablicy pamiątkowej
 głosi, że tutaj mieszkał Lenin.

Nad nim wolności śpiew ulatał
 i bóg ostatni szedł już za nim...
 Tu Lenin mieszkał w ciężkich latach!
 I tu na wieki pozostanie!

Prorocza wizja z dni przeszłości
 rzeczywistością dziś się stała:
 Gdy Rosja wstała ku wolności,
 również i Polsce wolność dała.

Bronisław KIEŻUN

(Zwizda, kwiecień, Moskwa)

(Przełożył z rosyjskiego — z obrzydzeniem — Józef Łobodowski)

Sprawy i troski

Dom Polski w Jerozolimie

Trasę Tel-Aviv Jerozolima „szejrut” przebywa w niecałą godzinę. „Szejruty” — siedmioosobowe taksówki prywatne uzupełniają znakomicie izraelską komunikację kolejową, lotniczą i autobusową. Są charakterystycznym fragmentem tutejszego życia publicznego: od chwili ustanowienia Jerozolimy stolicą, wiele instytucji, ministerstw i centrali przeniesiono do Świętego Miasta. Jednocześnie jednak autentyczną metropolią kraju pozostał nadal Tel-Aviv. Nawet premier Golda Meir urzęduje w nowym, jerozolimskim budynku Knesset, ale prywatnie mieszka w podtelawiskim osiedlu Ram/Najal. Do pracy jeździ podobno helikopterem. Na trasie Tel-Aviv Jerozolima - Haifa trwa nieustanny ruch przekształcający te trzy ośrodki w coś w rodzaju polskiego Trójmiasta. Jednym z pierwszych posunięć komunalnych po Wojnie Sześciodniowej było wybudowanie nowej szosy, łączącej Tel-Aviv z Jerozolimą. Niekiedy szosa przecina dawne punkty graniczne, wiję się serpentynami, przebiega nad niebezpiecznymi stokami, zakręca setkami wiraży, przebija kamienne bloki, skręca obok Łatrun — tajemniczej posiadłości zakonu, którego reguła zabrania mówić, a pozwala produkować wyśmienite wino.

Kamienne zbocza górskie zostały zalesione w ramach akcji prowadzonej przez „Keren Kajemet”. Całymi kilometrami ciągnie się zielony pas lasów, gdzie dosłownie każdy krzaczek i każde drzewko wymagało oczyszczenia ziemi z kamienia, nawodnienia, przesadzenia, okopania. Później zaczynają się gaje oliwne.

Tej wspaniałej, ciepłej i słonecznej izraelskiej zimy jechałem do Jerozolimy żeby odwiedzić „Dom Polski” Sióstr Elżbietanek. W „szejrucie” siedzieliśmy w następującym składzie: turystka z USA, młody żołnierz-sabra, nowy emigrant z Francji, ortodoksyjny Żyd noszący chałat, „kepele”, czarny kapelusz, z długimi kręconymi pejsami i z białymi sznurkami „cyces” wyglądającymi spod płaszcza, Arab w białej chuście wykończonyj supełkami i ochotniczka ze Szwecji, która przyjechała pracować w kibucu.

„Szejrut” stanowił swoisty przekrój narodowościowo-religijny społeczeństwa izraelskiego, z całą jego barwnością, z równorodnością kultur i tradycji, z bagażem problemów, których *de facto* niesposób rozwiązać w ciągu Sześciu Dni. Na ile miejsca w tej skomplikowanej rzeczywistości może liczyć skromny Dom Sióstr Elżbietanek, który — nie dość, że prezentuje całkiem inną strukturę duchową i religijną, to jeszcze nosi w nazwie słowo „polski”?

Tymczasem w taksówce rozgorzała zażarta dyskusja, dotycząca sobotnich programów telewizyjnych — cały ten problem, który niedawno wzburzył „do białości” opinię publiczną w Izraelu, jest także trudny do zrozumienia dla ludzi przywykłych od pokoleń traktować rozdział Kościoła od Państwa jako coś zupełnie oczywistego. Ortodoksyjni Żydzi, przestrzegający najściślej Zakonu, stanowią zapewne nie więcej niż 10 % społeczeństwa, jednakże wywierają niewątpliwy terror w stosunku do pozostałej ludności. Skrajni ortodoksi z „Neturej Karta” włamali się niedawno do mieszkania dyrektora jerozolimskiego szpitala, który to dyrektor zezwalał na przeprowadzanie sekcji zwłok. Interpelacja partii religijnej wywołała istną „burzę w szklance wody” w związku z decyzją nadawania w soboty programów telewizyjnych. Przy okazji ostatnich porozumień koalicyjnych (po wyborach) trzeba było zgodzić się na żądania ortodoksów aby w soboty nie było publicznej komunikacji. Ale przy tym wszystkim Izrael jest przecież rzeczywistością państwem demokratycznym, chuligani z „Neturej Karta” poszli do więzienia, a rządzące partie podstawili (tak się tu przynajmniej uważa) pewnego obywatela, który zażądał od sądu, żeby bronił jego praw do sobotniej telewizji. Na to znów partia religijna podstawiała innego obywatela, który wytoczył sprawę premierowi, jako że taka decyzja uniemożliwia mu ewentualną pracę w Zarządzie Radiofonii, gdyby kiedykolwiek pragnął ją podjąć... Życie polityczne Izraela polega niekiedy na prawdziwym balansowaniu na linie, pod którą znajduje się głęboka przepaść i potrzeba tu przystawienia „żydowskiej głowy” żeby pogodzić ze sobą sprawy najzupełniej nienadające się do pogodzenia. A przecież faktem jest, że w tym samym kraju, w którym mieszkańcy Bnei Brak lub Mea Szarim (telawivska i jerozolimska dzielnice ortodoksyjnych Żydów) zamykają w piątkowe popołudnie wyloty ulic i obrzucają kamieniami przejeżdżające samochody, w pełnym spokoju i z wielkim ceremoniałem odbyły się bożonarodzeniowe obrzędy w Beit Lechem (Betlejem), a w katolickim, arabskim Nazarecie stały na ulicach tradycyjne choinki.

„Dom Polski” Sióstr Elżbietanek znajduje się w żydowskiej części Jerozolimy, na skraju dzielnicy Mea Szarim i tuż obok dawnej granicy jordańskiej.

„W Jeruzalem stanąłem 13 stycznia 1904 o 9 w nocy — pisał Ks. Kanonik Lipowiecki, M. Pinciurek. — Kiedy tylko przybyłem, zaraz doniesiono mi że jest chory A. Butkiewicz z Wilna. Poszedłem chorego odwiedzić w jego miesz-

kaniu... Był to mały sklepik w gruzach jakiegoś zwaliska. W tym ciemnym, grobowym lochu leżał chory na ziemi, na starej zniszczonej rogóżce... Poszedłem do Francuzów w Jerozolimie, potem do Niemców w Tantur, ale nie było miejsca i chory zmarł... W 1904 roku przybył z Ameryki ksiądz Romuald Margott, ale nigdzie nie chcieli go przyjąć i wrócił do USA. Ksiądz dr Trzeciak z Galicji przebywał tu w latach 1904-1905, tułał się tu i ówdzie i nie miał gdzie mieszkać. To mi nasunęło myśl że nie ma komu dbać o Polaków którzy do Jerozolimy przybywają. Pan Jakób Magdarowicz przybył, żeby się modlić przy Grobie Św., ale przyszedł splakany, bo go Turek wyrzucił na ulicę. Panna Czarnecka w 1907 roku wyszła z kościoła po dłuższej modlitwie, ale że nie miała pieniędzy na hotel lub bogate hospicjum, więc po całodziennym tułaczce noc spędziła w piwnicy jakiegoś domu przy ulicy Salwatore...”.

Ksiądz Kanonik M. Pinciurek z Lipowca, pow. zamojskiego ukończył we Włoszech Seminarium Duchowne, po czym udał się zrealizować największe pragnienie: pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Kiedy się znalazł w Jerozolimie postanowił życie poświęcić idei utworzenia „Domu Polskiego”, przeznaczonego dla pielgrzymów-Polaków, którzy faktycznie nie mieli gdzie zanoć, jeśli nie dysponowali odpowiednim zasobem gotówki. Ksiądz Pinciurek napisał list do ówczesnego Arcybiskupa Warszawskiego Popiela — niestety, Arcybiskupstwo pomóc wiele nie mogło. W wysiłkach Kanonika lipowieckiego otuchy dodawało Błogosławieństwo Apostolskie Ojca Świętego, po dziś dzień przechowywane w dokumentach Domu. Po kilkunastu latach, strawionych na organizowaniu zbiórek i datków, tak w kraju jak w Ameryce, ks. Pinciurek napisał i wydał książeczkę do nabożeństwa pt. „Nagroda Wieczna”, zaś pieniądze uzyskane ze sprzedaży przeznaczył na Fundację Schroniska. Z tego czasu zachowała się następująca Deklaracja:

„Ja, niżej podpisany Ksiądz M. Pinciurek Lipowiecki, kapelan polski obrządku łacińskiego, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, zeznając, że jestem właścicielem domu znajdującego się w pobliżu Św. Grobu Chrystusa Pana, w dziale chrześcijańskim Ac-bah-el Batticha. Dom został za 153.000 piastów od pp. Franciszka, Sylwestra, Grzegorza E-Bała zakupiony... Wspomniany dom ma być przytułkiem, gdzie będą przyjmowani niezmężni pielgrzymi katolicy pochodzenia polskiego i gdzie mają oni prawo pozostać bezpłatnie 15 dni a wzamian jedynie modlić się za fundatorów tak żyjących jak i umarłych”.

Na Fundusz Schroniska złożyła się Fundacja ks. Pinciurka oraz dary z Kraju i od Polonii Amerykańskiej. Wedle rachunków z 14 maja 1924 r. 45 miast polskich dało kwotę 6.416.881 M.P. a Polonia sumę 5.319 dolarów i 50 centów. Ksiądz Kanonik Lipowiecki zastrzegł sobie w akcie darowizny prawo do jednego pokroju i zmarł w 69 roku życia, a pochowany został na cmentarzu rzymsko-katolickim na Syjonie.

Tak powstał tzw. Stary Dom Polski, istniejący po dziś dzień. W 1931 r. przybyły tu na zlecenie ówczesnego Kardynała Hlonda trzy Siostry Elżbietanki: Matka Innocenta, siostry Augustyna i Blanka. Matka Innocenta wyróżniała się szczególnymi talentami

gospodarczymi i organizacyjnymi. Przede wszystkim Siostry uruchomiły i rozbudowały przychodnię lekarską. W 1934 r. założyły w Jerycho pensjonat, aptekę i przychodnię, które działały do 1938 r. Do Jerozolimy napływali pielgrzymi polscy, którzy znajdowali schronienie w małym, kilkupokojowym Starym Domu. Matka Innocenta rzuciła myśl budowy nowego budynku: — ażeby zebrać pieniądze Siostry malowały obrazy, szyły szkaplerzyki i rzeźbiły różańce. Wybuch wojny w 1939 roku generalnie zmienił charakter schroniska i rodzaj pensjonariuszy.



W dziesięciolecie przyjazdu Sióstr, w najtrudniejszym wojennym okresie, dokonano uroczystego otwarcia Nowego Domu Polskiego. W obecności dwustu Polaków-tułaczy ks. Prałat Reginek celebrował uroczystość, a grała polska orkiestra wojskowa. Wybudowanie właśnie w tym czasie nowego Domu było niejako koniecznością, jako że z całej Europy — ba! z całego świata przybywali żołnierze i cywile a na miejscu stacjonowała Brygada Strzelców Karpackich pod dowództwem gen. Kopańskiego. Żołnierze i oficerowie opodatkowali się dobrowolnie na rzecz Domu a płatnicy komendy wojskowej odciągali zadeklarowane sumy przy wypłacie żołdu. Matkę Innocentę, ze względu na jej niespożytą energię w „organizowaniu” pieniędzy żołnierze nazywali żartobliwie nie „Inno-centa”, ale „Ino-funta”. W obu Domach można teraz było rozlokować setki dosłownie pozbawionych Ojczyzny wygnańców, udało się stworzyć ochronkę dla dzieci polskich (czynną do 1948 r.), urządzić tradycyjne imprezy (jak np. wzruszająca „Gwiazdka dla tułaczy” w 1941 r.) i w ogóle — stworzyć autentyczny ośrodek polski. W tej pracy czynny udział brali także ks. Biskup K. Radoński i ks. Kanonik St. Pietruszka-Jabłonowski. Ten ostatni po dziś dzień przebywa w tzw. Starym Domu.

„Pielgrzymie, który pod tym dachem matczyną opiekę znajdziesz, pomnij, że fundamenty Domu tego ofiarnością żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich położono. Pamięci kolegów poległych na polach walki w pustyni zachodniej” —

kamienna tablica na której wyryto kilkaset nazwisk znajduje się na ścianie kaplicy nowego Domu Polskiego. W małej altanie, na godzinę przed dwunastą, w dniu Tysiąclecia Polski Siostry wmurowały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — oraz pozostawioną przez żołnierzy Brygady pamiątkę: białego orła z cementu, z koroną na głowie.

Oba Domy Polskie były nie tylko przytułkiem dla wygnańców. Siostry, które miały przygotowanie pielęgniarskie potrafiły zorganizować opiekę nad rannymi i chorymi, aptekę, przychodnię lekarską, ochronkę dla dzieci. W 1947 r. Matka Innocenta wyjechała do Kraju, tam zmarła, i — jak głosi Kronika — „pochowana została w Ziemi Ojczystej”.



Nowy Dom Polski wybudowany został w jednym z bardziej newralgicznych punktów Jerozolimy — obok przebiegała granica jordańska, przez ulice parokrotnie przetaczały się działania wojenne. Po wojnie 1948 r. i po Wojnie Sześciodniowej Siostry znajdowały swój Dom zniszczony i uszkodzony. Rozbito cysterny, urządzenia kanalizacyjne, uszkodzono przewody elektryczne. Z łazienek wykradziono kafelki, z kaplicy — tabernakulum. Zniszczenia po 1967 r. oceniano na sumę 6 tysięcy funtów (wówczas — 2.000 dolarów). Nie byłaby to może kwota astronomiczna, tylko że Siostry nie dysponowały i nie dysponują absolutnie żadną pomocą finansową — z żadnych źródeł. W 1958 r. przybyły do Jerozolimy siostra Konstantyna i siostra Melchiora. Obie opanowały biegle język hebrajski, a siostra Melchiora zajęła się gospodarstwem.

W sumie, w starym Domu znajdują się trzy Siostry, w nowym — cztery, i dwie w utworzonej dwa lata temu ochronce-sierocińcu. Stary Dom dysponuje 7-8 pokojami, a nowy — 32 w których jest miejsce na ponad 50 pensjonariuszy. Każda ławka, każdy sprzęt, krzesło, stół, łóżko były własnoręcznie odnawiane i reperowane przez gospodynie Domu. Siostry jęły się siekiery i młotka, malowały ściany i drzwi, w razie potrzeby murowały i tynkowały, przesadzały krzewy, pielęgnowały kwiaty i warzywa w swoim ogródku a nawet udało im się założyć maleńką hodowlę kur. Dom sprawia prawdziwie estetyczne wrażenie, pogłębione idealną czystością. W skromnej kaplicy stoją ławki przerobione z wyrzuconych przez jakąś instytucję krzeseł, w świetlicy — tradycyjna choinka zdobiona lampionami i łańcuchami. Dom jest w tej chwili pensjonatem przeznaczonym dla turystów i pielgrzymów, ceny skalkulowano stosunkowo nisko a kuchnia Sióstr ma wyrobioną markę.

Jednakże pokoje świecą pustką. W dniu w którym odwiedziłam hospicjum nie było dosłownie ani jednego pensjonariusza. Rzeczywiście, skąd ich brać? Jakakolwiek turystyka z Polski oczywiście nie istnieje, a liczyć można tylko na wycieczki Polonii Amerykańskiej, Kanadyjskiej czy Australijskiej. Turyści-pielgrzymi z Francji, Niemiec itp. tradycyjnie udają się do pensjonatów prowadzonych przez „swoich”.

Pokoje zajęte są od czasu do czasu przez rozmaite rodziny, ale to jednak nie przynosi dochodu. Siostry niechętnie mówią na ten temat, jednakże już w 1958 r. mieszkało tu ponad sto mieszanych małżeństw, a z niejednymi były później kłopoty, bo nie chcieli się w ogóle wyprowadzić. Obecnie, w związku z nową falą emigracji, zdarza się także, że Siostry przyjmują mieszane małżeństwa i utrzymują je ze swoich skromnych dochodów.

Wydać się, że z bardzo wielu powodów Dom Polski należy rozpropagować wśród turystów-pielgrzymów, wśród całej Polonii. Zasluguje na to zarówno przeszłość Domu, jak i jego teraźniejszość. W jakimś skromnym, maleńkim zakresie Dom mógłby stać się swego rodzaju „ośrodkiem polskości” w skomplikowanej polsko-izraelskiej rzeczywistości, w której

wzajemna niechęć obejmuje niekiedy nie tylko reżymy polityczne ale tradycje, kulturę i historię. Katolicki charakter Domu nie stanowi tu żadnej przeszkody, a rozbudowa ośrodka i napływ turystów byłyby jakąś przeciwwagą dla mostów zerwanych po Wojnie Sześciodniowej, dla mostów budowanych — jak się okazało niesłusznie — w stronę reżymu PRL. Jeżeli w ogóle istnieją jakiekolwiek szanse na normalizację polsko-żydowskich trudnych spraw, to szansa ta dotyczy wyłącznie emigracji, Polonii poza granicami Kraju. Wobec tego z niczego nie wolno tu rezygnować, nawet z małego, lecz istniejącego przecież — Domu Polskiego w Jerozolimie. Dodajmy, że wszystkie inicjatywy turystyczne spotykają się w Izraelu z pełnym poparciem tzw. czynników. Turystyka znajduje się zresztą na pierwszym miejscu w dochodach (nawet przed cytrusami!) a resortem tym kieruje minister Mosze Kol, sam pochodzący z Polski. Co ważniejsze — zarówno ze względu na demokratyczny charakter państwa, jak i w dobrze pojętym własnym interesie — istnieje tu autentyczna swoboda wyznaniowa i niewątpliwa opieka nad wszystkimi miejscami świętymi dla wszystkich religii. Brzmi to może paradoksalnie skoro przypomniemy awantury „Neturej Karta” — lecz zauważmy, że duch religii żydowskiej nie jest agresywny w stosunku do innych wyznań. Nawet mieszkańcom Mea Szarim nie przyszłoby do głowy atakować kościoły katolickie — oni pragną tylko aby żydowskie państwo przestrzegało żydowskich praw, nie wymagając tego oczywiście od katolików lub mahometan. Zakon żydowski nigdy nie usiłował nikogo nawracać na swoją wiarę a ewentualne przejście na judaizm jest w ogóle ogromnie utrudnione. Zakon nie szuka „owieczek”, chce tylko, by Żyd pozostał Żydem. Ewentualne przykłady nietolerancji w stosunku do tzw. mieszaných małżeństw nie wynikają z niechęci do katolików, lecz z lęku o „czystość” żydowskiego partnera małżeństwa. W rzeczywistości nie problemy *sensu stricto* religijne decydują o skomplikowaniu dzisiejszego życia w Izraelu.



SS. Elżbietanki stwierdzają że nie miały żadnych szczególnych „kłopotów” ani dawniej, ani obecnie, pod żydowskim zarządem miasta. W zasadzie władze idą im na rękę — do czego zapewne przyczynia się znakomita znajomość hebrajskiego u tych silnych, odważnych kobiet, które przybyły tu z odległego o tysiące kilometrów Ojczyzny i podlegają Parafii poznańskiej. Ze zrozumiałych powodów nie mówiliśmy o tym, jak na ten szczególny „służbowy wyjazd” patrzyły polskie władze reżymowe — pamiętajmy, że działo się to przed 12 laty. Istnieje jednak pewna dziedzina, która rodzić może sytuacje konfliktowe w samej Jerozolimie. Siostry — zgodnie ze swoim powołaniem — nie robią różnic pomiędzy Żydem czy Arabem. Dwa lata temu zorganizowały wspomnianą wyżej ochronkę dla około 15 sierot arabskich w wieku od 4-13 lat. Trzeba trafiać, że w kanadyjskiej, zdaje się, prasie polonijnej opu-

blikowano artykuł na ten temat, przy czym podkreślono złe warunki bytowe jerozolimskich Arabów itp. Artykuł spotkał się z krytycznym odzewem w Tel-Awivie. Obecnie Siostry chciałyby założyć przychodnię pielęgniarską i otrzymały już zezwolenie od Prymasa. Zdają sobie jednak sprawę, że z przychodni korzystać będą przede wszystkim Arabowie, a nikt nie jest w stanie zagwarantować, iż nie znajdzie się wśród nich terrorysta. Z planów tych przyjdzie więc pewnie niestety zrezygnować. Tym bardziej warto położyć nacisk na rozbudowę ośrodka w innym kierunku: na kontakty z Polonią.

Alina GRABOWSKA

Emigracja do Australii

Australia jest krajem nastawionym na emigrację i bardzo jej zależy na stałym napływie nowych mieszkańców. A że Polacy mają tutaj bardzo dobre imię, więc są też bardzo mile widziani.

Od roku 1947 do roku ubiegłego przyjechało do Australii 84.617 Polaków. Jest to jedna z większych grup narodowościowych.

Formalności emigracyjne trwają do 6 miesięcy. W wypadkach pilnych można je nieco przyspieszyć.

Kandydaci zgłaszać się winni do najbliższej Misji Australijskiej (dyplomatycznej, konsularnej lub imigracyjnej). W braku tych urzędów należy pisać wprost do Departamentu Imigracyjnego w Canberra, ACT, 2600, Australia. (Department of Immigration, Canberra).

Ponieważ polskie władze ludowe nie dopuszczają myśli, że można chcieć się przenieść z socjalistycznej Polski do kapitalistycznej (i demokratycznej) Australii, Polacy nie mogą w zasadzie korzystać z tzw. *assisted passage*, tj. bezpłatnego przejazdu okrętem lub częściej nawet samolotem. (Bezpłatny oznacza, iż płaci się \$ 25). Osoby uprawnione do bezpłatnego przejazdu mogą również po przyjeździe do Australii zamieszkać w tanich mieszkaniach i hotelach dla imigrantów, gdzie korzystają z ulg i opieki nad dziećmi.

Emigranci z Polski potrzebują gwarantów w Australii i to jedynie bliskich krewnych (bliżej niż kuzyn). Wyjątek robiony jest dla narzeczonych.

Gwarant zobowiązuje się dodatkowo do załatwienia pomieszczenia dla sprowadzanej rodziny na przeciąg pierwszych 12 miesięcy ich pobytu, ale to wymaganie jest bardzo teoretyczne. Dla krewnych w ten sposób sprowadzanych nie ma granicy wieku. Są natomiast ostre wymagania zdrowotne (gruźlików się nie wpuszcza) i „dobrego charakteru”, co też prawdopodobnie obejmuje czynną przynależność do Partii.

Polacy, którzy by chcieli wyemigrować do Australii z innych krajów mogą czasami korzystać z bezpłatnego przejazdu, o ile dany kraj ich zamieszkania zawarł z Australią odpowiednią umowę. Wynika z tego wniosek logiczny, iż zawsze lepiej podawać dokumenty z takiego kraju, a więc należy się w nim ulokować przed podaniem dokumentów... Istnieją też rozmaite komitety pomocy uchodźcom w Szwajcarii i Monachium, które są często pomocne przy załatwianiu wiz i bezpłatnych przejazdów do Australii. Przy przejazdach

bezpłatnych obowiązują granice wieku — 50 lat dla małżeństw, 45 lat dla kawalerów, a 35 lat dla kobiet niezamężnych.

Paszport polski — ważny w odniesieniu do terminów i terenów — nie jest konieczny. Władze australijskie gotowe są wydać tymczasowy dokument upoważniający okaziciela do wjazdu do Australii.

O pracę w Australii nie trudno. W chwili obecnej na przykład nie ma żadnego bezrobocia. Byle jaką pracę otrzymać może każdy. Zdarzają się jedynie trudności, gdy imigrant pragnie wykonywać zawód, do którego był kształcony w Europie. Wiele z tych zawodów wymaga rejestracji w Australii. W wielu wypadkach rejestracja wymaga studiów czy dodatkowego stażu. I tak na przykład wymaga stażu, względnie egzaminu, rejestracja w następujących zawodach: medycyna, dentystyka, weterynaria, farmacja, radiologia, pielęgniarstwo, optyka, psychologia, buchalteria dyplomowana, prawo, miernictwo itd.

Architektura i inne zawody inżynierskie też podlegają rejestracji w formie przyjęcia do organizacji zawodowej, ale dyplomy polskie są bardzo cenione, nie ma więc trudności.

Inne zawody nie wymagają żadnych stażów lub egzaminów. Należą do nich praca naukowo — badawcza, programowanie komputerów, różne działy technologii i produkcji; trzeba oczywiście móc porozumieć się swobodnie po angielsku.

Władze prowadzą i popierają naukę angielskiego dla emigrantów za pomocą kursów wieczorowych, przemysłowych, radiowo-korespondencyjnych i telewizyjnych. Ostatnio wprowadzono dla akademików kursy języka na Uniwersytetach. Były to kursy intensywne, kiedy to studenci spędzali całe dnie w budynekach magnetofonowych; po 6 tygodniach mieli angielski jako tako opanowany.

W sprawie dostania się do właściwego zawodu lub rzemiosła można wielu przykrości uniknąć badając tę sprawę bardzo dokładnie przed wyjazdem do Australii. Przepisy rejestracyjne dyplomów zawodowych i rzemieślniczych są w ręku Rządów Stanowych, których w australijskiej federacji jest sześć. Przepisy różnią się między tymi Stanami i należy to dokładnie wy badać, by osiedlić się w miejscu, gdzie przepisy dla danego zawodu są najdogodniejsze. Sprawy te należy przekorespondować z właściwymi władzami lub urzędami w Australii.

Organizacje polskie w Australii, Stanowe Związki Polaków, czy też organizacja centralna, Rada Naczelna Organizacji Polskich i jej Prezydium, powinny były już dawno stworzyć komórkę pomocy emigrantom, a w szczególności uchodźcom. Dobrej woli nie brak na pewno, ale środków nie ma.

Ponad sto tysięcy Polaków nie potrafiło dotąd — i na pewno już nie zdola — zapewnić swym organizacjom dostatecznej podstawy materialnej dla prowadzenia tego rodzaju działalności.

Poza tym trzeba szczerze stwierdzić, iż priorytety są zupełnie wykoślawione: więcej czasu i energii poświęca się od wielu lat mrzonce zreformowania naczelnych władz wychodźstwa polskiego lub stworzeniem bloku śródziemnomorskiego w Australii, niż sprawom konkretnym, w których można by czegoś dokonać i chociaż rodakom dopomóc.

r.k.

PS: Pani Marta Zielińska, która prowadzi dział polski w biurze porad dla

Mrs. R. Zielinski,
Migrant Information Service,
Commonwealth Bank of Australia,
Market & George Streets,
SYDNEY, 2000. Australia.

Kronika kulturalna

Florian Znaniecki - klasykiem socjologii

Florian Znaniecki — to wielkie nazwisko i wielka pozycja w socjologii i dla Stanów Zjednoczonych i dla Polski, choć nie z tych samych względów.

W Ameryce Znaniecki stał się jednym z czołowych socjologów, twórcą oryginalnej metody badań, która znalazła wyraz nie tylko w teoretycznych sformułowaniach tego co i jak należy robić, lecz także we wcieleniu w życie własnych wskazań w postaci licznych dzieł, napisanych przy jej zastosowaniu. Wyrazem uznania Ameryki dla twórczych dokonań Znanieckiego był jego wybór na stanowisko prezydenta Amerykańskiego Stowarzyszenia Socjologów.

Dla Polski — Znaniecki to więcej jeszcze, to także twórca polskiej szkoły socjologii, dwudziestoletni piastun jedynej w Polsce uniwersyteckiej katedry tej nauki, jej niestrudzony krzewiciel i pionier, założyciel Polskiego Instytutu Socjologicznego i wychowawca pokolenia socjologów. Na czwartym zjeździe, odbytym w Poznaniu w 1969 r., brało udział około 400 socjologów pod przewodnictwem prof. Dr. Jana Szczepańskiego, obecnego członka Polskiej Akademii Nauk i Dyrektora jej Instytutu Socjologicznego; był on ostatnim z wypromowanych przez Znanieckiego doktorów socjologii na Uniwersytecie Poznańskim. Pierwszy doktorat uzyskał Józef Chałasiński, obecnie również członek Polskiej Akademii Nauk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. A dodać trzeba, że V Światowy Kongres Socjologów w Waszyngtonie wybrał Jana Szczepańskiego prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologów, pierwszego Polaka, który został obdarzony tą najwyższą godnością w socjologii świata.

Florian Znaniecki zmarł 12 lat temu w pełni międzynarodowej sławy i uznania. Zazwyczaj czas przesłania nieżyjące wielkości naukowe. Na horyzoncie zjawiają się nowe talenty, które współzawodniczą o uznanie współczesnych. W samej Ameryce ponad 13 tysięcy należy do Stowarzyszenia Socjologów, istnieje kilka

tyśiący katedr socjologii, corocznie powstaje bogata literatura w postaci książek, artykułów naukowych i wyników licznych badań. Zapewne około 90 % ogólnoswiatowej twórczości socjologicznej ukazuje się w Stanach Zjednoczonych, czyniąc socjologię nauką głównie rozwijającą się w Ameryce.

Jednak zainteresowanie socjologią Znanieckiego trwa. Mam przed sobą ostatnio wydany tom z jego wielką fotografią na obwolucie. Tytuł: „Florian Znaniecki on Humanistic Sociology” (Humanistyczna socjologia Floriana Znanieckiego). Autor: znany socjolog Dr Robert Bierstedt, profesor Uniwersytetu Nowojorskiego. Książka została wydana przez Chicago University Press równocześnie w Chicago i Londynie.

Bogaty i burzliwy rozwój socjologii idzie i szedł wieloma drogami. Bardzo wiele badań, dociekań, hipotez. Stosunkowo niewiele uzgodnionych aksjomatów. Nie ma uzgodnionych odpowiedzi nawet na podstawowe pytania. Czy jest to nauka teoretyczna, wolna od wartościowania, czy też nauka praktyczna, zajmująca się rozwiązywaniem konkretnych zagadnień społecznych i politycznych; nauka specjalna, czy też nauka ogólna o „społeczeństwie” czy „człowieku”; nauka przyrodnicza, czy też nauka humanistyczna; nauka opisowa, czy też poszukująca wyjaśniających praw przyczynowych? Nie mniejsza rozbieżność istnieje co do przedmiotu badań socjologii, jej podstawowych pojęć i metody, nie mówiąc już o jej epistemologicznych lub ontologicznych założeniach. Zapewne trudno byłoby znaleźć zagadnienie, czy to teoretyczne czy praktyczne, które nie miaoby bogatej literatury lub badań i to z różnych punktów widzenia. W tej bogatej twórczości naukowej jest bardzo wiele cennych przyczynków, lecz stosunkowo mało oryginalnych systematycznych dokonań, które stały się trwałym dziedzictwem socjologii.

Książka profesora Bierstedta o Humanistycznej Socjologii Znanieckiego ukazała się właśnie jako najświeższy tom serii, poświęconej oryginalnym wkładom socjologów do dziedzictwa współczesnej socjologii. Dotychczas ogłoszone tomy omawiają dorobek naukowy socjologów tej miary co Max Weber, Gabriel Tarde, William Thomas, Robert Park, Ernest Burgess, George Mead i inni. Można by powiedzieć, że jest to seria omawiająca twórczość socjologów, uznanych za klasyków tej nauki.

Poświęcenie Florianowi Znanieckiemu kolejnego tomu serii „Dziedzictwo socjologii” — to niezwykle wyróżnienie. Prof. Robert Bierstedt uważa koncepcję humanistycznej socjologii za wkład Znanieckiego do dziedzictwa tej nauki. Stąd tytuł książki, wiernie i trafnie obrany.

Prof. Bierstedt podzielił książkę o socjologii Znanieckiego na dwie części. W pierwszej omawia krytycznie jego twórczość. W drugiej daje starannie dobraną antologię dzieł Znanieckiego, aby umożliwić czytelnikom zapoznanie się z jego humanistyczną socjologią na podstawie jego własnych wypowiedzi. Książkę uzupełnia szczegółowy życiorys i kompletna bibliografia wszystkich prac Znanieckiego, napisanych po angielsku i po polsku.

Prof. Bierstedt wyjaśnia w jaki sposób Znaniecki przeszedł do socjologii z filozofii kultury, która była jego pierwszą miłością, jeśli nie uważać za nią poezji, której tomik ukazał się w druku nakładem Fiszer w 1903 r. pod tytułem „Cheops, poemat fantastyczny”. W każdym bądź razie Znaniecki poświęcił filozofii kultury swą pierwszą napisaną po angielsku książkę pt. „Cultural Reality” (Rzeczywistość kulturalna), University of Chicago Press, 1919. W dziedzinie socjologii Znaniecki zdobył wybitną pozycję szturmem, stając się sławnym jako współautor napisanego wspólnie z prof. Williamem Thomasem pięciotomowego dzieła pt. „The Polish Peasant in Europe and America”, 1918-1920, (Chłop polski w Europie i Ameryce). Omawiając znaczenie tego dzieła dla rozwoju socjologii jako najlepszej monografii, prof. Bierstedt pisze:

„Bez wątpienia jest to klasyczne dzieło w historii socjologii amerykańskiej. Nawet obecnie, wiele lat po tym jak chłopi polscy, stanowiący przedmiot analizy, zostali zasymilowani, dzieło to zachowuje fascynującą wartość i znaczenie dla zrozumienia jednostki, jej postaw i wartości, jej dezorganizacji i reorganizacji, gdy przenosi się z jednej kultury do innej”.

Niezwykłe długi wstęp zawiera rozważania o metodzie socjologii. O ich znaczeniu tak pisze prof. Bierstedt: „Są one tak ważne, że ponownie ogłaszam je drukiem w całości. Stanowią one wymowny i trwały wkład do nauki socjologii”.

Założenia metodologiczne, sformułowane we wstępie do dzieła o chłopie polskim, Znaniecki zasadniczo zmodyfikował, ulepszył i rozwinął w ciągu swych dalszych naukowych rozważań w oryginalną własną metodę socjologiczną, sformułowaną w zarysie we „Wstępie do socjologii” (Poznań, 1922), a w ostatecznej formie w ogłoszonej tylko po angielsku książce pt. „The Method of Sociology” (New York, 1934). Ocena tego dzieła przez prof. Bierstedta kulminuje w zdaniu:

„Można powiedzieć, że ze wszystkich książek Znanieckiego, napisanych po angielsku, jego „Metoda socjologii” wyraża najpełniej i w sposób najdoskonalszy jego system, mimo że omawia głównie zagadnienia metody, a nie merytoryczne zagadnienia socjologii”.

Czym się wyróżnia socjologia humanistyczna Znanieckiego? Co ją charakteryzuje?

Prof. Bierstedt podkreśla, że Znaniecki zasadniczo przeciwstawia świat przyrody i świat kultury. Zjawiska świata przyrody, rzeczy i procesy, są przedmiotem badań naukowych jako istniejące same przez się, niezależnie od istnienia człowieka. Natomiast stworzony przez człowieka świat kultury, wartości i czynności, badane przez nauki humanistyczne, charakteryzuje „współczynnik humanistyczny”, to znaczy, że badacz rozpatruje je jako świadome zjawiska, a więc odnosi je do istniejących osób i zbiorów, działających i doświadczających wartości kulturalne, biorąc je tak jak faktycznie przedstawiają się w ludzkim doświadczeniu i działaniu. Zjawiska społeczne, część zjawisk kulturalnych będąca

przedmiotem badań socjologii Znanieckiego — to ludzie, osoby i grupy, doświadczane empirycznie przez inne osoby i grupy jako specyficzne wartości społeczne. Ponadto to także czynności społeczne, to znaczy czynności, zmierzające do zmodyfikowania jednostek, do zmiany lub wytworzenia grup społecznych. Krótko mówiąc, Znaniecki bada zjawiska społeczne tak jak są odbite, dane, uprzedmiotowione w doświadczeniu osób i grup społecznych w tych zjawiskach uczestniczących. Píše prof. Bierstedt w swej książce o socjologii Znanieckiego:

„Gwiazdy nie mają uczuć, atomy nie znają pragnień, które należałoby uwzględnić. Natomiast uczucia i pragnienia są nierozdzielnie związane z działaniem ludzi. Dlatego też ich zrozumienie wymaga uwzględnienia współczynnika humanistycznego, który odróżnia socjologię jako naukę humanistyczną od „nauk przyrodniczych i nadaje sens i znaczenie badaniom socjologicznym”.

Socjologia Znanieckiego obejmuje cztery główne działy: 1) teorię działania społecznego, 2) teorię stosunków społecznych, 3) teorię ról społecznych i 4) teorię grup społecznych. Każdy z tych czterech wielkich działów socjologii ujmuję Znaniecki jako system wartości społecznych i czynności społecznych. W każdym z tych systemów wydziela powtarzalne elementy, które można odnaleźć i badać w każdego typu działaniu społecznym, stosunkach społecznych, rolach społecznych i grupach społecznych.

Prof. Bierstedt omawia pracę Znanieckiego, zawierającą wyniki badań w każdym z tych czterech działów socjologii: „Social Action”, „Social Relations and Social Roles”, „Modern Nationalities” i „The Social Role of the Man of knowledge”. O tej ostatniej książce pisze:

„Raz jeszcze podkreślam, że ta książka — to dzieło mistrza, jeden z najznakomitszych szkiców w literaturze socjologicznej. Ostatni jej rozdział pt. 'Badacz jako twórca nowej wiedzy' przedrukowuję w całości”.

Ostatnią książką, którą Znaniecki zdołał wykończyć, jest wielkie dzieło pt. „Cultural Sciences” (University of Illinois Press, 1956). Prof. Bierstedt podkreśla, że stanowi ono nawrót Znanieckiego do filozofii kultury i stanowi próbę metodologii wszystkich nauk humanistycznych przez uogólnienie i zastosowanie zasad metody socjologicznej.

Znaniecki nie zdążył napisać planowanego pełnego systemu swej socjologii. Jego córka dr Helena ze Znanieckich Łopato, profesor socjologii jak jej wielki ojciec, przygotowała do druku fragmenty, które ukazały się w druku pt. „The Unfinished Sociology. Social Relations and Social Roles” (Chandler Publishing Company, San Francisco, 1965).

Oceniając całokształt twórczości naukowej Floriana Znanieckiego, prof. Bierstedt pisze:

„Nie nie mogę powiedzieć o dziełach Floriana Znanieckiego, napisanych

po polsku, gdyż nie znam tego języka. Ograniczam się z konieczności do jego prac, napisanych po angielsku. Prace te aż nadto wystarczają do zapewnienia mu trwałego naukowego uznania...

Nie zamierzam napisać traktatu o dokonaniach Znanieckiego w dziedzinie socjologii. Wolałem, by jego własne naukowe sformułowania (selektywnie przedrukowane w tej książce) mówiły same za siebie. Oczywiście jego ustalona sława i uznanie będą podlegać zmianom w miarę zmieniających się prądów i idei. Nie pora jeszcze na wydawanie olimpijskich osądów, które w przyszłości wydadzą historycy socjologii”.

Znaniecki osiągnął czołowe stanowisko w socjologii świata na podstawie tylko połowy swej twórczości. Z ogłoszonych drukiem 16 książek naukowych 8 napisał po polsku. Z ogólnej liczby 69 artykułów naukowych 33 ogłosił w czasopismach polskich. Swoje najbardziej twórcze lata w wieku od lat 38 do 57 spędził w Poznaniu zdala od ośrodków rozwoju socjologii, nie licząc zaproszenia na dwa lata przez Uniwersytet Columbia w New Yorku.

Jakie stanowisko zajmuje Znaniecki w swej ojczyźnie Polsce?

Przed wojną Znaniecki był sławą Uniwersytetu Poznańskiego. Dla swych kolegów profesorów był wielkim uczonym. Dla studentów — porywającym wykładowcą, reprezentującym naukową awangardę myśli współczesnej. Dla szerszego społeczeństwa — szeryfem kultury intelektualnej i artystycznej jako prezes Towarzystwa Współpracy Kulturalnej, utrzymującego także „Salon 35” dla awangardy malarskiej. Dla ówczesnego rządu polskiego był zasłużonym twórcą kulturalnym, odznaczonym za dokonania naukowe Komandorią Orderu Polonia Restituta.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanowisko wobec Znanieckiego było zgoła inne.

O sytuacji Znanieckiego i jego socjologii w Polsce powojennej pisał Aleksander Hertz w *Kulturze*, Nr 7/129-8/130 z 1958 roku, str. 160:

„W Polsce przed Październikiem Znaniecki był przedmiotem brutalnych ataków ze strony tego pseudonaukowego i pseudomarksowskiego fetyszyzmu, jaki stał się wyznaniem wiary komunistów. Młodzież nie miała dostępu do prac Znanieckiego. Jeżeli wymieniano jego nazwisko, to z reguły w połączeniu z obelgami. Dziś (tzn. po Październiku) sytuacja zdaje się zmieniać na lepsze”.

Istotnie sytuacja zmieniła się po Październiku. Zaczęto Znanieckiego cytować w literaturze naukowej coraz częściej, zarówno w książkach jak i czasopismach, a nawet sporadycznie w prasie. Jednakże Znaniecki nie był i nie jest drukowany. Nie została wydana po wojnie żadna z jego przedwojennych książek, napisanych po polsku. Nie zostało wydane tłumaczenie ani jednego z jego podstawowych dzieł, napisanych po angielsku. W szczególności, nie doczekała się polskiego wydania jego „Method of Sociology”, choć istnieje rękopis tłumaczenia; nie jest ogłoszone drukiem ostatnie dzieło Znanieckiego „Cultural Sciences”, choć jeden z jego uczniów dokonał jego przekładu. Egzemplarze jego książek wy-

danych po polsku przed wojną stały się białymi krukami wskutek hitlerowskich zniszczeń wojennych.

Dziwne są losy koleje. Coraz trudniej, jeżeli w ogóle jest możliwe, zapoznać się Polakom z Florianem Znanieckim, twórcą polskiej szkoły socjologii, w jego ojczystym kraju. W Ameryce, swej przybranej ojczyźnie, Florian Znaniecki stał się klasykiem socjologii.

Józef GIDYŃSKI

Śmierć A. Hedley'a

Ludzie zasłużeni w krzewieniu kultury polskiej na Zachodzie byli w przeszłości i są także dzisiaj zjawiskiem rzadkim i w pewnym sensie wyjątkowym. Choć więc różne i niejednakowej wartości są skale ich dorobku, bez wątplenia zawsze należy im się szczególna pamięć. Pamięć połączona jednak z oceną dokonaną w sposób możliwie pełny i obiektywny.

Jedną z tych szczególnych postaci był zmarły niedawno (8 listopada 1969) angielski chopinolog Arthur Hedley. Na międzynarodowej scenie muzycznej pojawił się on w pierwszych latach powojennych jako autor interesującej monografii Chopina wydanej w serii „*The Master Musicians*”, redagowanej przez wybitnego muzykologa duńskiego Eric'a Blom'a, a następnie jako nieustrudzony poszukiwacz pamiątek chopinowskich i często nieznanymi lub też od dawna zaginionymi rękopisami kompozytora. Obie te działalności: pisarska i kolekcjonerska zapewniły Hedley'owi poważną pozycję wśród nielicznego dziś grona chopinologów na Zachodzie a także szczególne miejsce w polskim życiu i świecie muzycznym. Obie też nie pozbawione są elementu kontrowersyjności.

Hedley był bowiem klasycznym typem dyletanta, w najlepszym jednak znaczeniu tego słowa. Był on podobnie jak owi weneccy *dilettanti* XVIII stulecia amatorem-artystą i badaczem, który chociaż nie posiadał metody wynikającej z zawodowej dyscypliny nie tylko osiągnął wyniki w pełni zasługujące na uwagę, ale także traktował swą działalność z ogromnym zaangażowaniem.

I tu trzeba podkreślić, że nie cofał się przed trudnościami. Uznawszy (i słusznie), że dla zrozumienia istoty chopinowskiego stylu niezbędna jest znajomość kształtującej go atmosfery polskiej kultury romantycznej, rozpoczął od przyswojenia sobie języka polskiego, który opanował w stopniu nie tylko umożliwiającym lekturę czy dokonywanie tłumaczeń, ale też posługiwanie się nim w słowie i piśmie z zupełną swobodą. Próba talentu i umiejętności Hedley'a-tłumacza jest przekład angielski wyboru

listów Chopina, wydany w Londynie w roku 1962¹, przekład którego główną zaletą jest trafne oddanie szczególnych właściwości stylu chopinowskiej epistolografii, nieosiągalne bez dotarcia do jego językowych podwalin.

W Polsce Hedley był częstym gościem poczynając od roku 1947, kiedy to rozpoczął „studia z natury” do swej książki, poznając miejsca kształtujące wyobraźnię lat dziecińczych i młodości Chopina, a które szczęśliwie w wielu wypadkach przetrwały do naszych czasów w postaci pozwalającej odczytać ich kształt sprzed przeszło stulecia. Wtedy też Hedley nawiązał bliskie stosunki z odradzającym się po wojnie Towarzystwem Imienia Fryderyka Chopina, które wówczas nie nabrało jeszcze narzuconej mu w późniejszych latach roli zetatywowanej instytucji państwowo-propagandowej.

Oczywiście, zyskujący uznanie zachodni chopinolog nie mógł pozostać niezauważony przez czynniki oficjalne. W roku 1949 uhonorowano go stanowiskiem wiceprzewodniczącego jury pierwszego po wojnie Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, a następnie miał uczestniczyć we wszystkich sądach konkursowych tej imprezy, odbywającej się co pięć lat w Warszawie.

Rzecz znamienna, że Hedley w ciągu swych wieloletnich i bliskich stosunków z Polską podtrzymywał dosyć wątle związki z jej środowiskiem muzycznym. Zdaje się że była mu o wiele bliższa „literacka” atmosfera nieco egzaltowanego „kultu chopinowskiego”, właściwa TIFCowi. Zresztą jego zainteresowania muzyczne, prace i nieustrudzona działalność kolekcjonerska ograniczały się niemal wyłącznie do Chopina.

Warto zatem zastanowić się nad ostateczną wartością dokonań Hedley'a. Wspomniana poprzednio jego książka o Chopinie, wydana także w polskim przekładzie i ciesząca się znacznym powodzeniem u polskich czytelników mimo swych popularyzacyjnych założeń, jest pozycją bardzo wartościową, zwłaszcza na tle anglojęzycznej literatury przedmiotu.

Cechuje ją też (co jest rzadkie w pracach Chopinowi poświęconych) równowaga problematyki biograficznej i muzycznej, choć wnioski na temat istoty stylu Chopina, jakie tam znajdujemy, są dziś w dużej mierze niepełne lub nawet zdeaktualizowane (zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę wyniki studiów szczegółowych czekające wciąż na ostateczną syntezę). Na Zachodzie jednak „Chopin” Hedley'a był wyraźnym krokiem naprzód zarówno jako źródło dobrze i rzeczowo zredagowanych informacji, jak i ze względu na przyswojenie zagranicznej literatury chopinowskiej wyników wielu prac polskich specjalistów.

Nie pozbawiony wartości (a szczególnie literackiej trafności) jest dokonany przez Hedley'a przekład listów Chopina, choć ich wybór (jak zresztą każdy) daje nam „widzenie” postaci kompozytora wynikające w wielkiej mierze z preferencji redaktora zbioru.

1. „*Selected Correspondence of Fryderyk Chopin*”, London, Heinemann, 1962.

ru. Przy okazji warto wspomnieć niefortunną rolę jaką Hedley odegrał w kontrowersji na temat listów Chopina do Delfiny Potockiej. Jak wiemy, biorąc udział w wątpliwych, tak z rzeczowego jak moralnego punktu widzenia, poczynaniach mających na celu niedopuszczenie do głosu zwolenników autentyczności tej korespondencji, zajmował stanowisko krańcowe i to z pobudek czysto emocjonalnych, odrzucając nawet możliwość jakiegś sensownej wymiany poglądów. Tu najpełniej doszło do głosu charakteryzujące niezrozumienie przesłanek naukowych w badaniu różnych aspektów muzycznej przeszłości.

Ten szczególny emocjonalizm, wręcz „kultowość” stosunku do Chopina, ujawniła się ze szczególną siłą w tym co być może okaże się najcenniejsze z wyników jego prac, mianowicie w jego chopinowskich zbiorach. Kolekcja ta, tworzona na przestrzeni blisko trzydziestu lat, jest nie tylko największym na Zachodzie zbiorem chopinianów, ale posiada też charakter bardzo szczególny. Hedley bowiem zbierał wszystko co Chopina dotyczyło, zarówno muzykalia (często wynajdując „spod ziemi” nieznane autografy czy unikalne egzemplarze pierwodruków) jak różnorakie pamiątki, szczególnie nieliczne pozostałe po Chopinie przedmioty osobistego użytku czy klejnoty. Zbiegiem przypadków zbiór ten, a przynajmniej jego najważniejsza część, znalazł ostatecznie „oprawę” najlepszą z możliwych, nabyty został bowiem przez Marię Ferra, posiadaczkę dawnego klasztoru Kartuzów w Valdemosie na Majorce, upamiętnionego pobylem Chopina i George Sand, stając się głównym elementem nowego muzeum chopinowskiego. Nie trzeba dodawać, że promieniowanie tego ośrodka, ze względu na położenie w centrum międzynarodowej turystyki i legendę otaczającą powstałe tam preludia Chopina, zapewni dziełu Hedley'a rezonans nieporównywalnie większy niż gdyby zbiory jego znalazły ostatecznie miejsce w magazynach warszawskiego pałacyku Ostrogskich (siedziba TIFC).

Jednak ten obrót spraw w Warszawie wywołał duże rozczarowanie. Od lat nie ukrywano bowiem, że awanse czynione Hedley'owi wiązały się z przeświadczeniem, że testamentem zbiory swe przekaze TIFC'owi. Być może zresztą nosił się z takim zamiarem, ostatecznie jednak trudności związane z długotrwałą chorobą spowodowały modyfikację projektów. Hedley aby nie dopuścić do rozproszenia zbioru zgromadzonego z takim trudem zaproponował jego nabycie najpierw TIFC'owi, a gdy ze względu na cenę (sto tysięcy dolarów) kupno okazało się nierealne, ostatecznie sprzedał całość do zamierzonego muzeum w Valdemosie, nie znajdując zresztą na całość nabywców ani w Londynie ani w Paryżu.

Polskich muzealników za zrezygnowanie z zakupu trudno winić, jeśli weźmiemy pod uwagę, że na zakupy zabytków za granicą dysponują oni sumą dwudziestu tysięcy dolarów rocznie, czyli środkami o rozmiarach niemal symbolicznych w porównaniu z poziomem stale rosnących cen antykwarycznych i ilością o wiele ważniejszych poloników, pojawiających się na rynku.

Przykrym natomiast, i całkowicie nieusprawiedliwionym, akcentem był stosunek ludzi rządzących TIFC'em do Hedley'a w ostatnich latach jego życia. Gdy okazało się, że na przekazanie przezeń zbiorów liczyć nie można wieloletnie bliskie stosunki urwały się, a nawet nie zaproszono go do udziału w pracach jury zeszłorocznego konkursu chopinowskiego co i tak wobec stanu zdrowia Hedley'a byłoby wyłącznie symbolicznym aktem dobrej woli. A przecież zbiory TIFC'u, tak w dawniejszych latach jak ostatnio, wzbogacone zostały przez Hedley'a wieloma cennymi pozycjami, przeważnie przezeń ofiarowanymi. Ale o bezinteresowne choćby tylko gesty dobrej woli coraz widać trudniej w środowisku ludzi nadających dziś ton polskim instytucjom kulturalnym.



Tym bardziej więc zapewnienie pamięci ludzi dla których polska kultura była wartością bliską i ważną staje się szczególnym obowiązkiem piszących, tak w kraju jak na emigracji.

Adam SUTKOWSKI

O Boyu Żeleńskim

W numerze 7/8 *Kultury* z 1969 roku prof. Wiktor Weintraub zamieścił obszernie i pięknie wspomnienie* o zmarłym prof. Stanisławie Pigoniu. Z tego świetnego studium wyłania się wyraziście postać znakomitego polonisty, jako uczonego i człowieka.

Omawiając szczegółowo jego twórczość naukową, prof. Weintraub nie pominął nawet artykułów polemicznych z Boyem-Żeleńskim w związku z tegoż kampanią mickiewiczowską. Zahaczając o kilka wystąpień Boya, prof. Weintraub traktuje je ironicznie i konkluduje, że w perspektywie blisko czterdziestu lat, ta polemika się zdeaktualizowała. Mnie również tak się zdawało w przekonaniu, że *istota spraw*, o które Boy tak namiętnie walczył, stała się w międzyczasie powszechną własnością. Jednakże uwagi prof. Weintrauba nasuwają pewne wątpliwości w tym względzie i wydaje się, że refleksje na ten temat są wciąż aktualne. Ma się wrażenie, że tradycyjna niechęć oficjalnej polonistyki do Boya trwa nadal.

Jej konflikty z Boyem datują się prawie od początku jego kariery literackiej, zanim jeszcze literatura polska weszła w krąg jego zainteresowań. Stosunek wielu przedstawicieli oficjalnego

* Ze względu na operację oczną mogłem się z nim zapoznać dopiero teraz.

świata naukowego do Boya był lekceważący. Niektórym wypadło płacić za to z nawiązką. Zdarzyło się to nawet uczonemu tej miary, co prof. Ignacy Chrzanowski. Mam na myśli felieton Boya drukowany w *Czasie* Krakowskim w 1921 r. pt. „Wiatrologia”.

Kraków był małym miastem, a rola Uniwersytetu Jagiellońskiego w jego życiu bardzo duża. O wszystkim, co się działo w murach uniwersytetu głośno było w środowisku inteligencji krakowskiej, która przeżywała ze swoją Alma Mater jej sprawy wielkie i małe.

Otóż według kursującej wówczas wersji geneza tego felietonu była następująca. Uniwersytet w Poznaniu oferując Boyowi katedrę romanistyki zwrócił się, według przyjętego zwyczaju, do wybitnych historyków literatury z prośbą o wyrażenie opinii o kandydacie. Prof. Chrzanowski miał się ponoć wyrazić „dyletant i błazen”. Nawiązując do jednej z książek prof. Chrzanowskiego i wykazawszy na kilku przykładach rażące błędy i brak orientacji w przedmiocie, o którym pisał — Boy zakończył felieton słowami: „Jeżeli tak postępuje wiedza ścisła, co zostanie nam dyletantom? Jeżeli tak czynią ludzie serio, co zostanie nam, błaznom?” Ani replika, ani odpowiedź na zarzuty się nie ukazały. Bo też były nie do odparcia.

Takie było pierwsze starcie Boya z reprezentantami oficjalnej polonistyki. Nie nosiło ono jednak charakteru sporu merytorycznego, ale miało raczej aspekt osobisty; była to ostra lekcja dana przez Boya dotkniętego pogardliwą oceną jego osoby.

Polémika o sprawy na temat twórców i twórczości rozpoczęła się później, a rozwinęła na wielką skalę po napisaniu przez Boya wstępu do zbiorowego wydania dzieł Mickiewicza. Nie wdając się w szczegółową analizę poglądów Boya, różniących go w wielu punktach od oficjalnej polonistyki, pragnę zatrzymać się tylko na jednym: biografistyce.

Człowiek i jego dzieło — to stara i wciąż kontrowersyjna sprawa. Na jednym biegunie znajdują się ci, co wiążą dzieło z życiem osobistym autora. Szukają i często znajdują klucz, rozwiązujący niewytłumaczalne skądinąd zagadki w jego twórczości. Należał do nich Boy. Na przeciwnym biegunie stoją puryści, broniący dostępu do życia osobistego twórców z nakazem zajmowania się wyłącznie ich dziełem. Jest to stanowisko raczej teoretyczne, bowiem w poszukiwaniu źródeł twórczości osobowość twórcy i jego życie zawsze będzie przedmiotem zainteresowania. Ze stanowiskiem tych purystów można się zgodzić lub nie, ale należy je uznać. Natomiast niepodobna uznać stanowiska badaczy, którzy przystępują do opracowania czyjejś biografii, z góry szkicu jego wizerunek, odrzucając z dokumentów wszystko, co nie jest zgodne z tym imaginacyjnym portretem.

Historia literatury nie jest nauką ścisłą i nie pretenduje do tego. Natomiast w pracach swoich stosuje metody naukowe i każdy tego od niej oczekuje. A elementarną zasadą każdej metody naukowej jest nie ukrywanie faktów, choćby to miało służyć najszczytniejszym celom.

Legenda głosi, że ks. Kalinka miał zamiar napisania monografii o Kościuszcze, ale po zapoznaniu się z dokumentacją odstąpił od tego zamiaru, nie chcąc — jak miał się wyrazić — odbierać narodowi jego bohatera.

Natomiast inny poważny historyk, Adam Skałkowski, nie miał podobnych skrupułów i ogłosił pracę o Kościuszcze bardzo krytyczną. Obydwaj byli w swoich prawach; bowiem nikt nie ma obowiązku pisania życiorysów osób, które mu nie odpowiadają, ale nie ma też prawa modelować postaci w imię jakichkolwiek bądź nakazów sprzecznych z rzeczywistym stanem rzeczy.

W wypadku Mickiewicza odbywało się to na wielką skalę. Jego wielkość sprawiła, że zbyt wiele koterii, ruchów i nawet stronnictw chciało go widzieć, jako swego proroka. Z jego życia i działalności wyczytano to, co chciano wyczytać, a co zgodne było z modelem świętego.

Z tymi praktykami Boy-Żeleński walczył z całą namiętnością swego pisarskiego temperamentu i siłą swego talentu. Wykazał swego pisarskiego temperamentu i siłą swego talentu. Wykazał niezbicie stosowanie metod pomijania faktów, skreślenia nazwisk, a nawet niszczenia lub gruntownego ukrycia dokumentów itd.

Nazwisko Xawery Deybel, wydobyte przez Boya z mroków zapomnienia, można pod tym względem uznać za symboliczne. Jest rzeczą oczywistą, że nie każda osoba, z którą zetknął się Mickiewicz zasługuje na to, aby jej nazwisko znalazło się w biografii poety. Ale pod tym względem legitymację Xawery Deybel są bezsporne: żyła w domu Mickiewiczów z dwoma nawrotami, blisko dziesięć lat; była nauczycielką ich dzieci. Nawet z tych kilku licznych dokumentów, które się ostały, wynika, że wpływała na dramatyczne pożycie Mickiewiczów; a ponad to odgrywała bardzo poważną rolę, jako towianka, w ruchu, z którym przez lata Mickiewicz był tak ściśle związany.

Są to chyba wystarczające racje, aby zainteresować się jej rolą w życiu Mickiewicza. Postąpiono odwrotnie: Nazwisko Xawery Deybel zostało wyeliminowane z życia Mickiewicza. Nie figuruje nawet w bardzo drobiazgowym, czterotomowym dziele pt. „Żywot Adama Mickiewicza”, napisanym przez syna, Władysława. Bagatelizowanie tzw. sprawy Xawery Deybel i sprowadzenie jej do sensacyjnej plotki („Moja Pani! Moja Pani!) o życiu erotycznym Mickiewicza wydaje się niczym nieusprawiedliwione.

„Odkrycie” Xawery Deybel jest niewątpliwą zasługą Boya. Prof. Weintraub zapytuje: „No i co z tego?” Rozumiem, że w pytaniu tym kryje się drugie, szczegółowsze: W jakim stopniu rewelacje o Xawerze Deybel pogłębiły naszą wiedzę o życiu Mickiewicza i jego dziele? Możliwe, że w niewielkim, ale Boy jest ostatnim, którego można o to winić. Już dawniej postarano się o to, aby znikły dokumenty, które mogłyby coś w tej materii powiedzieć: między innymi druga (kilkusetstronicowa) część pamiętnika Zofii Szymanowskiej, przyrodniej siostry Celine Mickiewiczowej. Zaginiona część pamiętnika obejmowała lata spędzone w domu Mickiewiczów. Nie będzie zbyt ryzykownym przypuszczenie, że pamiętnik tego osobistego świadka mógłby rzucić trochę

światła na okres, w którym Xawera przebywała w domu Mickiewiczów. Może nawet oświetliłyby nieco przyczyny złamania lutni poetyckiej Mickiewicza, co zbiegło się z nawiązaniem stosunków z Towiańskim i Xawerą Deybel. Są to tylko przypuszczenia, ale zrobiono wszystko, aby odpowiedzi na nie nie było.

Boy zrobił przynajmniej tyle, że usunięte ogniwo włączył na powrót do łańcucha zdarzeń i ludzi, związanych z Mickiewiczem.

Poza zbagatelizowaniem sprawy Xawery, prof. Weintraub wspomina również o tym, że hipoteza Boya, jakoby Mickiewicz został otruty, nie ostała się. Miłość prawdy nakazuje stwierdzić, że zachodzi tu widoczne nieporozumienie, bowiem Boy nigdy takiej hipotezy nie postawił. Rzecz wyglądała następująco: Znany rzeźbiarz, Ludwik Puszet, bliski znajomy Boya, powtórzył mu swoją rozmowę z Michałem Pawlikowskim, w której ten miał powiedzieć, że ich biblioteka w Medyce zawiera dokument, stwierdzający, że Mickiewicz został otruty. Po zakończeniu dyskusji na ten temat Puszet w ogłoszonym liście potwierdził swoją rozmowę z Pawlikowskim.

Boy już świadom praktyk ukrywania niewygodnych dokumentów, rozpoczął jawny apel, prosząc aby wszyscy, mający w tej sprawie jakieś dane, zechcieli się wypowiedzieć. A to tym bardziej, że pogłoski te nie były nowe; snuły się, jak dymy, od śmierci poety. Zjawiły się różne głosy skłaniające się ku tej tezie. Boy przypomniał zapomniany wiersz Norwida: „Coś ty uczynił Atenom Sokratesie?...”, będący wyraźną aluzją do śmierci Mickiewicza. Pawlikowski zapytany wprost dał odpowiedź pytyjską, tak zawiłą, że trudno było wywnioskować, czy wspomniany przez Puszet dokument znajduje się w Medyce, czy nie. Pawlikowski dodał przy tym, iż uważa za możliwe, że Mickiewicz umarł otruty. Podobne stanowisko zajął Zygmunt Wasilewski. Obaj wyrazili przypuszczenie, że jeśli otrucie miało miejsce, to sprawcami byli Żydzi¹.

Boy, zamykając dyskusję stwierdził, że niczego ona nie wyjaśniła. Tak więc hipoteza o otruciu nie ostała się, bo nie była przez Boya postawiona.

Wreszcie ostatni passus, zahaczający o Boya, drobny, ale charakterystyczny. Prof. Weintraub wspomina artykuł Boya o małżeństwie Mickiewicza. Pisze: „Wnikliwie, ale trochę plotkarsko podchodził Boy do tych spraw”. Nie wydaje mi się, aby oba te przymiotniki dały się równocześnie dla charakterystyki tej samej rzeczy zastosować. Bo przecież „wnikliwy” oznacza solidny, sięgający w głąb, usiłujący dojść do sedna sprawy. Natomiast „plotkarski” jest synonimem powierzchowności, niezbyt zasługujący na wiarę. Oba do jednego zaprzęgu się nie nadają.

Zauważyłem już, że jest to drobiazg, ale charakterystyczny, bo świadczący o trwającej niechęci świata polonistycznego do Boya. Czy słusznej? W swoim dużym dorobku Boy miał prace

1. T. Boy-Zeleński, „Dookoła śmierci Mickiewicza”, *Pisma*, P.I.W., tom IV, str. 259 i 268.

„wnikliwie” i „plotkarskie”. Wniósł do badań literackich wiele świeżości, stosując metody z pewnością nie-konwencjonalne, ale interesujące.

W wypadkach, kiedy chodziło Boyowi o udokumentowanie swojej tezy, argumentacja jego była ścisła według najlepszych tradycji metod naukowych. Potrafił przekonywać nawet swoich przeciwników. Dla przykładu: przed wojną pewien fredrolog zmienił zakończenie komedii „Mąż i Żona”, znajdujące się we wszystkich wydaniach za życia Fredry, na inne znalezione w papierach pośmiertnych. Boy walczył bezskutecznie o przywrócenie pierwotnego tekstu.

W nowym, powojennym zbiorowym wydaniu dzieł Fredry prof. Pigoń, wielki przeciwnik Boya, przyjął widocznie jego argumentację i przywrócił dawne zakończenie komedii. Pięknie to świadczy o prof. Pigioniu i stanowi piękne zwycięstwo Boya z za grobu.

Latami walczył Boy na wielu odcinkach, dość osamotniony. Poza dziedziną literatury walczył o świadome macierzyństwo, o lepszy kościół, w obronie nowych obyczajów itd.

Po upływie lat kilkudziesięciu sprawy, o które walczył, nabrały ostrej aktualności: świadomym macierzyństwem zajmuje się dziś cały świat, a walka o reformy w kościele znalazła sprzymierzeńca w II Soborze Watykańskim.

Najmniejsze zmiany zaszły w stosunku do Boya w świecie polonistycznym. W kraju wychodzą wprawdzie wciąż nowe wydania jego dzieł i prace o nim, ale to co się pisze nie odbiega zbyt od tego, co pisano 30 lat temu. Często po zdaniu pozytywnym znajduje się drugie, osłabiające efekt pierwszego. A na emigracji w ogóle o nim się nie pisze. Na palcach rąk można by policzyć artykuły o Boyu po 1945 roku.

Czy nie czas, aby ktoś zrewidował ten stan rzeczy i przeżył ciężką tradycyjną niechęć oficjalnej polonistyki do Boya?

Wydaje mi się, że mimo złośliwych uwag o Boyu najbardziej do tej roli nada się właśnie profesor Weintraub, jeden z najlepszych współczesnych polonistów i światlejszych umysłów na emigracji.

Damian S. WANDYCZ

Komunikaty

KONGRES WSPÓŁCZESNEJ NAUKI I KULTURY POLSKIEJ NA OBCYZYŃIE

SKŁAD KOMITETU ORGANIZACYJNEGO:

I Prezydium: prof. inż. R. L. Wajda — przewodniczący oraz p.p. inż.

A. Ścibor-Rylski, mgr A. J. Zieliński, inż. A. Rynkiewicz, W. E. Choroszewski, dr L. Ciołkoszowa.

II Kierownicy Działów i Komisji Naukowych:

Dział Nauk Humanistycznych: prof. dr H. Paszkiewicz i dr L. Kielanowski.

Komisje: Filozoficzna: prof. dr W. Strzałkowski; Historyczna: płk. dypl. dr S. Biegański; Historii Literatury i twórczości literackiej: prof. dr W. Günther i prof. dr I. Wieniewski; Muzyki: *vacat*; Nauk Pedagogicznych: mgr M. Gołowski; Działalność kulturalna Polaków poza Krajem: *vacat*; Masowych środków przekazu (kino, teatr, radio, telewizja): dr L. Kielanowski; Teologiczna: ksiądz prof. dr W. F. Bednarski; Sztuk Plastycznych: prof. M. Bohusz-Szyszko.

Dział Nauk Społecznych: prof. dr B. Hełczyński.

Komisje: Prawa: prof. dr J. Langrod; Polityczna i Socjologii: prof. dr J. Gawenda; Ekonomiczna: prof. dr A. Zauberman.

Dział Nauk Przyrodniczych: dr E. Judenko.

Komisje: Geologiczno-Geograficzna: dr J. Męcarska; Medycyna: dr F. Goldschlag; Biologiczna: dr W. Stec-Rouppertowa.

Dział Nauk Ścisłych: dr S. Biel.

Komisje: Matematyczna: dr S. Biel; Fizyczna: dr J. Przybylski.

Dział Nauk Technologicznych: prof. inż. arch. S. Połujan i dr Z. C. Szkołpiak.

Komisje: Architektury: prof. inż. arch. S. Połujan; Mechaniczna i Metalurgii: prof. dr J. M. Zarek; Elektryczna: inż. E. Rzymowski; Inżynierii lądowo-wodnej: dr inż. M. Sas-Skowroński; Aeronautyki: inż. A. Ścibor-Rylski.

III Kierownicy samodzielnych referatów:

1) wystawa biblioteczna: dr M. Danilewiczowa; 2) wystawa plastyczna: prof. dr M. Bohusz-Szyszko; 3) wystawa filatelistyczna: płk. dypl. J. Z. E. Berek; 4) imprezowy: mgr Z. Kielanowska; 5) redaktor wydawnictwa: dr inż. M. Sas-Skowroński; 6) prasowy: dr St. Wojstowski; 7) organiz. gosp.: A. Stypulkowski.

Kongres odbędzie się w dniach 9-12 września 1970 r. w budynku Imperial College, Londyn, Exhibition Road, S.W.7.

Wystawa biblioteczna w budynku Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, 9, Princes Gardens, S.W.7.

PRACE KONGRESOWE

Prace nadesłane do Komitetu Organizacyjnego na Kongres w terminie wydane będą drukiem i rozsyłane przed Kongresem osobom, które złożą przedtem odpowiednią opłatę. Opłata za udział w Kongresie łącznie z wydawnictwem prac kongresowych i udziałem w lampce wina — wynosi £5. Dla osób, które nie mogą osobiście przybyć a chcą otrzymać wydawnictwo — opłata wynosi £2.10.0.

Komitet uprasza o możliwe wcześnie uiszczenie opłat z uwagi na duże wydatki w związku z organizacją całego Kongresu. Jesteśmy zdani wyłącznie na własne środki finansowe. Czeki, Postal Ordery uprasza

się wystawiać na Komitet Organizacyjny Kongresu i przysyłać na adres Komitetu, 9, Princes Gardens, London, S.W.7., England. Opłaty za dodatkowe odbitki pojedynczych prac ponosić będą zamawiający: Po uzgodnieniu z drukarnią ceny odbitek pojedynczych prac wynoszą:

za 50 odbitek	— 5	szylingów za stronę	
" 100 "	— 7/6	" " "	
" 150 "	— 10	" " "	
" 200 i więcej odbitek	— 12/6	" " "	Plus.
			ewent. kosztą przesyłki.

Komitet uprasza o wcześnie zamówienia na odbitki podając ich ilość i o nadsyłanie należności.

Korekta tekstowa (autora) w początkowym stadium (1-a korekta) nie przekraczająca zmiany 5 linii bezpłatnie.

Korekty autora, wymagające zmian ponad 5 linii opłacać muszą autorzy w zależności od rozmiaru zmiany składu i dodatkowej pracy.

SPRAWY KWATERUNKOWE

W bezpośrednim sąsiedztwie miejsca Kongresu jest możliwość uzyskania w Hostelu Studenckim pomieszczeń dla przyjezdnych, ewentualnie z rodzinami (pojedyncze pokoje z umywalkami, z używalnością łazienki), po cenach znacznie niższych niż hotelowe. Pokoje te muszą być zamówione na szereg miesięcy przed Kongresem i dlatego wszystkich uczestników, którzy chcieliby korzystać z tego ułatwienia uprasza się o nadesłanie zgłoszeń jak najszybciej.

Wszystkie zgłoszenia na Kongres uprasza się kierować do Sekretariatu Komitetu Organizacyjnego, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

CENTRALA BIBLIOTEK RUCHOMYCH

Fundusz rezerwowany C.B.R. złożony z zaoszczędzonych pozostałości dotacji Rządu Brytyjskiego i wypracowanej w roku 1968 nadwyżki budżetowej, na dzień 1 stycznia rb. wynosił £4.148.8.4.

W ubiegłym roku budżetowym wpłynęła ostatnia rata dotacji rządowej przyznanej C.B.R. w wysokości £6.000 przy zróżnicowaniu się jej własności przez Rząd Brytyjski na korzyść Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Stan zbiorów

Zgromadzony w ciągu 20-lecia księgozbiór C.B.R. wynosi obecnie 50.413 oprawnych tomów. Zakupiono 753 nowych książek, otrzymano z darów 142 i wycofano wskutek zniszczenia 516.

Obsługa terenu

W roku 1969 było 155 czynnych punktów bibliotecznych do których wysłano 14.968 książek w kompletach bibliotek ruchomych, oraz 312 książek na indywidualne zapotrzebowania. W tym samym okresie przyjęto z powrotem 15.555 książek w 148 kompletach ruchomych. W ciągu roku otworzono 4 nowe punkty biblioteczne, a 2 punkty zlikwidowano wskutek zaniku zainteresowania polskim czytelnictwem.

W obrocie ogółem było 30.000 książek, co na podstawie dostępnych danych obliczyć można na około 65.000 wypożyczeń.

Koszta utrzymania

Koszta utrzymania C.B.R. w roku 1969 wyniosły £ 4.649. 6. 5.

Pokryto je jak następuje:

1. Ostatnia rata dotacji Dept. of Education and Science	£ 1.250. 0. 0.
Zaczerpnięto z Funduszu Rezerwowego	263. 0.11.
2. Prenumeraty bibliotek publicznych	2.340. 5. 4.
3. Sprzedaż dubletów i dary	350. 5.11.
4. Zwroty — Selective Employment Tax.	345.14. 3.

Razem: £ 4.649. 6. 5.

„UDZIAŁ POLSKICH ŻYDÓW W ŻYCIU AMERYKI”

Kongres Amerykańskich Żydów Polskiego Pochodzenia ogłasza konkurs na pracę poświęconą udziałowi Żydów pochodzących z Polski w życiu Stanów Zjednoczonych. Termin konkursu upływa w dn. 31. XII. 1970 roku.

Nadsyłane prace naukowe winny być opracowywane w dziedzinach: historii, religii, kultury, ekonomii, organizacji społecznej etc.

Przewidziane są dwie nagrody w wysokości \$ 500,00 i \$ 250,00.

Objętość prac nadsyłanych nie powinna być mniejsza od 5.000 słów i nie przekraczać 7.000 słów.

Po szczegóły dotyczące Konkursu należy zwracać się pod następujący adres:

Mr. Benjamin Grey
Chairman Contest Commission
Congress of American Jews from Poland
6534 Moore Drive
LOS ANGELES, Calif. 90048.

Książki

O ostatniej powieści J. Mackiewicza

W pierwszej połowie zeszłego stulecia w Salonie Warszawskim jeden z młodzieży pyta:

*Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży
Jak figa ucukruje, jak tytuł uleży?*

Tylko jeden literat powiedział, że nie ma na to wyraźnych reguł. Z ust trzech pozostałych literatów padły odpowiedzi: — Ze sto lat. — To mało. — Tysiąc, parę tysięcy.

W pierwszej połowie XIX wieku zapewne odpowiedzi tych trzech literatów były słuszniejsze. Świat bowiem zmieniał się powoli. Czas jak gdyby stał na miejscu. Oczywiście ludzie rodzili się, dorastali, starzeli się i umierali. Ale geniusz czasu, wynalazki, styl życia, poglądy, nawet mody zmieniały się bardzo wolno. Sam pamiętam jak w początkach XX stulecia stroje starszych dam mało się różniły od oglądanych w rodzinnych albumach strojów moich prababek z okresu powstania 1863.

Nie mniej Mickiewicz poszedł za radą pierwszego literata i stworzył swe arcydzieło *Dziady* drezdeńskie w kilka lat po powstaniu 1830.

Dobrze też zrobił Józef Mackiewicz pisząc swą historyczno-autentyczną powieść nie czekając aż się ten temat ucukruje i uleży, lub raczej — zostanie zatumaniony przez półprawdy, półlegendy, no i łgarstwa.



Przeczytałem chyba wszystkie recenzje powieści „Nie trzeba głośno mówić” dotąd umieszczone w czasopiśmie emigracyjnych. Czytałem również głosy „krytyczne” lub raczej oszczerce, o których powiem kilka słów na końcu. Uderzyło mnie, że w recenzjach pochwalnych autorzy kładli główny nacisk na historyczno-polityczne aspekty książki pomijając jej wielką wartość literacko-

artystyczną. Tu muszę się zastrzec, że omawianych recenzentów zachwyciły (oczywiście) opisy przyrody przez Józefa Mackiewicza. Nic w tym zresztą dziwnego. Już przed wojną zabłysnął piękną i oryginalną formą tych opisów. Rozwinął ją w „Drodze donikąd”, w „Sprawie pułkownika Miasojedowa” i w innych utworach. A jednak... Gdy opisy przyrody są podkreślone jako *jedyna* artystyczna cecha powieści, budzi się we mnie podejrzenie. Stara anegdota powiada, że mówiąc o brzydkiej pannie nie mówiło się bez ogródek, że jest brzydka, ale że albo kocha mamusię, albo ma piękne długie włosy. Podejrzenie dotyczy rzecz jasna nie powieści, w której opisy przyrody są naprawdę bardzo piękne, lecz pp. Recenzentów, którzy jakby innych cech literacko-artystycznych nie dostrzegali.

Przed wszystkim słuszne były słowa anonisu książki, że jest ona panoramą. Jest panoramą dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego od roku 1941 do roku 1945. Jeżeli Lew Tołstoj potrzebował aż czterech pokazanych tomów dla swej „Wojny i pokoju”, w której paręset stron zajmują filozoficzne rozważania na temat „praw historycznych” (istniejących oczywiście tylko w jego imaginacji), tedy Józef Mackiewicz miał prawo napisać niewiele ponad 500 stron na temat tego, co się działo w ciągu 4 lat na terytorium jego rodzinnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a co było właściwie agonią tego Księstwa. Jak mi prywatnie napisała znana polska autorka, „Nie trzeba głośno mówić” jest „*requiem* dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów”. Tylko kilku wielkich duchem lecz już dziecinniejących patriotów w Londynie może marzyć, że nie jest to *requiem* i że jeszcze kiedykolwiek uda się nam zaanektować terytorium zwane eufemicznie „Ziemią Wschodnimi”.

Jak w „Drodze donikąd” wszystkie postaci powieści są pokazane z zewnątrz, w ruchu. Autor widzi je przede wszystkim i słyszy. Ich psychologiczne zmiany są nie mniej istotne niż miażdżenie fizyczne przez machinę wojny. Jak w „Drodze donikąd”, której przedłużeniem, jak mówi sam autor w przedmowie, jest nowa powieść, nie mamy w niej figur papierowych. Każdy bohater jest inny i każdy mówi tak, jak powinien mówić, a raczej tak, jak się spodziewamy że będzie mówił. Jak w „Drodze donikąd” postaci powieści są plastyczne i żywe.

Żyje i pasjonujące są sceny o „zupełnym zaskoczeniu” bolszewików przez Niemców w czerwcu 1941 roku, gdy w oczach prostych ludzi znękanym całorocznym panowaniem Sowietów błyszczała nadzieja i rozradowanie. Bo jeszcze nie wiedzieli, że „nic z tego nie wyjdzie”... Że Niemcy „naród darem męczą, zamiast oswobodzić, sami ta bolszewizma rozprowadzają”...

A podziemie polskie prowadziło wywiad o Niemcach, raporty szły do Londynu, były przekazywane wywiadowi angielskiemu, który z kolei przekazywał je wywiadowi sowieckiemu...

„Wyczyny” partyzantów sowieckich we wsiach białoruskich... Zamordowanie starego Ławrynowicza, który był w okresie międzywojnia szpiegiem rezydentem polskim w Mińsku; zamordo-

wanie jego żony. Kto mógł dokonać tego morderstwa? Mackiewicz nie daje na to odpowiedzi pozostawiając domysły czytelnikowi. Wiemy tyle, że morderstwa dokonano wkrótce po wizycie „emisariusza z Warszawy”, który namawiał Ławrynowicza na pracę wywiadowczą na rzecz „wielkiego sojusznika” tj. Sowietów. Kategorycznie odmówił współpracy mówiąc „emisariuszowi” kilka słów prawdy...

Bezkrzytyczne, a często wręcz bezpodstawne wydawanie wyroków śmierci przez polskie podziemie „w imieniu Rzeczypospolitej”...



Od kwietnia 1940 byłem już za granicą. Najpierw w Szwecji, później w Londynie. Z daleka obserwowałem, co się dzieje w kraju, a zwłaszcza w mej przybranej ojczyźnie — Wileńszczyźnie. Po rozpoczęciu wojny niemiecko-bolszewickiej dochodziły mnie różne głosy. Wiedziałem o zamordowaniu w majątkach — jednego z mych krewnych i dwóch przyjaciół. Morderstw dokonali partyzanci sowieccy, z którymi współpracowało nasze podziemie. Wiedziałem o wykonanym podziemnym wyroku śmierci na Bogu ducha winnym przyjacielu. Gdy w początku roku 1943 przyjechałem do Londynu, miałem już oczy szeroko otwarte na wszystko, co się pod okupacją niemiecką dzieje. Wiedziałem o „krajowej” radiostacji „Swit”, mieszczącej się o pół godziny jazdy od Londynu. Wiedziałem o skokkach spadochronowych zaopatrzonych w zaszyte złote ruble carskie, a gdy tych rubli zabrakło, w suwenyry brytyjskie, których wtedy jeszcze kasztanami nie nazywano. Wiedziałem z broszur Stanisława Mickiewicza i z *Wiadomości polskich* o wizytach gen. Sikorskiego w Stanach Zjednoczonych, gdzie za najważniejsze zadanie uważał namawianie prezydenta Roosevelta do jak najszybszego otwarcia „drugiego frontu” w celu pomocy bohatersko walczącym armiom sowieckim.

Wkrótce jednak po moim wylądowaniu w Londynie przyszła wieść o Katyniu i — zerwanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami. Ale, choć stosunki były zerwane, z Londynu wciąż płynęły do Warszawy instrukcje rządu polskiego podkreślające, że wrogiem numer 1 są Niemcy i że trzeba współpracować z partyzantami sowieckimi.

A jak mówi jeden z bohaterów powieści Mackiewicza: „Niemcy robią z nas bohaterów, a bolszewicy g...”.



Wśród głosów „krytykujących” ostatnią powieść Józefa Mackiewicza zwrócił moją uwagę artykuł pt. „Los kolaboranta” w reżymowej *Kulturze* z 25 stycznia br. Artykuł podpisał Roman Korab-Zebryk nazywający siebie „b. dowódcą 1 brygady wileńskiej AK”. Artykuł jest całostronicowy i wypełniony oszczerstwami i nieprawdopodobnymi łgarstwami. Pan Zebryk cytuje również rozmaitych autorów, m.in. Józefa Garlińskiego, autora recenzji

książki Mackiewiczza w londyńskim *Tygodniu polskim* z 4 października ub. roku.

Białoruskie przysłowie powiada: „Swoj swego pазнаў”.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Polonica Americana (I)

Monografia Modrzejewskiej

Nazwisko Heleny Modrzejewskiej częściej łączy się z plotką lub legendą niż z solidną znajomością biografii tej słynnej aktorki. Tom jej własnych wspomnień, wydany przed laty sześćdziesięciu, doczekał się wprawdzie polskiego przekładu w 1957 r. i zapoczątkował pewne ożywienie zainteresowania polską „gwiazdą” amerykańskiego teatru, niemniej przecież poza dwoma źródłowymi tomami jej korespondencji (Warszawa, 1965) i dwoma studiami biograficznymi (Szczublewskiego w 1959 r. i Terleckiego w 1962 r.) ciągle jeszcze wiele pozostawało do powiedzenia o trzydziestu latach królowania Modrzejewskiej na amerykańskiej scenie. Toteż monografię Marion M. Coleman *Fair Rosalind*¹ ocenić należy pozytywnie jako dzieło ważne i potrzebne, szeroko wykraczające swym rozmachem poza ramy biografii. Przynosi ono bowiem nie tylko ogromny kawał historii amerykańskiego teatru ale stanowi równocześnie wnikliwe studium psychologiczne.

Podobnie jak w poprzedniej pracy o kalifornijskich przygodach Modrzejewskiej i Sienkiewicza *Wanderers Twain* (1964) Marion Coleman umiała utrzymać ton dyskretny i obiektywny, stroniąc zarówno od łatwizny plotki jak i bałwochwalstwa hagiografii. Warto by było uniknąć kilku powtórzeń i skrócić niektóre cytaty; warto byłoby zanotować, że warszawska przyjaciółka Modrzejewskiej, Maria Muchanow (nb. angielska pisownia brzmić powinna Mukhanov lub Muxanov) to nikt inny tylko norwidowska Maria Kalergis, są to jednak rzeczy stosunkowo drobne.

Polak w teksaskim falansterze

Bez wątpienia zasługuje też na uwagę druga pozycja wydana przez Marion Coleman, a mianowicie dokonany przez nią przekład zapomnianej książeczki Kaliksta Wolskiego *Do Ameryki i w Ameryce* (1876)². Chronologicznie wyprzedzająca pobyt Modrzejewskiej w Ameryce o lat dziesięć, praca Wolskiego wiąże się jednak ściśle z biografią artystki. Modrzejewska czytała ją musiela uprzednio w *Kłosach*, tych samych, do współpracy z którymi wuj Bobrowski namawiał później tak energicznie Conrada, następnie zaś, już po wyjeździe nawiązała serdeczną przyjaźń z córką Wolskiego, Anną, z którą do końca życia utrzymywała ożywioną korespondencję.

1. Marion M. Coleman, *Fair Rosalind. The American Career of Helena Modjeska*. Cherry Hill Books, Cheshire, Connecticut, 1969. Str. 1019. Dol. 20.

2. Kalikst Wolski, *American Impressions*, translated by Marion Moore Coleman, Cherry Hill Books, Cheshire, Connecticut, 1968. Str. 218. Dol. 5.

Kalikst Wolski (1816-85) należał do emigracji polistopadowej i przez lat dwadzieścia dzielił jej losy we Francji, skąd w 1852 wyruszył do Ameryki powodowany nie tylko chęcią poprawy własnego bytu. Niezłe przygotowany zawodowo po ukończeniu studiów inżynierskich, Wolski kierował się bowiem fanatyczną niemal wiarą w fourierowską ideę falansterów i gdy nadarzyła się pierwsza okazja postanowił przyłączyć się do grupy kolonistów, którzy pod kierunkiem Victora Considéranta postanowili założyć eksperymentalny falanster w sercu dziewiczego podówczas Teksasu. Toteż opisy kraju i obyczajów przeplatają się tu z konkretnym reportażem z pobytu w La Réunion, osiedlu leżącym na miejscu dzisiejszego Dallas. Niepowodzenia materialne, klimat i choroby przyczyniły się do upadku kolonii, niemniej pracę Wolskiego traktować należy jako niezmiernie ciekawy dokument próby zrealizowania idei w konkretnym kształcie odważnego przedsięwzięcia.

Książeczkę Wolskiego Marion Coleman wydała bardzo starannie.

Na rynku polonistycznym

Obie omówione wyżej pozycje wiążą się dość luźno z rozwojem amerykańskiej polonistyki, wkraczającej w stadium ustalania swej pozycji naukowej w tutejszych studiach slawistycznych. Na przestrzeni ostatnich trzech lat, by wymienić tylko przykładowo, pojawiło się szereg cennych i zasadniczych prac. Podczas gdy w roku 1967 ukazała się antologia młodej prozy i poezji wydana przez C. Wieniawską oraz monografia Dąbrowskiej pióra Z. Folejewskiego, rok następny przyniósł obszerną bibliografię rozumowaną polskich opowiadań w przekładach, sporządzoną przez J. Maciuszkę, w roku 1969 otrzymaliśmy historię literatury polskiej Miłosza i antologię Tuwima wydaną przez A. Gillona. Pierwsze miesiące roku 1970 przyniosły zarys wersyfikacji polskiej M. Giergielewicza stanowiący dobrą zapowiedź nowej dekady.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Historia sztuki

169. GĘBAROWICZ, Mieczysław: *Portret XVI-XVIII wieku we Lwowie*. Wrocław, Warszawa, Kraków, 1969, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, s. 140 (2), 85 plansz. (Polska Akademia Nauk, Oddział w Krakowie, Komisja Teorii i Historii Sztuki).

Autor, znany historyk sztuki, przebywający nadal we Lwowie, oparł się na materiale zgromadzonym z okazji wystawy portretu lwowskiego XVI-XVIII w. urządzonej we Lwowie w r. 1965. Ekspozycja pochodziła ze zbiorów Muzeum Historycznego, Lwowskiej Państwowej Galerii Obrazów i Państwowego Muzeum Sztuki Ukrainskiej, w których znajduje się obecnie więk-

zość zbiorów dawnego Muzeum Lubomirskich (części Ossolineum), Bibl. Baworowskich, dwu ukraińskich muzeów: Instytutu Stauropigialnego i Tow. Naukowego im. Szewczenki, Muzeum im. Króla Jana III, muzeów kościelnych itd. Po roku 1939 doszły do nich resztki zbiorów zamków w Podhorcach i Krasiczynie oraz zbiory obecnych muzeów w Drohobyczu (tu znajdują się resztki zbiorów Rzewuskich i Lanckorońskich z Rozdołu), Równem i Ostrogu (część zbiorów sławuckich).

170. JAWORSKA, Władysława: *W kręgu Gauguina*. Malarze Szkoły Pont-Aven. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 377 (1), 12 plansz wielobarwnych, 154 fot. (reprodukcje obrazów, portrety itp.). (Z prac Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk).

Monografia grupy malarskiej znanej jako „Szkoła Pont-Aven” w latach 1886-1896. Grupa ta, pod przewodnictwem Gauguina i Emila Bernarda wypracowała podstawy teoretyczne syntetyzmu i odegrała dużą rolę w historii nowoczesnego malarstwa. Autorka dotarła do rozproszonych po Bretanii i Francji kolekcji obrazów i archiwów rodzinnych z wynikami przechodzącymi najśmielsze oczekiwania. „W kręgu Gauguina” przynosi dzięki temu cykl wy-czerpujących opracowań działalności artystycznej 20 malarzy związanych z Pont-Aven, w tym teoretyków grupy: P. Sérusier'a, A. Séguin'a i M. Denis'a, malarza-zakonnika Jana Verkade'a, Irlandczyka O'Connora, Wład. Słewińskiego i in. Warto przypomnieć, że ze „Szkołą Pont-Aven” związana była poprzez Sérusier'a Gabriela Zapolska, której wypowiedzi oświeclają interesujące pewne punkty dyskusji teoretycznych na temat „syntetyzmu” i „impre-sjonizmu”. Należy spodziewać się przekładu tej cennej monografii na język francuski. Szata graficzna bardzo staranna, dobór ilustracji znakomity.

T e a t r

171. *Pamiętnik Teatralny*. R. XVIII, 1969, zes. 3 (71), s. 251-478, ilustr.

Zeszyt poświęcony w całości twórczości dramatycznej Stanisława Ignacego Witkiewicza i historii „Witkacego na scenie, 1921-1969”. Zawiera m.in. rozprawy i artykuły: Konst. Puzyry „na przełęczach bezsensu”, Krzysztof Pomian „Filozofia Witkacego” oraz obszernie omówienia publikacji poświęconych Witkacemu, spis sztuk, oraz fotografie z przedstawień teatralnych.

Literatura piękna (poezja)

172. BURSA, Andrzej: *Utwory wierszem i prozą*. Wybrał, opracował i wstępem poprzedził Stanisław Stanuch. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 72, front. portr., ilustr.

Wstęp, pióra krakowskiego prozaika Stanucha, ma charakter apologetyczny i, choć w zdecydowany sposób przeciwstawia się wersji o samobójczej śmierci poety, docenia ważność pesymistycznych nastrojów i przyczyn, które je wywoływały. Niemal równocześnie ukazał się w Nowym Jorku, w ostatnim zeszycie „Tematów”, szkic Bogdana Czaykowskiego pt. „Poezja gwałtowna: Andrzej Bursa, 1932-1957”, podejmujący ten sam wątek „klęski szczerości” i bezkompromisowości Bursy. Krakowskie wydanie pism Bursy, obejmujące poezję i prozę, przypomina na pierwszy rzut oka Baczyńskiego, — szybko spostrzegamy jednak, iż poza przedwczesnym zgonem i krótkim okresem świetnie zapowiadającej się twórczości, łączy ich niewiele a dzieli przepaść odmiennych postaw życiowych, wpływów środowiska i techniki pisarskiej. Najlepszy utwór Bursy, krótki poemat „Luiza”, okazał się — przez oryginalność i słusznie podkreślaną przez Czaykowskiego wirtuozerię — wzorem

dla wielu. Echa jego pobrzmiewają nawet w „Poemacie dla Jolanty” Rostworowskiego.

173. HERBERT, Zbigniew: *Napis*. Warszawa, 1969, Czytelnik, s. 54 (2).

Czwarty tom wierszy Herberta, wydany w osiem lat po „Studium przedmiotu”. Uderza w nim najbardziej jeszcze dalej posunięta oszczędność słowa łączona z jasnością przekazu, co w naszej rozgadanej polszczyźnie nie jest, jak wiadomo, sprawą łatwą. Do tematyki wierszy weszła jako motyw główny konfrontacja rodzimej *condition humaine* ze światem współczesnym i antykiem wyłaniającym się z oglądania zabytków (np. Krety) i rozmyślań nad symboliką mitów. Obok wierszy — proza poetycka w formie zwięzłych przypowieści z apokaliptycznymi konkluzjami. Najlepszy: „Zegarek na rękę” — jakże dojrzałe i umiejętne operowanie ironią; norwidowskie „milczenia” przeobrażone w najzwięźlejsze słowa-sygnały; kapitalne i już typowo herbertowskie konkluzje utworów (np. w „Tusculum” i „Brzegu”).

Historia literatury

174. PROKOP, Jan: *Z przemian w literaturze polskiej lat 1907-1917*. Wrocław, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, s. 110 (2), streszczenie w języku francuskim. (PAN - Oddział w Krakowie, Prace Kom. Historyczno-literackiej, Nr. 24).

Praca doktorska ucznia prof. Wyki, analizująca w sposób ciekawy a chwilami odkrywczy niewdzięczny okres schyłkowy Młodej Polski i przejście do dwudziestolecia Niepodległości. „Modernistyczna próba wyzwolenia się z „jarzma” służby narodowej — pisze Prokop w zakończeniu książki — zakończyła się powrotem do tego „jarzma” [...] Gdy nie tylko na Zachodzie ale i w Rosji spierano się o nową sztukę głoszone płomienne manifesty — Komendant ćwiczył „pierwszą kadrową” w Zakopanem. Sprawy warsztatu artystycznego, tworzenia nowego języka poezji ustępowały na dalszy plan wobec przygotowań do skoku w niepodległość. Siedzący w Paryżu, z dala od kraju Makowski mógł przeżywać spory fauvistów, kubistów. W kraju, ze wszystkiego, co niosła epoka — z bergsonizmu, nietzscheanizmu, nawet futuryzmu — kuto oręż walki narodowej”.

Przekłady

175. JOYCE, James: *Ulysses*. Przetłumaczył Maciej Słomczyński. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 831. (Tyt. oryginału: „Ulysses”).

Tłumacz, Maciej Słomczyński, trafnie ujmując znaczenie „Ulyssesa” w słowach: „... dzieło Joyce'a nie posiada w historii literatury [...] antenatów. „Ulysses” nie poprzedza nic, co by go zwiastowało. Jest samotny, obcy wszystkiemu, co było przed nim, i przerażająco konsekwentny w zamiarze ośmieszenia i pogrzebania wszystkich książek, które przed nim napisano”. A po nim? — po nim napisano wiele à la Joyce. I tu odwieczny polski kłopot, tak dobrze dostrzeżony przez Irzykowskiego: wtórność naszych przełomów w literaturze. Witając przekład, dostrzegamy na horyzoncie gradową chmurę naśladowców, którzy dotąd zadawała się musieli Joyce'm z drugiej ręki, przekładami piszących pod Joyce'a. A przypomnieć warto, że od pierwszego wydania upłynęło lat 48. Pewną pociechą jest nawrót do „Ulyssesa” w W. Brytanii, która dopiero ostatnio zdobyła się na swobodne krążenie pełnego tekstu. Przekład Słomczyńskiego jest olbrzymim i poważnym osiągnięciem i, mimo ogólnej chropowatości tonu, oddaje wiernie tekst oryginału. Jest, o dziwo, lepszy w rozdziałach najtrudniejszych do tłumaczenia, najłatwiejszy w potocznych dialogach, załamujący się (stosunkowo rzadko) na wyrażeniach idiomatycznych.

tycznych i aluzjach. W poważnym dorobku przekładowym PIWu jest to pozycja udana i cenna.

Zyciorysy, pamiętniki, listy

176. CZAPLINSKI, Władysław i DŁUGOSZ, Józef: *Podróż młodego magnata do szkół*. (Studium z dziejów kultury XVI i XVII w.). (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 241 (3), portr. Stan. Lubomirskiego i tabl. geneal. Lubomirskich.

Studium oparte jest na „Memoriale rachunkowym” Jana Gębczyńskiego, który w r. 1594 wyruszył z Krakowa „do Mnichu” tj. do Monachium, jako opiekun 12-letniego „Stachnika” Lubomirskiego, późniejszego pana na Wiśniczu i wojewody krakowskiego, dowódcy pod Chocimiem. Dwuletnia edukacja u Jezuitów kosztowała ok. 4.950 zł. (w tym 900 zł. na trunki, gdyż Gębczyński za kotnierz nie wylewał). O wysokości tej sumy daje pojęcie kilka przykładowych cen współczesnych: koń — 18 zł., przeciętny dochód szlachcica ze średniej wielkości wsi — 140 do 250 zł. itp. Wydawcy oceniają jednak dodatnio rezultaty edukacji, uzupełnianej następnie w Padwie i w toku dłuższej podróży zagranicznej: Lubomirski wyrósł na dzielnego dowódcę, a nadto mecenasa sztuki i muzyki, był światłym i nieprzekupnym politykiem.

177. WITKIEWICZ, Stanisław: *Listy do syna*. Opracowały Bożena Danek-Wojnowska i Anna Micińska. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 835, 96 plasz (w tym portrety, fotografie obrazów Stan. Witkiewicza i Witkacego, itp.).

Niemal „klucz do Witkacego”. 515 listów pisanych w latach 1900-1915 do „Stasia” przez zachłannego, zazdrosnego — i nieszczęśliwego ojca, usiłującego z daleka, z Lowrany, kierować życiem jednaka w przekonaniu iż nie narzuca mu niczego i pozostawia zupełną swobodę. Tym właśnie kierował się np. przeciwstawiając się malarskim studiom Witkacego w Krakowie: talent jego kształtować się miał samorzutnie (jeśli nie liczyć narzucanych apodyktycznie rad ojca). Szkoda, że nie dochowały się listy Witkacego do ojca, druga strona korespondencji! Ale i tak — podobnie jak z listów Bobrowskiego do młodego Conrada — wyłania się osobowość „urabianego” a niełatwego pupila. Ale i sam autor listów, malarz i teoretyk sztuki, inspirator stylu zakopiańsko-secesyjnego, jest postacią godną bliższego poznania i byłby raczej dostateczną wydaną listów. Zastanawiać się można w jakim stopniu kuracja lowrańska uzasadniona była chorobą — a w jakim była ucieczką (pod czułą opieką „Mary” Dembowskiej) z zakopiańskiej willi, w której opuszczona (choć nadal w korespondencji „najdroższa”) pani Witkiewiczowa borykała się z lokatorami i lekami. Listy wydane starannie, z wzorowymi przypisami i fotografiami wczesnych prób malarskich Witkacego a także robionymi przez niego fotografiami. Poziom ich wskazuje, iż Bronisław Malinowski, zabierając Witkacego do Australii jako fotografa, kierował się nie tylko względami przyjaźni — mógł istotnie mieć w nim pożytecznego członka ekspedycji naukowej. Nawiasem warto dodać, iż ojciec Witkacego nie uważał „Bronia” za odpowiedniego towarzysza syna i wyraźnie go przed nim ostrzegał.

178. STERN, Anatol: *Legenda naszych dni*. (Kraków, 1969), Wydawnictwo Literackie, s. 247 (3).

Początki polskiego futuryzmu i „pierwsza awangarda” tak oddaliły się w czasie, że wspomnienia Sterna czyta się jak tak bardzo kwestionowane w Kraju „wspominki” emigracyjne. Trudno w nich doszukać się autora „Futuryzmu” czy „Anielskiego chama” czy przyjaciela Mieczysława Szczuki, choć po całym tomiku rozsiane są informacje biograficzne i osady, z których historyk literatury wydobyć potrafi niejedno. Wspomnienia dotyczą m.in.

Leśmiana, Broniewskiego, Brunona Jasińskiego, poetów rosyjskich, z którymi Stern spotykał się w Kraju i w Sowietach, — oraz Aragona, Seuphora, Georges Sadoula, René Claira i in., z którymi Stern przeprowadzał wywiady.

Wydawnictwa obliczone na naiwność czytelników

179. FILLER, Witold: *Literatura małej emigracji*. (Warszawa, 1970), Ministerstwo Obrony Narodowej, s. 105 (3).

Przedsięwzięcie odważne: autor porywa się na oceny literatury emigracyjnej bez znajomości tekstów, warunków egzystencji pisarzy ani mechanizmu produkcji wydawniczej poza Krajem. Tak np. twórczość Miłosza, któremu poświęcił osobny rozdział, zamyka się na „Guciu zaczarowanym” (1965); rząd dusz sprawuje nadal (z zaświatów?) red. Grydzewski, a „literatura emigracyjna jako zjawisko przestała istnieć” (str. 100). Ostać się miały tylko niedobitki, ewoluujące — jak np. Marian Czuchnowski ku ojczyźnie ludowej, pisarze „wtapiający się” w krajobrazy Anglii — jak np. Jerzy Pietrkiewicz albo przykładowie milejący — jak np. Stanisław Baliński. Filler stawia najwyraźniej na cenzurę, licząc, że utrzymywając będzie czytelnika krajowego tej bzdury w stanie stuprocentowej nieświadomości istotnego stanu rzeczy. Trudno o dalej idącą służalczość i zakłamanie.

Nadesłane nowości wydawnicze

Droga życia Józefa Piłsudskiego. Katalog Wystawy Historycznej 13-19 Marzec 1970. Str. 16. (Wyd. Ogólnopolskie, Londyn, 1970).

Józef Piłsudski Pisma — Literatura o nim. Katalog Wystawy Bibliograficznej. Str. 28. (Wyd. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn, 1970).

KOMINEK (Bolesław Arcybp). *Kościół po soborze*. Str. 165 i 1 nłb. (Coll. „Znaki Czasu” T. 14. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1969).

KOLENDO (Jerzy Jan). *Mury Elbląga*. Str. 136 i 4 nłb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1969).

W służbie pieśni — 20 lat chóru F. Chopina. Str. 48. (Buenos Aires, 1969).

Poland's Millennium of Catholicism. (Le Millénaire du Catholicisme en Pologne). Str. 627 i 1 nłb. (Lublin, 1969). Société des Lettres et des Sciences de l'Université Catholique de Lublin. Praca zbiorowa.

VALENTINOV (N.). *Two Years with the Symbolists*. Str. 241 i 1 nłb. Redakcja, Przedmowa i uwagi prof. Gleba Struve. (Wyd. The Hoover Institution on War, Revolution and Peace, Stanford University, Stanford Cal. 1969).

GOLDELMAN (Solomon I.). *Jewish National Autonomy in Ukraine 1917-1920*. Str. 131. (Wyd. Ukrainian Research and Information Institute, Chicago, 1968).

TYRMAND (Leopold). *Notebooks of a Dilettante*. Str. 240 i 6 nłb. (Wyd. The Macmillan Company, New York, 1970).

RUDNYCKYJ (J. B.). *G-A Proscribed Letter in the Soviet Union*. Str. 128. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1970). Seria Slavistica No 67-68.

Kalendar-Almanach Parafii Świętych Włodzimyra i Olhy w Czikożo na rik Bożyj 1970. Str. 135 i 53 nłb. (Wyd. Bratstvo Świętoho Andrija Perwozwannoho, Chicago, 1970).

- HAŁYN (Dr Med. M.). *Medycznyj Łatynsko-Ukraiński Słownik*. Str. 304. (Wyd. Ukraiński Likarskie Towarzystwo Piwnicznioj Ameryki, Detroit, 1969). Wydanie II.
- Encyklopedyja Ukrajinoznawstwa — Słownikowa czastyna 5. Str. 2000. Red. Prof. Dr Wołodymyr Kubi-jowycz. (Wyd. „Mołode Żyttja”).
- JANTA (Aleksander). *Robert Frost i inni amerykańscy poeci*. Tłumaczenia. Str. 85 i 1 nlb. (Wyd. Tematy, Londyn, 1970).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Styczeń*. Po-ezje. Str. 27 i 3 nlb. (Wyd. Ofi-cyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).
- Onomastica Canadiana 1969*. Seria Onomastica No 40. Str. 16. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1970).
- Slavic Literatures in Canada. I*. WOYCENKO (Ol'ha). *Ukrainian-Canadian Letters*. Str. 27 i 5 nlb. Seria Slavistica No 65. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1970). Seria Slavistica No 66.
- Slavica Canadiana A.D. 1968*. Str. 80. Opr. Jaroslav B. Rudnycki przy współpracy J. Kirschbauma i T. W. Krychowskiego. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1970). Seria Slavistica No 66.
- Lengyel Költök *Antológiája*. Str. 558 i 1 nlb. Opr. Szerkeszti Kormos Istvan. (Wyd. Kozmosz Konyvek, 1969).
- Biuletyn Informacyjny Komitetu Budowy Pomnika ku czci Założycieli Pierwszej Polskiej Emigracji w Anglii*. (Londyn, 1970).
- HARDISON (O. B. jr.). *Christian Rite and Christian Drama in the Middle Ages*. Essays in the Origin and Early History of Modern Drama. Str. 328 z Indekssem. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md, October 1969).
- Slavs in Canada*. Volume Two. Proceedings of the Second National Conference on Canadian Slavs, June 9-11, 1967. University of Ottawa, Ottawa, Ont. Str. 288. (Wyd. Inter-University Committee on Canadian Slavs, Toronto, 1968).
- KUSIELEWICZ (Eugene dr). *Reflections on the Cultural Condition of the Polish American Community*. Str. 26. (Wyd. Czar Publishing Co., Inc., New York, 1969).
- STANKIEWICZ (W. J.). *Le Canada et le Monde*. Essai de Théorie Politique. Str. 148-156. (Nadbitka z „Le Canada au Seuil du Siècle de l'Abondance”, Montréal, 1969).
- PASZKOWSKI (L. K.) opr. hasło „BLANDOWSKI, William (b. 1822) w Vol. 3: 1851-1890 *Australian Dictionary of Biography*. (Wyd. Melbourne University Press).
- WEINTRAUB (W.). *The Latin and the Polish Kochanowski: The Two Faces of a Poet*. Str. 663-670. (Nadbitka z „Proceedings of the V-th Congress of the International Comparative Literature Association”, Belgrad 1967. (Wyd. Univ. de Belgrade, Amsterdam, 1969).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-4-70

Na konferencji polsko-litewskiej w Wilnie zdecydowano rozszerzyć w 1970 wymianę handlową między obu państwami. Litwa będzie dostarczać Polsce materiały kancelaryjne, zabawki i niektóre wyroby dziewiarskie a Polska wyroby kosmetyczne i obuwie. ■ W Wilnie podpisano umowę o stworzeniu jednolitych gam precyzyjnych obrabiarek do metali na okres 1971-75. Czołowym krajem w stworzeniu nowych gam tokarek zostanie NRD, karuzelówek — Rumunia, wiertarek pionowych — Polska, frezerek — ZSSR, wytaczarek — CSRS. ■ Latem br. 25 studentów Uniwersytetu Wileńskiego przybędzie do Polski dla pracy i odpoczynku a 25 studentów UJ pojedzie do Wilna. ■ W okolicach Sulejowa ma powstać na obszarze 24 km. kw. zbiornik wodny dla Łodzi.

18-4-70

Zmarł w Warszawie wybitny polski ekonomista, prof. dr Michał Kalecki. ■ Prezesem SPATIFu został Gustaw Holoubek. ■ W Madrycie otworzono Biuro Konsularne PRL, którego kierownikiem został p. A. Onacik z tytułem ministra pełnomocnego. Jednocześnie władze PRL oświadczyły, że od maja Lot i Iberia ustanowią regularną komunikację Madryt-Paryż, dwa razy w tygodniu. Od 1967 w Madrycie funkcjonuje rumuńska misja dyplomatyczna, od marca przedstawicielstwo Sowietkiej marynarki handlowej oraz misja handlowa czechosłowacka, która w najbliższym czasie przekształcona zostanie w przedstawicielstwo konsularne. ■ W Moskwie zmarł patriarcha kościoła prawosławnego w Zw. Sowieckim, Aleksis, w wieku 93 lat. W czasie swej długiej kariery kościelnej współpracował ściśle z władzami komunistycznymi, cieszył się zaufaniem Stalina i był odznaczony najwyższymi orderami sowieckimi. Na pogrzeb Patriarchy przyjechał specjalny wysłannik papieża Pawła VI, kardynał Willebrands. W tym samym czasie Msgr. Pignedoli przybył do Warszawy, co wiąże się z projektami papieża odwiedzenia Polski. ■ Według ostatniego spisu ludności, z 15 stycznia br., Zw. Sowiecki liczy 241.748.000 mieszkańców. Od ostatniego spisu z 1959 r. ludność Zw. Sow. powiększyła się o blisko 33 mln. Kobiety stanowią 53,9 % ludności. Cztery piąte ludności urodziło się po rewolucji październikowej. 56 % mieszka w miastach. ■ W Ostrawie zakończyła się rozprawa sądowa przeciwko 4 młodym Czechom, oskarżonym o usiłowanie porwania na Zachód samolotu, lecącego z Pragi do Karlovych Varów. Jeden z podsądnych otrzymał wyrok 5 lat więzienia, pozostali trzej — od jednego do półtora roku. ■ Na zaproszenie Koła Posłów „Znak” przebywa w Polsce od dziesięciu dni siedmioosobowa reprezentacja zachodniemiejskich intelektualistów katolickich, skupionych w „Bensberger Kreis”. ■ Trzy dni przebywała w Polsce oficjalna delegacja Centrali Związków Zawodowych NRF (DGB) z przewodniczącym DGB Heinzem Oskarem Vetterem na czele. Był to pierwszy oficjalny kontakt między związkami zawodowymi NRF i Polski. ■ Wojsko Polskie dysponuje aktualnie 5 akademiami wojskowymi, 10 wyższymi szkołami oficerskimi, 14 szkołami chorążych, 17 podoficerskimi szkołami zawodowymi, 7 samodzielnymi instytucjami naukowo-badawczymi i 11 ośrodkami badawczymi. ■ Na pół roku zawieszono komunikację lotniczą z Wrocławiem i Koszalinem. Tyle bowiem będzie trwała przebudowa pasów startowych. ■ Tylko 20 % wód w Polsce stanowią wody stosunkowo czyste, nadające się do zaopatrywania wodociągów komunalnych.

20-4-70

W Moskwie wręczono nagrodę leninowską Jarosławowi Iwaszkiewiczowi ■

W Polsce odbywają się masowe galówki z okazji 25-lecia Układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej między PRL a Związkiem Sowieckim.

21-4-70

W Warszawie rozpoczęło się międzynarodowe Sympozjum, poświęcone wojnie psychologicznej i dywersji ideologicznej, zwołane przez Gł. Zarząd Polityczny WP i Ośrodek Badań Stosunków Wschód-Zachód. Biorą udział przedstawiciele Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii i Węgier.

23-4-70

Zmarł w Warszawie wybitny aktor, Marian Wyrzykowski.

24-4-70

W Warszawie zakończyło się trzecie spotkanie polsko-niemieckie. Następne odbędzie się w Bonn na początku czerwca. Polskę będzie reprezentował wiceminister Winiewicz. Mimo braku informacji, w Warszawie panuje pewien optymizm co do wyniku rokowań. ■ 5-ciu osobników rozebrało dworzec w Chorzowie i sprzedało uzyskaną cegłę.

27-4-70

Doroczna nagroda literacka CRZZ przyznana została Markowi Nowakowskiemu za książkę „Przystań”, oraz Leonowi Wantule za „Wycieczkę z narzeczoną”. ■ Jerzy Putrament w czasie uroczystości leninowskich w Moskwie ponownie zajął się donosami na liberalizujących intelektualistów rosyjskich. Jest to zapewne akcja w ramach umiarkowania „przyjaźni polsko-radzieckiej”. ■ W Warszawie odbyła się rozprawa apelacyjna osób skazanych w tzw. „procesie taterników”. Wyrok pierwszej instancji został zatwierdzony. Optymistyczne informacje warszawskiego korespondenta *Le Monde* p. B. Margueritte nie znalazły więc potwierdzenia, natomiast w dużym stopniu przyczyniły się do pogłosek na Zachodzie o rzekomej liberalizacji kursu w PRL. ■ Wł. Bienkowski, autor głośnej książki „Motory i hamulce socjalizmu” został przedwcześnie przeniesiony na emeryturę. Jest to normalna emerytura, a nie tzw. „partyjna”.

28-4-70

Trzej liberalni przywódcy czechosłowaccy — Dubczek, Sztur i Tiažky pozbawieni zostali mandatów Słowackiej Rady Narodowej. ■ Na Zachód przesyłano wiadomości, że sowiecka służba bezpieczeństwa udaremniała w Moskwie demonstrację, jaką w czasie obchodów leninowskich zamierzało urządzać paruset Tatarów Krymskich. Agenci KGB aresztowali na dworcach kilka grup przybywających Tatarów i skonfiskowali ulotki, zawierające protesty przeciw dyskryminacji całego narodu przez władze sowieckie. ■ KC węgierskiej partii zezwoliło na powrót do kraju byłego stalinowskiego dyktatora Węgier — Rakosiego, który od roku 1956 przebywał na wygnaniu w ZSSR.

1-5-70

W Dachau odbyła się konferencja intelektualistów czechosłowackich, przebywających obecnie w różnych krajach Europy Zachodniej. W uchwalonej rezolucji ponownie potępiono okupację sowiecką i opowiedziano się za ideami „Praskiej Wiosny”. ■ Chiny wystrzeliły swego pierwszego satelitę. Waży on 173 kg. Chiny dysponują więc już raketami średniego zasięgu. ■ Wkłady oszczędnościowe PKO sięgają obecnie ok. 95 miliardów złotych.

3-5-70

W Pradze aresztowano wiele osób, które brały udział w niszczeniu flag so-

wieckich, wywieszonych w związku z 1 maja. Ludność miasta niszczyła też maszty flagowe i dekoracje związane z rocznicą leninowską.

4-5-70

W Zielonej Górze rozpoczął się zjazd pisarzy Ziemi Zach. i Płn. W powiatach Nadodrza zorganizowano wieczory autorskie dla Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta, Romana Bratnego i Jana Dobraczyńskiego, Cz. Niżurskiego i R. Hajduka. Charakterystyczna czołówka! ■ Polska Agencja Prasowa donosi: „Z okazji obchodów 25-lecia PRL w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk odbyła się uroczystość wręczenia wysokich odznaczeń państwowych nadanych przez Radę Państwa zasłużonym i wieloletnim pracownikom Urzędu oraz placówek wojewódzkich i miejskich”. ■ W marcu br. zanotowano w Polsce spadek pogłowia trzody i bydła o blisko 4 %. Należy się liczyć z dalszym spadkiem. Tak samo stan ozimin przedstawia się źle i pogarsza się na skutek złych warunków atmosferycznych.

5-5-70

Kazimierz Dejmeck otrzymał zgodę władz PRL na przeniesienie się z rodziną do Belgradu. Podpisał on dwuletni kontrakt z Jugosłowiańskim Teatrem Dramatycznym i Serbskim Teatrem Narodowym w Nowym Sadzie, zobowiązując się do wystawienia jednej sztuki rocznie. K. Dejmeck przebywa od dwóch lat na Zachodzie.

6-5-70

W Pradze podpisano układ wzajemnej pomocy między Związkiem Sowieckim a Czechosłowacją. Stanowi on niepokojący precedens gdyż zobowiązuje sygnatariuszy do pomocy wojskowej na każdym ew. teatrze wojny, a więc np. w Azji. Pakt Warszawski zobowiązywał dotąd swych członków do pomocy jedynie w Europie. ■ Gomulka i Cyrankiewicz udali się do Pragi w związku z rocznicą wyzwolenia Czechosłowacji. (Ponieważ PRL nie brała udziału — 25 lat temu — w wyzwoleniu Czechosłowacji, zapewne idzie więc o rok 1968).

9-5-70

Polityka donosi: „Na półkach magazynów i sklepów rośnie ilość bublei. Wartość zapasów, według obliczeń GUS, wynosiła w lutym br. ok. 40 mld zł w hurcie i ok. 75,8 mld zł w detalu. Cieszyłoby nas to zjawisko, gdyby to były towary poszukiwane, ale są to w większości towary, które nie znajdują klienta. Podobnie zresztą, jak zapasy w handlu, rosną zapasy w całej gospodarce”.

11-5-70

W Moskwie rozpoczęła się międzynarodowa konferencja historyków 2-jej wojny światowej. Na czele delegacji polskiej stoi Cz. Madajczyk. ■ W rb. zgłosiło się w Polsce na wyższe studia 60 tysięcy kandydatów. Najwięcej zgłoszeń jest na kierunki humanistyczne, natomiast wydziały matematyczno-fizyczno-chemiczne mają dwa razy więcej miejsc niż kandydatów.

12-5-70

W Warszawie rozpoczęło się doroczne posiedzenie Komitetu z udziałem kierowników rządów. Sesja ta ma być poświęcona — jak poprzednia w 1969 r. — integracji gospodarczej bloku. ■ Nagrody Życia Literackiego za 1969 r. otrzymali: A. Sandauer za książkę „Liryka i logika”, W. Nawrocki za „Trwanie i powrót”, A. Rowiński za „Anioły Warszawy” i R. Rowiński za „Poludnik 18”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-4-70

W końcu marca w Polskim Instytucie Naukowym odbyło się zebranie przedstawicieli Polonii nowojorskiej w związku z przypadającym na 1971 r. 75-leciem istnienia pisma *Nowy Świat*. Utworzono Komitet obchodu oraz komitet Funduszu Wydawniczego *Nowego Świata*. Protektorat objął John A. Gronouski. ■ Nowojorski *Time* donosi, że W. S. Kuniczak, którego książka „The thousand hour day” uzyskała w swoim czasie nagrodę klubu „Book of the month” został zaarrestowany za próbę szmuglu 160 funtów haszyszu do Grecji. Został on skazany na 4 i pół roku więzienia i odsiadyuje karę na wyspie Korfu.

17-4-70

Zmarł w Szwajcarii, w wieku 72 lat, płk St. Karolus. Był on długoletnim prezesem oddziału SPK i prezesem Związku Org. Polskich w Szwajcarii.

19-4-70

Druga co do wielkości organizacja polonijna, Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie w Ameryce, która obchodzi 100-lecie swego powstania i liczy ok. 130 tys. członków, ogłosiła oświadczenie o zwołaniu Jubileuszowego Sejmiku PZRK do New Haven, Conn., na 20 września rb.

24-4-70

Na dorocznym walnym zebraniu Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych w Nowym Jorku, wiceprezes Jan Morelowski, w zastępstwie chorego prezesa Zygmunta Nagórskiego, przedstawił działalność Towarzystwa za rok ostatni, obejmującą głównie odczyty i akcje zapomogową. Wybrano władze organizacji na dalszy rok: prezes — Zygmunt Nagórski Sr.; wiceprezes — Jan Morelowski; sekretarz — Józef Zbigniew Jabłoński; skarbnik — Oskar Schenker. ■ Adw. Leon Jaworski z Hudson został obrany Prezesem Amerykańskiego Związku Adwokatów. Stoi on na czele rządowego Komitetu do Spraw Zwalczania Przestępców.

26-4-70

Zmarł w Szwajcarii, w wieku 80 lat, znany pisarz John Knittel, autor „Via Mala”.

27-4-70

W Helsinkach zmarł, w wieku 96 lat, jeden z najwybitniejszych pisarzy fińskich, Ilmari Kianto. Był on autorem ok. 50 powieści, poświęconych głównie życiu wiejskiemu. ■ Książka J. Wittlina „Sól ziemi”, która cieszy się nieustającym powodzeniem w Niemczech, została wydana osobno, w klubie książki „Büchergilde Gutenberg” za licencji wydawcy S. Fischer Verlag.

28-4-70

Wicemin. Handlu Zagranicznego PRL, R. Kariski, przybył do Madrytu celem podpisania umowy handlowej z Hiszpanią. ■ Zmarła w Londynie Anna Januszajtis, działaczka społeczna i niepodległościowa, przewodnicząca Zjednoczenia Polek na emigracji. ■ Polski Klub Artystyczny w USA zorganizował w Chicago doroczną wystawę malarzy polonijnych, w której wzięło udział 36 artystów, wystawiając 115 prac.

29-4-70

Neue Zürcher Zeitung podaje, że Joanna Rydzik (?), żona attaché handlo-

wego poselstwa polskiego w Ankarze, zwróciła się do władz tureckich z prośbą o azyl dla siebie i dla dwóch jej synów.

3-5-70

Centralne uroczystości, związane z obchodem rocznicy Konstytucji 3 Maja odbyły się w Chicago z udziałem ok. 100.000 osób. Głównym mówcą z Washingtonu był zast. Sekretarza Departamentu Stanu, Richardson. Zgromadzeni uchwalili rezolucję domagającą się uznania granicy na Odrze i Nysie oraz rewizji uchwał NATO w sprawie atomowego zagrożenia Polski. Prez. Mazewski zadeklarował poparcie Polonii dla polityki prez. Nixona w Wietnamie.

4-5-70

Przybył do Paryża z oficjalną wizytą St. Jędrzychowski, min. spraw zagr. PRL. ■ Występy wrocławskiego teatru baletowo-mimicznego Henryka Tomaszewskiego cieszyły się wielkim powodzeniem w Londynie.

5-5-70

Roger Garaudy został wykluczony z Francuskiej Partii Komunistycznej. Pogłębia to konflikt między FPK a lewicą niekomunistyczną. ■ Bogusław Borowicz, profesor fotografii w Akademii Sztuk pięknych Uniwersytetu Państwowego w Santiago de Chile i Wyższej Szkoły Dziennikarskiej Papieskiego Uniwersytetu Chilijskiego, miał dwie wystawy retrospektywne swych prac z okresu dwudziestu lat działalności jako fotografik i wykładowca w Chile: w stolicy Santiago de Chile i Valparaiso. ■ W Paryżu minister Jędrzychowski, odpowiadając na pytania dziennikarzy w sprawie polityki antysemickiej władz PRL, oświadczył, że „nie można tolerować podwójnej lojalności” i że „musi być jeden kraj, jedna ojczyzna, jedna partia i jedna ideologia”. Wypowiedź ta przypomniała wypowiedzi hitlerowców: „Ein Volk, ein Reich, ein Führer”. ■ W Niemczech Zachodnich znowu rozbił się samolot wojskowy „Starfighter”. Jest to 120 wypadek rozbicia tego samolotu i 56 pilot, który zginął. ■ Ks. Kardynał Jan Król, arcybiskup Filadelfii odprawił nabożeństwo ekumeniczne w Białym Domu w Waszyngtonie i wygłosił kazanie poruszające najważniejsze problemy naszej epoki. Na nabożeństwie był prezydent R. Nixon i b. prezydent L. Johnson. ■ W Melbourne zmarł dr St. Cermak, sekretarz Gen. Stowarzyszenia Czechosłowackiego w Wiktorii (Australia).

9-5-70

Walter Reuther, przewodniczący Związku Zawodowego Robotników Przemysłu samochodowego USA (13-krotnie wybierany na to stanowisko), zginął w wypadku samolotowym w Michigan, USA. Żył lat 63. Jego śmierć jest wielką stratą dla amerykańskich Związków Zawodowych wśród których reprezentował stanowisko nie tylko najbardziej dynamiczne, ale i najbardziej liberalne. ■ Na walnym Zejeździe Związku Dziennikarzy RP w Londynie uchwalono nagrodę dziennikarską za wybitną działalność publ.-dziennikarską o charakterze niepodległościowym. Prezesem na następną kadencję został wybrany Z. Stermiński. ■ W New Yorku odbyło się walne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Przeprowadzono szereg poprawek do statutu (m.in. umożliwienie wyboru władz Instytutu drogą korespondencyjną) oraz wybrano nowe władze. Prezesem został ponownie prof. St. Mrozowski. Prof. Z. Nagórskiemu, sr. nadano członkostwo honorowe.

10-5-70

Zw. Akademików Polskich w Ameryce zorganizował wieczór dyskusyjny na

temat — „Wpływy przedwojennych partii politycznych polskich wśród młodzieży emigracyjnej”. Dyskusja słaba, zainteresowanie minimalne, młodzież uważa te partie za relikty przeszłości, historycznie mniej ciekawy niż partie polityczne z epoki powstań narodowych.

11-5-70

Odbył się wieczór autorski Aleksandra Janty, urządzony przez Two Historyczno-Literackie w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

12-5-70

W nocy z 11 na 12 maja zmarł w Londynie generał Władysław Anders. Żył lat 78. ■ Zmarła w Sztokholmie, w wieku 79 lat, wybitna poetka szwedzka Nelly Sachs, laureatka nagrody Nobla w 1965.

14-5-70

Tegoroczną nagrodę Roy'u im. Mariana Kistera otrzymał Juliusz Żuławski za całokształt osiągnięć w dziedzinie przekładów poetów angielskich i amerykańskich. Nagroda za przekłady literatury polskiej na język angielski została podzielona pomiędzy Daniela C. Gerould'a i C. S. Durer'a — tłumaczy dzieł St. I. Witkiewicza.

15-5-70

Dowiadujemy się, że Yves Montand przeznaczył na Fundusz Penitencjarny kwotę, którą zarobił na swych koncertach w Polsce w 1956, a która tam jest blokowana. Kwota przekazana służyć ma poprawieniu warunków życiowych więźniów politycznych w Polsce.

JEAN CARRER

ACROSS THE CONTINENTS IN SEARCH OF JUSTICE

(Wspomnienia młodego człowieka, który wędrował poprzez kontynenty, brał udział w wojnie polsko-niemieckiej, w pracy konspiracyjnej pod okupacjami: sowiecką, litewską, niemiecką i ponownie sowiecką w Wilnie i w Polsce centralnej. Pobył w Niemczech, Włoszech, Anglii i Ameryce. Podróże służbowe do różnych części świata. Fakty, komentarze, wnioski).

Cena: dol. 3,00 plus porto.

Str. 200.

Zamawiać można u:

Jean Carrer

10121 S. Clifton Park

Chicago, Illinois 60642

U.S.A.

Listy do Redakcji

Londyn, 18 kwietnia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Opublikowane w londyńskim *Dzienniku Polskim* z dnia 14 marca br. sprawozdanie redakcyjne z odbytego w dniu 6 marca zebrania Okręgowej Komisji Delegatów Wielkiego Londynu wywołało szereg listów polemicznych i sprostowań. Pojawiły się one na łamach *Dziennika Polskiego* z dnia 23 marca, 1, 7, 9, 10 i 13 kwietnia i dotyczyły powziętej na owym zebraniu uchwały, domagającej się utworzenia jak najrychlej „w pełni koalicyjnej Egzekutywy, z przewodniczącym, cieszącym się zaufaniem wszystkich stronnictw i ugrupowań Zjednoczenia Narodowego”, a więc stanowiącej votum nieufności dla obecnego przewodniczącego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, p. Kazimierza Sabbata. Jedyny wyjątek stanowił list p. generała Romana Odzierżyńskiego, którego tematem była sprawa wyboru tegoż gen. Odzierżyńskiego na członka Rady Trzech z końcem roku 1966.

List generała Odzierżyńskiego ukazał się w *Dzienniku Polskim* z dnia 10 kwietnia. W dniu 14 kwietnia wręczyłem p. redaktorowi naczelnemu *Dziennika Polskiego* mój list z odpowiedzią na postawione mi zarzuty i poprosiłem o wydrukowanie go. W dniu dzisiejszym otrzymałem list p. Wóhnowa z odmową, datowany 17 bm. Zwracam się tedy do p. Redaktora z uprzejmą prośbą o umożliwienie mi dotarcia do ogółu emigracji z listem, którego opublikowania odmówiła mi redakcja *Dziennika Polskiego*. Dla orientacji czytelników, proszę również o przedrukowanie listu p. generała Odzierżyńskiego.

Z góry dziękując, łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ

Załącznik 1.

List generała Odzierżyńskiego
(który redakcja *Dziennika Polskiego* wydrukowała)

ECHA ZEBRANIA KOMISJI DELEGATÓW

Szanowny Panie Redaktorze!

Po zebraniu delegatów Okręgowej Komisji Wielkiego Londynu w dniu 6 marca br. wielu moich przyjaciół i znajomych zapytywało mnie czy wiem, że zostałem przez jednego z czołowych polityków „dyskwalifikowany” na tym publicznym zebraniu, jako były kandydat na członka Rady Trzech w 1966 r. Równocześnie sprawa ta została ogłoszona w dwutygodniku „Myśl Polska” nr 6/7 i w ogóle nabrała niespodziewanego rozgłosu.

Wobec takiego stanu rzeczy trudno mi przejść nad nią do porządku. Według tego polityka trzy cechy „dyskwalifikowały” mnie na niewątpliwie honorowe miejsce członka Rady Trzech, a to: 1) generał — 2) sanator — 3) mason.

Ad 1) Zostałem mianowany generałem 1 stycznia 1943 r. Uważałem to i uważam za wielki honor dla mnie, że moi przełożeni uznali mnie za godnego tego wyróżnienia. W moim sumieniu nie popełniłem niczego, co mogłoby uchybić godności generała.

Dzisiaj okazuje się, że być generałem jest jedną z cech „dyskwalifikujących” w oczach pewnych polityków i to mimo że przeszło od dwóch dziesięcioleci lat nie pełniłem żadnych rzeczywistych funkcji wojskowych.

Ad 2) Następną ujemną moją cechą ma być że jestem „sanatorem” — oczywiście w tym jakimś najgorzej szacunku tego określenia.

Znałem i znam wielu tzw. „sanatorów” ludzi godnych, którzy rzeczywiście brali udział w życiu polityczno-państwowym w Niepodległej Polsce, a dla których tak ogół jak i ja zachowuje głęboki szacunek.

Chyba więc do tej kategorii „sanatorów” mnie nie zaliczono tym bardziej że nie brałem w ogóle żadnego udziału w życiu politycznym, będąc zwykłym zawodowym oficerem liniowym.

Stworzyła się partia popierająca Rząd z którą, tak i jak i z żadną inną partią polityczną — z powodów wyżej wymienionych, nie miałem nic wspólnego.

Wreszcie ad 3) „Mason”. W Polsce uważano masonerię — i zresztą służąc, za organizację tajną, posłuszną obcym wpływom i dlatego szkodliwą dla Polski.

Ale cóż ja miałem czy mam wspólnego z jakimkolwiek organizacjami tego rodzaju?

Sądzę, że każdy przyzna, że trzeba wiele tupetu i braku poczucia odpowiedzialności by mi insynuować, bez najmniejszego powodu, tego rodzaju zarzuty.

Z poważaniem,

R. ODZIERZYŃSKI

(Autor listu gen. R. Odzierzyński prócz stopnia wojskowego posiada stopień naukowy doktora praw Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie; w chwili powstania państwa polskiego w r. 1918 przeszedł z armii austriackiej do wojska polskiego w obronie Lwowa. Walczył w kampaniach r. 1919-1920 i 1939. Następnie przedostał się za granicę i dołączył do wojsk polskich walczących na Zachodzie; szczególnie wyróżnił się jako dowódca artylerii 2 Korpusu we Włoszech. Po wojnie był premierem Rządu RP na obczyźnie a następnie przewodniczącym pierwszej Egzekutywy Z.N. w latach 1954-55. W życiu społecznym emigracji zajmował z wyboru stanowisko prezesa Rady Głównej SPK — Red.).

Załącznik 2.

List Adama Ciołkosza

(którego wydrukowania redakcja *Dziennika Polskiego* odmówiła)

JESZCZE ECHA ZEBRANIA KOMISJI DELEGATÓW

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie chciałem powracać do przebiegu zebrania Okręgowej Komisji Delegatów Wielkiego Londynu z dnia 6 marca, niestety muszę. Zmusza mnie do tego list p. generała Odzierzyńskiego w *Dzienniku Polskim* z dnia 10 bm. List ten dotyczy mojego przemówienia na owym zebraniu. Wprawdzie generał Odzierzyński nie wymienia mojego nazwiska, lecz najoczywistej ma mnie na myśli, co wynika chociażby z powołania się na sprawozdanie w dwutygodniku *Myśl Polska* nr 6/7. Wobec zawartej w tym liście bezpodstawniej i obelżywej napaści na mnie, trudno mi przejść nad nim do porządku.

P. Odzierzyński twierdzi, że wedle „tego polityka” tj. wedle mnie trzy cechy „dyskwalifikowały” go na niewątpliwie honorowe miejsce członka

Rady Trzech, a to: 1) generał — 2) sanator — 3) mason. Wszystko to nieprawda, ani w roku 1966 ani też nigdy potem generała Odzierzyńskiego w niczym nie dyskwalifikowałem ani na miejsce członka Rady Trzech ani też na żadne inne miejsce.

Najpierw prehistoria sprawy. W wyborze na wakujące po zgonie śp. generała Bora-Komorowskiego miejsce w Radzie Trzech na posiedzeniu wyborczym Rady Jedności Narodowej w dniu 19 listopada 1966 r. otrzymałem jako kandydat Polskiej Partii Socjalistycznej w pierwszym i w drugim głosowaniu za każdym razem 32 głosy, zaś p. Beresowski, kandydat Stronnictwa Narodowego 25 wzgl. 29 głosów. Uzyskałem zatem większość oddanych głosów i zabrakło mi tylko 3 głosy do kwalifikowanej większości dwóch trzecich. Było pewne, że na następnym posiedzeniu będę wybrany członkiem Rady Trzech, jako że na drugim posiedzeniu wyborczym regulamin głosowania nie wymaga już kwalifikowanej większości. By zapobiec wybraniu mnie, Niezależna Grupa Społeczna zgłosiła na drugim posiedzeniu wyborczym 17 grudnia 1966 r. kandydaturę generała Odzierzyńskiego, zaś Stronnictwo Narodowe przerzuciło na niego swe głosy, rezygnując z własnego kandydata. Generał Odzierzyński otrzymał 41 głosów, ja otrzymałem 29 głosów, jedną kartkę oddano białą. Wybrany został generał Odzierzyński. Prawdopodobnie wyboru nigdy nie kwestionowałem i nigdy, ani wtedy ani później generała Odzierzyńskiego nie dyskwalifikowałem. Twierdziłem jedynie i twierdzę niezmienne, że generał Odzierzyński popełnił ciężki błąd polityczny, dając się użyć za narzędzie walki z Polską Partią Socjalistyczną, co pociągnęło za sobą oplakane następstwa i zapoczątkowało długotrwały kryzys w Zjednoczeniu Narodowym.

Przechodzę do zebrania Komisji Delegatów z dnia 6 marca br. W ogłoszonym przemówieniu p. Dargas ze Stronnictwa Narodowego utrzymywał, że na większość w Radzie Jedności Narodowej, podtrzymującą Egzekutywę p. Sabbata, składają się dwa sanacyjne ugrupowania: Liga Niepodległości Polski i Niezależna Grupa Społeczna oraz „przyszła do nich PPS p. Ciołkosza”. Polemizując z p. Dargasem wskazałem m.in. na fakt, że Stronnictwo Narodowe nie wahało się z końcem 1966 r. wejść w porozumienie z ową „sanacyjną” Niezależną Grupą Społeczną tylko w tym celu, by nie dopuścić do wybrania w mej osobie kandydata PPS na zaszczytne miejsce członka Rady Trzech. Stronnictwo to — mówiłem ironicznie — wołało poprzeć kandydata Niezależnej Grupy Społecznej w osobie p. Odzierzyńskiego, generała, sanatora i masona, niż dopuścić do wybrania socjalisty. Jak stąd jasno wynika, ostrze mego ataku kierowało się nie przeciwko osobie p. Odzierzyńskiego, lecz przeciwko Stronnictwu Narodowemu, którego obłudę i koniunkturalność chciałem zdemaskować i napiętnować.

Trzeba zupełnego braku poczucia rzeczywistości, by z tego mojego powiedzenia wysnuć wniosek, jakoby w moim rozumieniu stopień generalski był cechą dyskwalifikującą. Jako stary oficer miałem i mam należny respekt dla stopnia generała. Zaliczałem też w swoim życiu i nadal zaliczam kilku generałów do ludzi osobiście mi bliskich. W przemówieniu moim na zebraniu Komisji Delegatów przytoczyłem stopień generalski p. Odzierzyńskiego tylko dla tej przyczyny, że Stronnictwo Narodowe, z którego mówca polemizowałem, jest czasem dla generałów życzliwe, a czasem niezbyt. W numerze 23 z dnia 15 grudnia 1969 roku dała wyraz „smutnym myślom”, gdy na nową kadencję Rady Trzech wybrany został w jej składzie socjalista, mec. Urbański. Wybór ten — pisała *Myśl Polska* — „nie podnieś autorytetu Rady Trzech jako instytucji, raczej skupi odtąd autorytet ten w jednych już tylko rękach — generała Andersa. Rola jego kolegów będzie akurat taka, jak kolegów Pierwszego Konsula”. Jak stąd widać, stosunek Stronnictwa Narodowego do generałów na placówkach politycznych jest bardzo różny i bardzo zmienny.

Nie obawiało się dwóch generałów w Radzie Trzech, obawia się teraz jednego generała. Nie obawiało się generała Odzierzyńskiego, obawia się teraz generała Andersa. Chciałem ten polityczny taniec św. Wita wyszydzić.

„Sanatorem” nazwał generała Odzierzyńskiego w tym sensie, jaki temu terminowi nadał p. Dargas. Generał Odzierzyński był kandydatem Niezależnej Grupy Społecznej, którą p. Dargas zalicza do sanacji; kandydat sanacji jest oczywiście sanatorem. Mimo to p. Dargas i jego stronnictwo uważało głosowanie za tym kandydatem w roku 1966 za wskazane i konieczne — byle tylko nie dopuścić do wyboru socjalisty. Teraz zaś p. Dargas posługuje się określeniem „sanacja” w znaczeniu pejoratywnym. Ironia w moim przemówieniu może była subtelna, tym niemniej każda jego analiza doprowadzić musi do wniosku, że ostrze mej ironii kierowało się przeciwko p. Dargasowi, nie przeciwko generałowi Odzierzyńskiemu.

Co do rzekomego zarzutu przynależności do masonerii, to i tym określeniem posłużyłem się w sensie ironicznym, przy czym i w tym wypadku ironia mej wypowiedzi skierowana była przeciwko p. Dargasowi, a nie przeciwko generałowi Odzierzyńskiemu, jako że walka z masonerią jest jedną ze *specialités de la maison* Stronnictwa Narodowego. Piszę: rzekomego zarzutu, gdyż moim zdaniem przynależność do masonerii hańby nie przynosi; obrazy w tym żadnej nie było. Mówiono mi, że generał Odzierzyński jest masonem; informacja ta mnie nie zdziwiła, gdyż generał Odzierzyński przez szereg lat piastował urząd prezesa Rady Ministrów przy p. Augustcie Zaleskim. Skoro zaprzecza, chętnie daję mu wiarę i rzekomy zarzut wycofuję. Natomiast muszę wyrazić zdumienie z powodu zaliczenia przez generała Odzierzyńskiego masonerii do organizacji szkodliwych dla Polski. Wśród „wielkiej emigracji” do masonerii należały największe jej postacie, na jednym biegunie książę Adam Czartoryski, na drugim — Stanisław Gabriel Worcell. Jeśli generał Odzierzyński przestudiuje uważnie historię wojskowości polskiej, to znajdzie w niej na zaszczytnych miejscach nazwiska wielu masonów, np. w latach dawniejszych — Waleriana Łukasińskiego, w latach nowszych — Andrzeja Struga, beliniaka, legionisty i peowiaka. Sam masonem nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę, nie mogę jednak odmówić respektu takim gigantom intelektualnym, jak np. zmarły niedawno mason Jerzy Stempowski. Szkoda, że generał Odzierzyński lekkomyślnie dyskwalifikuje ich wszystkich w czambuł.

Pragnę na zakończenie stwierdzić porywcość i brak poczucia odpowiedzialności za swe słowa u p. generała Odzierzyńskiego, który pisząc swój list oparł się na plotkach z magla i na niezgodnym z prawdą sprawozdaniu w *Myśli Polskiej*. Mógł przecież zatelefonować do mnie i sprawdzić u źródła zastraszane relacje o zebraniu z dnia 6 marca, które — wbrew temu, co generał Odzierzyński pisze — nie było zebraniem publicznym. Wobec czytelników *Dziennika* usprawiedliwiam się, że piszę w liście niniejszym tak dużo o sobie i swych sprawach. Unikałem tego do tej pory i milczałem o przeżyciach roku 1966. Zostałem do porzucenia tego milczenia zmuszony listem p. generała Odzierzyńskiego.

Swoich danych biograficznych nie załączam. Nie są potrzebne.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOLKOSZ

California, 6 maja 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

A propos artykułu p. Puacza w numerze kwietniowym, który otrzymałem wczoraj.

Czytam *Time* od bardzo wielu lat ale nie wiedziałem, że jest to waszyngtoński tygodnik. Zawsze wydawało mi się, że jeżeli mamy go jakoś geograficznie kwalifikować, byłby to raczej tygodnik nowojorsko-chicagoński (wolałbym był napisać chicagoski, albo chicagowski).

A *troubleshooter* to na pewno nie „rozrabiacz”, ale właśnie na odwrót. Człowiek, który stara się, aby żadnych *trouble* nie było.

Poza tym cały artykuł ma głowę i nogi z wyjątkiem tendencji odnoszącej się do słonia i sprawy polskiej.

Nawet gdyby Yablonski nazywał się Jabłoński albo McGregor, kule „nieznanych sprawców” tak samo dosięgłyby go dopóki amerykańscy syndykaliści wybierają gangsterów na swoich przywódców.

Łączę wyrazy poważania,

Alexander J. HARDY-MIKUCKI

Londyn, 7 maja 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* umieszczony był list płk dypl. J. Klepaczki omawiający książkę „W 50-lecie Powstania Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie”. Autor pragnie „przestrzec przyszłego historyka przed niespodziankami na jakie w książce natknąć się może”.

Płk Klepaczko martwi się o historyków najzupełniej niepotrzebnie. Zrobił to już autor płk dypl. W. Chocianowicz, pisząc we wstępie do książki:

„Pracowałem prawie przy zupełnym braku materiałów źródłowych-pierwotnych, opierając się jedynie na dostępnych mi publikacjach i relacjach Kolegów”.

i zwykły czytelnik o dobrej woli, który przypisałby tym wspomnieniom wartość dokumentu personalnego.

Płk Klepaczko jest w omawianej książce wspomniany raz jako pułkownik, a 3 razy jako podpułkownik i do niego więc odnosi się zdanie płk Chocianowicza: „Zrozumiałą więc jest rzeczą, że znajduję niedociągnięcia szczególnie w wykazach i personaliach, za co z góry Kolegów przepraszam”.

Szkoda, że płk dypl. Klepaczko nie wziął tego przeproszenia pod uwagę. Może odniósłby się wówczas z większym zrozumieniem do wielkiej, wartościowej i bezinteresownej pracy śp. płk dypl. Chocianowicza i Jego małżonki.

Łączę wyrazy poważania,

K. KUŚ

Analogiczny list nadesłał p. St. Zochowski (Australia).

Montreal, 6 maja 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W marcowym numerze „Kultury” p. Mieroszewski wspomina o kryzysie komunikacji w świecie polskim. Uwaga ta potwierdzona została w omówieniu przez p. Byrskiego książki Pauliny Preiss „Biurokracja totalna”. Pan Byrski zacytował zdanie z książki stwierdzające, że „zdobycie 10 dkg kielbasy wymaga jakichś bez mała nadludzkich wysiłków”. Pan Byrski zrozumiał to zdanie jako kłamliwe stwierdzenie, że w Polsce panuje głód.

Każdy z nas który żył wiele lat w Polsce czytając to krótkie zdanie widzi nie głód, ale chodzenie ze sklepu do sklepu i stanie w krótkiej kolejce co najmniej godzinę po szynkę krojoną, ważoną przez ekspedientkę, która nie sądzi, że powinna się spieszyć. Jej wysiłek jest proporcjonalny do siły nabywczej pieniędzy, które dostanie za swoją pracę. System sowiecki ma wiele cech czystego surrealizmu, ale trzeba go odczuć na własnej skórze aby zrozumieć.

Niejednokrotnie rozmawiając z ludźmi w Ameryce muszę tłumaczyć najprostsze sprawy i problemy życia w Polsce. Śmieszne i smutne, że trzeba też tłumaczyć Kulturze. Przy okazji pozdrawiam serdecznie Kulturę, na którą zawsze czekam z niecierpliwością.

Zofia LENC

Winnipeg, 3 marca 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze;

W uzupełnieniu sprawozdania dra B. Heydenkorna z konferencji słowiańskich w Toronto w r. 1969 (*Kultura* nr 10/265, str. 125-130) chciałybyśmy sprostować twierdzenie, że „wobec likwidacji periodyku slawistycznego wydawanego przez prof. T. Domaradzkiego *Études Slaves et Est-Européennes* ukazuje się tylko jedno naukowe czasopismo poświęcone zagadnieniom słowiańskim a mianowicie *Canadian Slavonic Papers*”. Przede wszystkim nic mi nie wiadomo o „likwidacji” *Études...* prof. Domaradzkiego. Jako członek Kolegium Redakcyjnego *Études* powinienem być poinformowany o tym. Fakt, że *Études* wychodzą z druku nie regularnie, nie oznacza bynajmniej, że zostały one zlikwidowane.

Ale nawet mimo to *Canadian Slavonic Papers* nie są jedynym periodykiem slawistycznym w Kanadzie. Na długo przed jego założeniem w r. 1956 systematycznie wychodziła w Kanadzie *Slavica Canadiana* (sub-seria *Slavistiki*) wydawana przez Ukraińską Wolną Akademię Nauk UVAN w Winnipegu. Współpracowali w niej i Polacy, wymienić można choćby śp. dra Stefana Kosaka (1949-1950), dra Victora Turka (1950-1963) i innych. Co więcej dr B. Heydenkorn sam pisywał w niej recenzje (na przykład w *Slavica Canadiana* 1964, str. 49-50). Od 1954 r. *Slavica Canadiana* wychodzi jako oficjalne czasopismo Kanadyjskiej Asocjacji Slavistów, Polskiego Instytutu Naukowego w Toronto i Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk — UVAN w Winnipegu. Jako takie jest ono najstarszym periodykiem slawistycznym w Kanadzie, opłacanym teraz wspólnie tymi trzema zrzeszeniami slawistów kanadyjskich. Na zjeździe w Toronto (York) było odczytane i przyjęte w protokoły KAS-u sprawozdanie o *Slavica Canadiana* za rok 1967 (później wydrukowano je w *Slavica Canadiana* 1968, str. 77 — w załączeniu przesyłam cały numer dla użytku redakcji *Kultury*). W r. 1970 opublikowano już tom 67-8 *Slavica* m.in.

Slavica Canadiana za r. 1969 jest w przygotowaniu i powinna ukazać się w druku w jesieni br. jako 69 tomik *Slavistica*. Z wydrukowaniem tomiku 70-go w r. 1970 trzeba będzie chyba zakończyć „siedem sytych dziesiątek” *Slavistiki*, i albo zacząć „siedem chudych”, albo „zlikwidować” oficjalnie to czasopismo, które kosztowało mnie 21 lat (=7×3) pracy, energii i dopłacania... Bo jeśli już i dr Heydenkorn go nie zauważa, to kto je cenić będzie „na tym padole też i kobiecej twórczości literackiej” (Makuszyński)? Kto?...

Z wyrazami szacunku (i podziwu dla wydawniczej pracy Pana i Pańskich współpracowników),

Jarosław B. RUDNYŃKIJ

Bordeaux, 8 marca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

Może czytelników *Kultury* zainteresuje poniższe uzupełnienie informacji Herlinga-Grudzińskiego o wystąpieniach Sartre'a i Arona.

Notoryczny *fellow-traveller* i wybitny pisarz ogłasza płomienny manifest antykomunistyczny, który zamyka słowami: „Machiny (sowieckiej) naprawić nie można; trzeba, by narody ją pochwyciły i wyrzuciły na złom”. Trudno lepiej. Ze strony antykomunistów jednak spotyka go nie uznanie, ale gwałtowna napaść Raymond Arona, który wyniosłe i oschle feruje następujący wyrok: „Co jest rzeczywiście niezdolne dla posiadających poczucie prawdy, to że człowiek w rodzaju Sartre'a pozwala sobie krytykować wszystko z wyjątkiem własnych błędów”. Przecieramy oczy: czyżby Aron przeszedł z *Figara* do *Humanité*?

W zeszycie marcowym *Kultury* Herling-Grudziński zadowala się naszkicowaniem tej paradoksalnej sytuacji Sartre'a i Arona ale nie próbuje wyjaśnić, co się właściwie stało. Gdzie te czasy, gdy komunista Burnham albo komunista Koestler albo komunista Silone windowani byli na piedestał tylko dlatego, że zrywali z komunizmem! A przecież Sartre wcale nie jest gorszym pisarzem... Czyżby zmieniła się moda? Czyżby neo-komunizm miał zastąpić antykomunizm? Wiele na to wskazuje. Bohaterami anty-komunizmu są dziś a r e y-komuniści w rodzaju Kuronia i Modzelewskiego, Dubczeka i Bienkowskiego, którzy wcale nie chcą likwidować komunizmu, owszem, pragnęliby ratować go przed uwiadem starym przez zastrzyk świeżej krwi. Może więc anty-komuniści nie życzą sobie już śmierci komunizmu?

Uzupełniwszy informacje Grudzińskiego spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie. I będzie to odpowiedź... Sartre'a.

Bo oto nie krytyka komunizmu zwróciła powszechną uwagę na przedmowę Sartre'a do książki Liehma, tylko atak na Sowietów jako partnera Ameryki w nowym „Świętym Przymierzu”. To oczywiście zmienia perspektywę, w jakiej należy rozpatrywać gest autora „Bрудnych Rąk”.

Według Grudzińskiego, Sartre daremnie czekał na „drugą fazę” ewolucji komunizmu. Trzeba jednak zapytać, co ją udaremniło, ba, kto szybko i chętnie pogodził się z jej udaremnieniem (na Węgrzech, w Polsce, w Czechosłowacji)? Może należałoby też zapytać, komu i dlaczego — poza kliką władców imperium sowieckiego — ewolucja taka wydała się niebezpieczna, a więc niepożądana? Kto sprawił, że „druga faza” nie mogła dojrzeć do wielkiego politycznego przewrotu, ale rozdrobniła się na szereg rozpaczliwych odruchów (na Węgrzech, w Polsce, w Czechosłowacji)? Kto dopilnował, by sytuacja międzynarodowa zapewniła tej ewolucji fiasko? Kto uniemożliwił Francji stworzenie w Europie warunków, w których ewolucja taka stałaby się elementem wyzwolenia? Kto wreszcie podsycał „niemieckie niebezpieczeństwo”, by wszelka próba wyzwolenia Europy Wschodniej musiała wydać się pracownianem *pour le roi de Prusse*?

Na pytania te Sartre odpowiada tak: „Pięciu agresorów (z Paktu Warszawskiego) nawet nie próbowało ukryć charakteru wybitnie konserwatywnego (podkr. Sartre'a) swej interwencji. Nasza burżuazja zachodnia natychmiast to podchwyciła; wkroczenie czołgów do Pragi dodało jej otuchy: dlaczegożby nie zakończyć zimnej wojny i nie zawrzeć z Sowietami Świętego Przymierza, które zapewniłoby porządek wszędzie? Taka jest dziś sytuacja: karty wyłożone na stół, skończyły się machlojki”.

Nie czytałem wywiadu z Aronem w *La Stampa*, ale surowość Arona dla Sartre'a („S. pozwala sobie krytykować”), nie mogąc dotyczyć jego krytyki komunizmu, którą Aron pochwala, musi dotyczyć jego ataku na wspólnotwo Moskwy w grze Waszyngtonu, skoro te dwa motywy wyczerpują artykuł Sartre'a. Jestem pewny, że Herling-Grudziński, znany ze swej bezkom-

promisowej prawdomówności, nie pominąłby tego motywu, gdyby go znalazł w wywiadzie Arona. Musiał go więc przemilczeć sam Aron, co jak na człowieka „posiadającego poczucie prawdy” jest dosyć zastanawiające. I jest nad czym się zastanawiać.

Bo oto Sartre nie wymyślił Nowego Świętego Przymierza; mówił o nim już de Gaulle, który również widział je jako zamiar i ostrzegał przed nim. Wówczas jednak Aron nie oburzał się, ale ironizował: „Ameryka będzie dzieliła świat z Rosją? — pytał. — A coż innego robi od piętnastu lat!”. Z de Gaulle'a sztych, na Sartre'a się zżyma — za to samo!

Jeżeli de Gaulle był naiwny, to naiwny jest i Sartre, tym naiwniejszy, że dziesięć lat, jakie minęły od kpin Arona z de Gaulle'a, były latami rozkwitu Nowego Świętego Przymierza. Dziś już problemem nie jest zaważenie tego Przymierza, ale ujawnienie go. W Waszyngtonie i Moskwie zastanawiają się nie tylko, jak to zrobić, ale czy to zrobić. Bo to delikatna sprawa: ujawniając Przymierze rosyjsko-amerykańskie można przysporzyć sojuszników Chinom, które ten spisek od pewnego czasu denuncjują.

Jeżeli Przymierze rosyjsko-amerykańskie musiało być przez zimną wojnę zamaskowane, a więc z jawnego stać się milczącym, to nie bez powodu: gdyby było pozostało jawne, nie mogłoby działać. Rządzić można tylko światem podzielonym, w świecie zjednoczonym wszystko zwróciłoby się przeciwko jednoczycielowi, bo odczułoby go jako tyrana. Pod Świętym Przymierzem, czyli w dialektycznym Porządku *Pax Russo-Americana* znosimy jedną tyranię w obawie przed drugą i tym samym zapewniamy obu długą i spokojną żywot.

Burżuazja zachodnia tylko dlatego marzy o jawnym Przymierzu rosyjsko-amerykańskim, bo (z głupoty, ze strachu i ze... wstydu) nie może uwierzyć w istnienie milczącego. Sartre też jeszcze w nie nie wierzy. Aron natomiast wie, że ono istnieje i Aron boi się ujawniać go, jak się go boją w Waszyngtonie i Moskwie. Czy istniejący od ćwierćwiecza ład rosyjsko-amerykański da się utrzymać, gdy Waszyngton i Moskwa przestaną udawać, że go nie chcą, że im nie dogadza, że pragną go zmienić? Czy pozór, że Ameryka i Rosja zbliżają się do siebie, by wspólnie bronić się przed chińską rewolucją kulturalną wyda się dość przekonujący, by odegnąć myśl, że Chiny są tylko jeszcze jedną — i to ostatnią! — upatrzoną ofiarą nowego Świętego Przymierza?

Takich pytań nie stawia się publicznie, ale od odpowiedzi na nie zależy cała nasza przyszłość. Czy Sartre, zdecydowawszy się wreszcie patrzeć na Moskwę równie chłodnym spojrzeniem co na Waszyngton, zdobędzie się na to, by je postawić? Może — gdy straci niewinność.

Łączę wyrazy poważania,

Jan ULATOWSKI

P. Dominik Morawski z Rzymu polemizuje z komentarzem Redakcji zamieszczonym w nrze marcowym przy artykule ks. A. Woźnickiego. Uważa on stanowisko *Kultury* za „anachroniczne i zupełnie nieaktualne”, gdyż „nasza sytuacja jest w zasadzie lepsza, a nawet poniekąd uprzywilejowana, w zestawieniu z innymi grupami narodowymi...” i że objęcie opieki nad emigracją przez kard. Wyszyńskiego jest jedynie restytucją uprawnień przysługujących prymasowi polskiemu przed wojną, restytucją usprawiedliwioną „stopniową normalizacją kontaktów między Watykanem a episkopatem w kraju”.

N” nas nie przekona o konieczności — a tym bardziej o użyteczności dla emigracji, całkowitego podporządkowania dwóch biskupów emigracyjnych

ks. Prymasowi, który w dzisiejszej sytuacji w żaden sposób nie może spełniać w pełnej swobodzie ducha, funkcji opiekuna emigracji, którą nieopatrzenie wziął na siebie. Zależność taka w dzisiejszej sytuacji (a może i w każdej...) pozbawia władzy i wiąże ręce biskupom emigracyjnym. Wiadomo bowiem wszystkim, że ks. Prymas ma bardzo „archaiczne” pojęcie emigracji. Materiały polskie, którymi od czasu do czasu karmi się naszych duchownych zdradzają prawie kompletne wyobcowanie z problematyki emigracyjnej. Powoływanie się na ewolucję struktury duszpasterstwa emigracyjnego jest także pozbawione siły dowodowej. Kuria rzymska nawet w tych sprawach pozostaje nadal centralą dla duszpasterstwa emigracyjnego. Jesteśmy przekonani, że bp Rubin zyskałby na autorytecie, gdyby jako Członek Wyższej Rady Emigracyjnej kierował emigracją w jej imię. Do spełnienia roli łącznika między Konferencją biskupów w Polsce i Konferencjami biskupów innych narodów, wystarczy drugi biskup-sekretarz. W Rzymie pracuje wielu biskupów, którzy nie są sufraganami w krajach swego pochodzenia i nie stają się przez to „luzakami” jak to sugeruje p. Morawski.

Poza tym, całe podejście do zagadnienia zdradza właśnie u p. Morawskiego „brak zdrowego rozsądku i poczucia rzeczywistości”. Bezkrytyczne przyjmowanie dzisiejszego stanu rzeczy — brak refleksji obiektywnej nad rzeczywistymi zadaniami polskiej emigracji i lęk przed spojrzeniem prawdzie w oczy nie są cechami ludzi myślących.

Odrzucamy także złośliwą sugestię „podważania autorytetu kierownictwa duszpasterstwa emigracyjnego”... przeciwnie, pragniemy by to kierownictwo swój autorytet miało!

Springvale, Vic. Australia, marzec 1970.

Do Instytutu Literackiego,

Książkę otrzymałem („Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii”) i resztę pieniędzy za trzy dni odesłałem.

Myślę, że jest to książka historyczna i opisana dość dokładnie. Jedną rzecz jest źle zrobiona, że mimo że nie czytałem tej książki za to mam słuszną uwagę do napisania. Otóż w całej książce nie ma żadnego zdjęcia, żadnej fotografii. A przecież nie by nie zawadziło, gdyby było chociaż z pięćdziesiąt zdjęć. Ponieważ taką książkę czytają starsi ludzie i młodszy, w tym kobiety, młodzież — wszyscy o różnym wykształceniu i charakterze. 50-świat co najmniej by nie zawadziło w tej książce.

Byłoby bardzo dobrze ażeby można zrobić Album Lotnictwa. Tam to już by tych fotografii było! Co do książki to jest już za późno odbijać fotografie, a przecież ich jest przez całą wojnę tysiące.

Marynarka Wojenna wydała piękny album, który oglądałem. O kilka mil ode mnie mieszka p. Zielińska, która była od początku za siostrę w służbie kobiet morskich. Zyczyłabym sobie aby podobny Album wyszedł, energii do zrobienia starczy, starczy i pieniędzy też. Są lotnicy-emigranci po całym świecie więc napisać do wszystkich emigracyjnych pism, jak to było zrobione z książką i pomału taki Album zacząłby rosnąć, a ciekawe były przeżycia lotników i niejednego lotnika, już w podeszłym wieku, synkowi czy córce albo komuś z krewnych by pokazywał. Więc szkoda czasu, trzeba wziąć się do roboty i za jakiś czas będziemy mieć piękny Album Lotniczy.

Kończę z poważaniem,

Andrzej Franciszek BRUDĘK

ANTOLOGIA « KULTURY »

w języku angielskim

TOM I. — EXPLORATIONS IN FREEDOM

Prose, Narrative and poetry from *Kultura*: J. Wittlin, St. Vincenz, K. Wierzyński, G. Herling-Grudziński, W. Gombrowicz, W. Iwaniuk, A. Iwańska, A. Bobkowski, Z. Haupt, J. Łobodowski, Cz. Miłosz, J. Czapski, A. Remizow, I. Iwanow, A. Siniawski, J. Daniel, I. Zwieriew, J. Brodski, L. Lipski, J. Mackiewicz, A. Czerniawski, T. Nowakowski, I. Örkeny, B. Czaykowski, P. Guzy, T. Staliński, L. Tyrmand.

Str. 472.

Cena dol. 8,95.

TOM II. — KULTURA ESSAYS

P. Hostowiec (J. Stempowski), Al. Hertz, Vl. Slikova, A. Stawar, Al. Wat, B. Miedziński, Zb. Jordan, G. Gömöri, G. Herling-Grudziński, J. Ławrynenko, K. A. Jeleński, J. Czapski, G. I. Flemming, J. Mieroszewski.

Str. 368.

Cena dol. 9,95.

Wydana przez The Free Press (A Division of The Macmillan Comp.) New York — in Cooperation with the State University of New York at Albany.

NAJLEPSZY PREZENT DLA WASZYCH PRZYJACIOŁ ANGLO-SASKICH. PROSIMY O DOPILNOWANIE BY ANTOLOGIA BYŁA W BIBLIOTECE UNIWERSYTECKIEJ CZY MIEJSKIEJ NA WASZYM TERENIE.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.
Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal 2^e Trimestre 1970.



CZERWIEC

1970

NOWOŚCI BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

KOMUNIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

(Seria „Dokumenty”)
Zeszyt 28

● Pełne teksty „Programu Akcji” i „2000 słów”, będących u podstaw rewolucji czechosłowackiej. Słowo wstępne Juliusza Mieroszewskiego. (Listopad 1969).

Tom 180
Str. 88
10 F (\$ 2,25; 18/6 d.)



Witold GOMBROWICZ

FERDYDURKE

Tom 181
Str. 292
24 F (\$ 5; 40 sh.)

● Tom I-szy „DZIEŁ ZEBRANYCH”, niedawno zmarłego autora. (Grudzień 1969).



Franciszek KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE W W. BRYTANII (1940-1945)

● Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain” — Pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa.

Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk. Przypisy. (Grudzień 1969).

Tom 182
Str. 372
36 F (\$ 7,50; 60 sh.)



Władysław BIENKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU (Seria „Dokumenty”) Zeszyt 29

● Analiza „błędów i wypaczeń” systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu. (Grudzień 1969).

Tom 183
Str. 128
12 F (\$ 2,50; 20 sh.)

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

(Seria „Dokumenty”)
Zeszyt 30

● Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej (Antologia). (Luty 1970).

Tom 184
Str. 384
24 F (\$ 5; 40 sh.)

ZESZYTY HISTORYCZNE (Zeszyt 17-ty)

● Zawiera m.in. prace: *Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa*; St. Kirkora: „Korespondencje” J. I. Kraszewskiego; W Jędrzejewicza: *Sprawa Wilna w lipcu 1920*; L. Mitkiewicza: *Placówka „Star”* oraz Relacje, Recenzje i Polemiki. (Marzec 1970).

Tom 185
Str. 240
18,50 F (\$ 4; 30 sh.)

Witold GOMBROWICZ

TRANS-ATLANTYK

● Tom II-gi „DZIEŁ ZEBRANYCH” (Pierwsze wydanie „Trans-Atlantyku” ukazało się w roku 1953 jako tom I Biblioteki „Kultury”). (Kwiecień 1970).

Tom 186
Str. 132
14 F (\$ 3; 25 sh.)

Aleksander SOŁŻENICYN

KRAJ PIERWSZY

● Głośna powieść rosyjskiego pisarza. Tłuma-
czył z rosyjskiego Michał Kaniowski. (Czerwiec 1970).

Tom 187
Cz. I. Str. 400
Cz. II. Str. 304
1/11 - 60 F (\$ 12; £ 5)

Sławomir MROŻEK

DWA LISTY i inne opowiadania

● Pierwsze wydanie książkowe opowiadań zna-
nego pisarza. (Lipiec 1970).

Tom 188
Str. 192
18,50 F (\$ 4; 32 sh.)

Witold GOMBROWICZ

PORNOGRAFIA

● Tom III-ci „DZIEŁ ZEBRANYCH” (Pierwsze wydanie „Pornoграфии” ukazało się w roku 1960 jako tom 54 Biblioteki „Kultury”). (Lipiec 1970).

Tom 189
Str. 168
15 F (\$ 3,75; 31 sh.)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Polisy, 78-Maisons-Laffitte.
Téléphone : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Yadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Pocsohub, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	145 szyl. a	280 szyl. a	560 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Cesky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b	350,00 F. b.	600,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiana 143, villa Pompela, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURA » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debleka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel.: 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301 Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikielek, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenatengt 8, Moss. ...	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 N. Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoyas Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopecki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Poczniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tel.: 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Polisy, 78-Meudon-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY”
WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń” systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.
Str. 128 Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)



TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY”

ZNASZ-LI TEN KRAJ ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej
(Antologia)

Str. 384 Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)



TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa;
St. Kirkora: „Korespondencje” J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star”
oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240 Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)



TOM 186 — WITOLD GOMBROWICZ

TRANS-ATLANTYK

TOM II-gi „DZIEŁ ZBIOROWYCH”

Str. 132. Cena F. 14 (dol. 3; 25 sh.)

Cena 6,00 F